

DLP - 7 - 8 - 86096448

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/463

1986



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

CZ. MIŁOSZ: **O NASZEJ EUROPIE**

B. PACZOWSKI: **POLSKI ARCHITEKT**

R. KOSTRZEWA: **ROZMOWA Z NORMANEM
PODHORETZEM**

L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI I MOSKWY**



SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>O naszej Europie</i>	3
Bohdan Paczowski:	<i>Polski architekt</i>	13
Janusz Głowacki:	<i>Przed burzą</i>	17
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Pierścień</i>	21
Redaktor „Wyboru”:	<i>RWE — próba opisu</i>	28
WIERSZE		
Maria Kurecka:	<i>Ostatni wiersz W. Wirpszy</i>	34
Witold Wirpsza:	<i>Ester</i>	35
Wiktor Woroszyński (prze- kłady):	<i>Z wierszy Wasyla Stusa</i>	37
Anna Frajlich:	<i>Chłodna noc</i>	40
Marek Jaroszk:	<i>... kilka zabawnych historyjek — moje podróżowanie</i>	42
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Robert Kostrzewa:	<i>Po czterdziestu latach — rozmowa z N. Podhoretzem</i>	43
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	55
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i Moskwy</i>	59
SPRAWY I TROSKI		
Marek Zieliński:	<i>Pokusa zaangażowania</i>	71
K R A J		
Recenzent:	<i>„Polska po pięciu latach”</i>	75
Józef Szrett:	<i>Program Oświecenia Narodowego (II)</i>	81
—	<i>Wokół dwu procesów</i>	91
—	<i>Apele i komunikaty</i>	95
KRONIKA KULTURALNA		
Zbigniew Folejewski:	<i>Picasso, Pirandello i teatr czystej for- my Witkacego</i>	101
Jerzy P. Horzelski:	<i>Przygodne notatki o mowie</i>	110
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	118
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	124
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	128
KSIĄŻKI		
Marek Zieliński:	<i>Wieczna zmarłość</i>	132
Antoni Pospieszalski:	<i>Proza i poezja</i>	136
Renata Gorczyńska:	<i>„Cross Currents” czyli o wspólnocie kulturalnej</i>	138
Renata Gorczyńska:	<i>Komunizm oczami poety</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	144
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca, oraz kroniki: amerykańska, francuska i szwedzka</i>	147
◆		
J. Bujnowski, J. M. Bocheński, O.P., A. J. Chilecki, A. Chodakowski, K. Chylińska, J. Garliński, T. Mianowicz i E. Morgiewicz, Wylon:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	156
Janusz Głowacki:	<i>Nota biograficzna</i>	160
—	<i>Sprostowanie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1986

INSTYTUT



LITERACKI



WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 21-szy — \$ 52,00	F. 359,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 61-szy — \$ 100,00	F. 690,00
Bolesław Druker, Kopenhaga	F. 100,00
Dr Jan J. Gólnick, Papillion, Nebr. (USA), po raz 5-ty — \$ 42,00	F. 290,00
Tadeusz Grodzicki, New Haven, CT (USA)	F. 690,00
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, PA (USA), po raz 11-ty — \$ 12,00	F. 83,00
Mamert Miż-Mieszyn, Monachium (RFN) — zamiast kwiatów na grób Aleksandra Dygnasa (Oxford) i Zofii Olsienkiewicz (Monachium) — DM 100,00	F. 315,00
Norbert Żaba, Sztokholm. — Nie mogąc podziękować osobiście za tak bardzo liczne życzenia świąteczne i noworoczne, dziękuję wszystkim za pamięć, składając na Fundusz Kultury (po raz 14-ty) Krs 200,00	F. 200,00
Polish Veterans World War II, Roselle, N.J. — Koło S.P.K. Nr 35 w Newark, N.J. (USA) — (nadesłał J. K. Jordanowski) — \$ 100,00	F. 690,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 13-ty — \$ US 100,00	F. 690,00
Witold Raginia, Chicago, IL (USA), po raz 2-gi — \$ 20,00	F. 138,00
Stowarzyszenie Polskie w Goteborgu (Szwecja) — sumę zebraną 11 stycznia br. w czasie pokazu filmu o Kulturze i pogadanki Norberta Żaby, wpływy z biletów wstępu, składki i zrzeczenia się przez Norberta Żabę zwrotu kosztów podróży — Krs 300,00	F. 300,00
Anonimowo z Chesterfield, N.H. (USA) — \$ 10,00	F. 69,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Miron Ignaczewski, Bern (Szwajcaria) — na „Solidarność” w Polsce	F. 177,75
Waldemar Kawałko, Vellmar (RFN) — na „Solidarność” w Kraju, za miesiące luty i marzec 1986, po DM 10,00 = DM 20,00	F. 60,10
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadeszli pp. Dyr. K.P.A. i przewodniczący Komitetu Bonawentura Mięgała i skarbnik Jan Jurewicz) na potrzeby „Solidarności” w Polsce — \$ 7.000,00	F. 47.600,00
Polish Canadian Action Group, Toronto, Ontario — na „Solidarność” w Polsce (nadeszła sekretarz Z. Rozawadowska) — \$ c. 999,97	F. 5.076,00
„Pomost”, Grupa Pomocy „Solidarności”, Cleveland, OH (USA), pieniądze zebrane na 3-ch mszach św. za Ojczyznę (22. 12. 1985 r., 26. 01. br. i 23. 02. br.) w łącznej sumie \$ 260,00 przekazuje na: — prasę „Solidarności” — \$ 130,00	F. 897,00
— dla rodzin aresztowanych członków „Solidarności” — \$ 130,00. (Nadeszła Aleksandra Zdulska)	F. 897,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of „Solidarity”) w Winnipegu, Man. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju \$ c. 300,00 oraz sumę zebraną 23. 02. br. na comiesięcznej mszy św. za Ojczyznę — \$ c. 248,00 — razem: \$ c. 548,00 (nadeszła p. Anna Howiecka)	F. 2.685,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

O naszej Europie

Dnia 21 stycznia 1986 odbyła się na University of Michigan, Ann Arbor, konferencja poświęcona kulturze Europy Środkowej. Celem jej było przeciwdziałanie „jaltanizacji” programów uniwersyteckich w Ameryce, wyrażającej się brakiem w nich miejsca dla krajów położonych między Rosją i Niemcami. Główne referaty odczytali: Czesław Miłosz, György Konrad z Budapesztu, Danilo Kiš z Belgradu, Tomas Venclova, wykładowca w Yale, i Józef Skvorecki, powieściopisarz czeski mieszkający w Toronto. Podajemy tekst referatu Miłosza w przekładzie z angielskiego.

Zakładam, że istnieje coś takiego jak Europa Środkowa, mimo że wiele osób zaprzecza jej istnieniu, poczynając od polityków i dziennikarzy, którzy uparcie nazywają ją Europą Wschodnią, a kończąc na moim przyjacielu Josifie Brodskim, który woli zarezerwować dla niej nazwę Azji Zachodniej. W tych dziesięcioleciach dwudziestego wieku Europa Środkowa zdaje się istnieć tylko w umysłach niektórych jej intelektualistów. Jednakże przeszłość tego regionu, wspólna mimo wielu jego języków i narodowości, jest tam zawsze obecna i bardzo konkretna dzięki architekturze tamtejszych miast, tradycji tamtejszych uniwersytetów i dziełom poetów. Również teraźniejszość nie jest pozbawiona znaków wskazujących na jedność, której zdaje się przeczyć różnorodność. Zastanawiając się nad literackimi utworami pisanymi w języku czeskim czy polskim, węgierskim czy estońskim, litewskim czy serbo-chorwackim, odnajduję w nich pewien ton i pewną wrażliwość, nie do znalezienia gdzie indziej, bo ani w zachodnioeuropejskim, ani w amerykańskim, ani w rosyjskim piśmiennictwie.

W tym referacie postawiłem sobie niewdzięczne zadanie: staram się określić specyficznie środkowoeuropejskie postawy czy sposoby myślenia. Zadanie jest niewdzięczne, bo przy tego rodzaju próbach nie rozporządzamy dokładnymi narzędziami analizy

i musimy z góry zgodzić się na nieostrość, choćbyśmy chcieli się jej ustrzec.

Europa Środkowa nie jest pojęciem geograficznym. Nie jest łatwo wytyczyć jej granice, choć idąc ulicami jej miast trudno wątpić o jej upartym życiu, czy to będzie w moim barokowym Wilnie, czy w inaczej barokowej Pradze, czy w średniowieczno-renesansowym Dubrowniku. Uczucia i myśli jej mieszkańców muszą wystarczyć do nakreślenia linii mentalnych, które zdają się być trwalsze niż granice państw.

Najbardziej uderzającą cechą środkowoeuropejskiej literatury jest świadomość historii, zarówno dawnej, jak obejmującej dzień dzisiejszy. Świadomość ta wyraża się w ujmowaniu różnych tematów, niekoniecznie historycznych, i można ją wysledzić w wierszach miłosnych czy w powieściach zajmujących się miłosnymi powikłaniami. Narratorzy i postacie, które pojawiają się w tych utworach żyją w czasie inaczej modelowanym niż czas w utworach zachodnich. Wypadki danego politycznego dziesięciolecia, ale także dziesięcioleci, które te osoby ukształtowały, również wypadki towarzyszące życiu ich rodziców, stale przebłyskują w tle i wprowadzają wymiar rzadko spotykany u zachodnich pisarzy. U tych ostatnich czas jest neutralny, bezbarwny, nieważki, płynie bez zygzaków, nagłych zakrętów, stromych progów, podczas gdy u tych pierwszych jest intensywny, spazmatyczny, pełen niespodzianek i, rzec można, bierze aktywny udział w opowieści. Dzieje się tak dlatego, że czas kojarzy się z niebezpieczeństwem zagrażającym istnieniu narodowej wspólnoty, do której należy dany pisarz. Podejrzewam, że wyobraźnia historyczna zawsze karmi się pamięcią zbiorową i poczuciem zagrożenia. W tym względzie widzę podobieństwo pomiędzy literaturą środkowoeuropejską i literaturą żydowską.

Narody tej części Europy, nawet jeżeli niektóre z nich mają za sobą okresy świetności i dobrobytu, od dawna zaznają obcego panowania, które grozi utratą ich narodowej tożsamości. Były one uciskane przez wrogów, czy byli to Turcy, Austriacy, Niemcy czy Rosjanie. Klęska Niemiec w pierwszej wojnie światowej i rozpad monarchii Habsburgów oraz rosyjskiego cesarstwa przyniosły w skutku pojawienie się organizmów, których same nazwy, symboliczne czy prekursorskie, mogą zapowiadać federalistyczne dążenia w przyszłości: Czechosłowacja, złożona z Czechów i Słowaków, oraz Jugosławia, złożona ze Słowian południowych. Po krótkiej przerwie rosyjsko-niemiecki pakt 1939 roku położył kres narodowej niepodległości na tym obszarze, podczas gdy druga wojna światowa zakończyła się powrotem do nieznośnej sytuacji z wieku ubiegłego, z tą różnicą, że imperium sowieckie przejęło władzę po trzech obalonych monarchiach.

Smutne dzieje. Nie jest jednak pewne, że wielkość i potęga

państw idą w parze z rozkwitem nauki, sztuki i literatury. Nie brak przykładów na prawdę wręcz odwrotną i niemożna wykluczać, że nieprawdopodobne gąszcze i labirynty politycznych opresji są niezbędne żeby pobudzić ludzkiego ducha, choćby po to, żeby uwolnił się od nich i zaznaczył swoją suwerenność.

Słyszę zarzut, że ktokolwiek mówi o Europie Środkowej, wskrzesza widmo Mitteleuropy, bo tak czy owak obszar ten musi być albo strefą wpływów rosyjskich, albo niemieckich. Na to odpowiem, że jeżeli tak ma być zawsze, pakt Mołotow - Ribbentrop 1939 roku, który dokonał podziału terytoriów, był zaiste wiekopomny. Trzeba jednak przyznać, że moja Europa jest domeną zacieklej nacjonalizmów, zwróconych przeciwko zewnętrznej kontroli, ale również zwracających się jeden przeciwko drugiemu i, jako taka, może być łatwo odpisana na straty, ponieważ, skoro stanowi potencjalne ognisko zadrażnień, dobrze, że ma przynajmniej jednego strażnika. Gdyby nie rządy Moskwy — brźmi argument — narodowości tego regionu skoczyłyby sobie do gardeł. Spójrzcie tylko na spory węgiersko-rumuńskie, słowacko-węgierskie, polsko-ukraińskie, polsko-litewskie. Ten stary argument obrońców kolonialnego *status quo* ma niezbyt dużą siłę przekonywującą, a jeżeli o nim wspominam, to dlatego, że intelektualista, należący do jednej z narodowych grup, jest w znacznym stopniu kształtowany przez nacisk, jakiemu poddaje go dana narodowa wspólnota. Jeżeli jest pisarzem, tradycja nakazuje widzieć w nim przywódcę, wychowawcę, obrońcę, Świętego Jerzego walczącego ze smokiem. Może protestować, bo romantyczny nacjonalizm wydaje mu się przebrzmiały, niemniej przez sam swój opór wchodzi w szczególnie związek z ludźmi swego języka: jego wyobraźnia historyczna zależy od tej więzi. Dotykam tutaj zagadnienia zbyt złożonego jak na krótki odczyt. W każdym razie znajduję dość powodów, żeby wierzyć, że najbardziej energiczne umysły w krajach o których mówię skutecznie opierają się narodowemu szowinizmowi i reprezentują znaczną siłę, zdolną pracować na rzecz zjednoczenia Europy Środkowej; w każdym razie mają poczucie wspólnych jej losów i tych cech, które różnią ją od jej wielkich sąsiadów z zachodu i wschodu.

Upokorzona narodowa duma jest zwykle żywym gruntem dla złudzeń, litowania się nad sobą i przeróżnych mitologii. Obserwując to, mieszkaniac owego gorszej Europy otrzymuje zaprawę w ironii. Samo bycie Polakiem, Czechem albo Węgrem staje się przedmiotem tej ironii i zabarwia jego stosunek do życia. Dzielny wojak Szwejk, który powtarza dawną grę niewolnika Ezopa z jego panem zyskuje więc trwałe znaczenie. Ironia znajduje dość pokarmu w obecnym międzynarodowym układzie, gdyż ten jest zniewagą dla rozumu. W erze anty-kolonializmu, w tej samej chwili kiedy rozpadły się imperia brytyjskie i francuskie,

niepodległe państwa połowy Europy zostały zamienione w kolonialne satrapie kontrolowane z zewnątrz. Podstawowym faktem są granice imperium i garnizony jego armii, podczas gdy mentalność narodu panów jest odczuwana przez podbitą ludność jako obca, niemal niemożliwa do zrozumienia i barbarzyńska. Rosyjski samo-podziw, więcej, samo-uwielbienie, wykracza poza zwykłe granice narodowej pychy i nosi znamię dziewiętnastowiecznego mesjanizmu, który w tej części świata nie zostawił dobrych wspomnień. Podobnie rosyjska współczesna literatura i sztuka, trzymająca się *clichés*, zastygła wskutek cenzury, wydaje się jałowa i mało pociągająca. A przecie niezliczeni Szwajkowie muszą w swoich stosunkach z Rosjanami udawać nabożny szacunek i wdzięczność wobec wielkiego brata.

Oczywiście, jest marksizm. Dziesięciolecia komunistycznych rządów wprowadziły radykalne zmiany na całym tym obszarze, obalając społeczne przegrody, urbanizując ludność i tworząc społeczeństwo masowe. Ten proces miał odpowiednik w przemianach, jakie zaszły w zachodniej Europie wskutek samego postępu technicznego. Były tam one przykładem egalitarnych tendencji naszej epoki. Co zdarzyło się jednak po zdobyciu władzy przez komunistów w mojej części Europy może być porównane do baśni o geniuszu wypuszczonym z butelki. Przestając być chłopami, którzy odnosili się raczej obojętnie do narodowego dziedzictwa, robotnicy przemysłowi ukazują się jako nosiciele aspiracji zarówno narodowych jak wolnościowych. Na przykład ruch Solidarności w Polsce jest typowy dla połączenia społecznej rewolty z niechęcią do rządzenia się obcych. Gwałtowny i narzucony gwałtem skok rzucił te kraje daleko od tego, czym były przed drugą wojną światową, co przyniosło w wyniku nowe konflikty i nowe cierpienia.

Wyobraźmy sobie teraz środkowoeuropejskiego intelektualistę spotykającego kolegów z zachodniej Europy, Ameryki i Ameryki Łacińskiej. Jak długo milczy albo w rozmowie oszczędza wrażliwość swoich rozmówców, wszystko idzie dobrze. Kiedy jednak zaczyna mówić swobodnie, ma wrażenie, że patrzą na niego jak na potwora ironii i cynizmu. To nieporozumienie jest z pewnością jednym z najdziwniejszych zjawisk, jakie można obserwować dzisiaj i jego dokładne zbadanie pozwoliłoby prawdopodobnie wnikać w samo sedno trudności człowieka współczesnego. Wskazówką jest tutaj niewątpliwie stosunek naszego intelektualisty do marksizmu. Wyczuwa on pewną aurę dokoła tego słowa, rodzaj nabożnej czci, i to również u ludzi dalekich od politycznych zaangażowań. On sam nie podaje się ani za marksistę, ani za anty-marksistę, po prostu wzrusza ramionami i uśmiecha się, bo wie za dużo. Istnieją, jego zdaniem, tematy demoniczne, do których trzeba podchodzić ostrożnie, jako że liczne pułapki i po-

kusy czekają tam na nierozważnych. Marksizm apeluje do szlachetnych odruchów w człowieku i stąd jego siła przyciągania. Nie można zakomunikować prawdy o nim komuś, kto nie widział go w akcji. Niemniej jego produkt, biurokratyczno-totalitarne państwo, monopolizujące wszelką polityczną i gospodarczą władzę, zostało proroczo opisane przez autora rodem z Pragi, Franza Kafkę. Bezpośrednie doświadczenie przyczyniło się do faktu, że najbardziej jak dotychczas wyczerpujący zarys dziejów filozofii marksistowskiej wyszedł spod pióra innego środkowego Europejczyka, Leszka Kołakowskiego.

Przymiotnik „demoniczny” zastosowany do marksizmu nie jest przesadą. Po pierwsze, ilość ludzi zamordowanych albo zdręczonych na śmierć w jego imię wielokrotnie przewyższa ilość ofiar narodowego socjalizmu. Po drugie, doktryna obiecująca obumieranie państwa doprowadziła do pojawienia się wszechpotężnego państwa z jego wszechobecną policją. Po trzecie, zamiast żeby skończył się ucisk człowieka przez człowieka i znikła alienacja, zamknięto człowieka w strefie alienacji całkowitej, gdzie jednostka nie należy do siebie, zarówno dosłownie jak przenośnie.

A jednak spotkanie mojego intelektualisty z jego zachodnimi rozmówcami jest utrudnione przez trwały wpływ systemu na jego myśl. Spetryfikowana doktryna marksistowska w jego krajach jest nie więcej niż liczmanem, niemniej praktyczne jej wyniki są namacalne. Przede wszystkim duża ilość ludzi została tam uwolniona od przekleństwa Adama, czyli pracy w pocie czoła. Jeżeli, jak mówią w Polsce: „Państwo udaje, że nam płaci, a my udajemy, że pracujemy”, możemy mówić o odwróceniu warunków kapitalistycznych, gdyż strach ekonomiczny, strach przed bezrobociem, w znacznym stopniu tam znika, zresztą tak czy owak czas pracy jest tam zużywany na działalność równoległą, na zdobywanie rzeczy albo pieniędzy przez prywatne transakcje, stanie w kolejkach etc. Może nie stosuje się to do ciężkiego przemysłu, ale masy urzędników, często ledwo piśmiennych, potwierdzają ten wzór, tak zresztą jak chłopci, czy zostali skolektywizowani czy nie, z ich prywatnym sektorem gospodarki. Powstały tam nawyki co do funkcji jedyne go pracodawcy, państwa. Wymaga się od niego, aby dostarczało każdemu minimum środków do życia i czyni się je odpowiedzialnym za brak towarów na półkach sklepów. Strach więc przesunął się z dziedziny ekonomii w dziedzinę politycznego nadzoru. Imigrantom z bloku sowieckiego do krajów zachodnich niełatwo przychodzi zrozumieć zasadę polegania każdego na sobie, która zakłada nędzę, bezdomność albo głód jako karę za przegraną. Wszystko to nie pozostaje bez wpływu na umysł środkowoeuropejskiego intelektualisty. Szukając takich zachodnich rozmówców, którzy by wykazali zrozumienie dla jego poglądów, zauważa, że tylko konserwatyści biorą poważnie jego wstręt

do politycznego ucisku i jego obronę wolności. Liberałowie zdają się mieć uszy zamknięte, bo ich prawdziwą pasją jest bicie się w piersi i nienawiść do kapitalistycznego systemu. Jednak postać o której mówię nie może być sprzymierzeńcem konserwatystów, z wyjątkiem chyba polityki zagranicznej, ponieważ uznaje za pewne, że *welfare State* odpowiada ludzkiej elementarnej potrzebie przyzwoitości i potrzebie bezpieczeństwa. Zdaje sobie sprawę z dylematów, które powstają, kiedy opieramy się na państwie i jego mnożącej się bez końca biurokracji, ale ma nadzieję, że mogą one być zażegnane bez wyrzekania się wolnych decyzji jednostki.

Jeżeli jego sposób myślenia może wydać się ludziom Zachodu dziwny, dzieje się tak, podejrzewam, dlatego, że nosi on ślady heglizmu, który stał się u niego niemal instynktowny. Mój środkowy Europejczyk rozumie w kategoriach ruchu historii i życia idei, których zwycięstwo albo rozkład wskazują w jakim kierunku pójdą ludzkie społeczeństwa.

Zafascynowanie Marksem, widoczne przez kilka dziesiątków lat u najbardziej twórczych artystów i myślicieli, świadczyło, jego zdaniem, o sile rewolucyjnego nurtu. Teraz jednak marksizm został zrzucony u góry, przez elitę, zarówno na Wschodzie jak na Zachodzie, a równocześnie przyciąga umysły niższe i rozpowszechnia się wśród ludzi dopiero wychodzących z analfabetyzmu. Podobne zsuwanie się od góry do warstwy powszednich mitów charakteryzuje myśl Freuda. Jakaż więc jest prognoza? Prawdopodobnie taka: dziewiętnastowieczne pojęcie „naukowości” musi odbyć swoją drogę. Marks chciał dedykować swój „Kapitał” Darwinowi, i chociaż Darwin propozycji nie przyjął, więc pomiędzy różnymi naukowymi i pseudo-naukowymi teoriami ewolucji jest oczywista. Ponieważ człowiek nowoczesny został wychowany w duchu dziewiętnastowiecznej nauki, marksizm nadal przyciąga wielu, choć usycha stopniowo od góry, gdzie jego koherencja jako filozofii została podana w wątpliwość. Przesadzając nieco, powiedziałbym że środkowy Europejczyk jest skłonny dzielić ludzi, gdziekolwiek ich spotyka, na trzy kategorie: proto-marksistów, marksistów i post-marksistów, do tego stopnia poważnie odnosi się do idei-sił wcielonych w główne filozoficzne kierunki jego epoki.

Czy świat jego jest apokaliptyczny? Nie w tym sensie, w jakim jest apokaliptyczny dla wielu pisarzy Zachodu. Wygląda na to, że odrzuca on rozmyślanie nad możliwymi skutkami wojny nuklearnej jako bezużyteczne i przesuwając samą możliwość wojny w dziedzinę absurdu humoru, po to żeby pisać opowiadanie o chłopskim weselu, na którym pijani goście używają w bitce nie noży, ale broni atomowych, albo o rakiecie międzykontynentalnej, umieszczonej przez władze na czymś prywatnym balkonie.

Za to ponure wizje przyszłości w innym, być może głębszym, znaczeniu pojawiają się często w literaturze tej części Europy. Nie zapominajmy, że słowo „robot”, dziś powszechnie przyjęte, zostało wprowadzone przez Karela Čapka i że powieści oraz sztuki St. Ign. Witkiewicza okazały się prorocze. Opisał on z góry, przed Orwellem, totalitarne rządy partii „niwelistów” i los artystów kontrolowanych przez, jak je nazwał, Ministerstwo Mechanizacji Kultury. Przyszłość w takich utworach jest rozpatrywana w odniesieniu do wewnętrznego rozkładu społeczeństwa burżuazyjnego, które jest zbyt słabe, aby skutecznie opierać się „niwelistom” — ci zdobywają władzę i likwidują swoich oponentów. Tutaj natrafiamy na główny składnik dzisiejszej krytyki Zachodu, równoległej, choć nie identycznej z antyzachodnią propagandą, bez ustanku uprawianą przez niwelistów czyli partie komunistyczne. Propaganda mówi o dekadencji kapitalizmu, której przeciwstawia zdrowie tak zwanych socjalistycznych społeczeństw. Nie potrzeba jednak wyjątkowej przenikliwości, żeby zauważyć, że słowo „dekadencja” można zastosować do obu stron, jeżeli, a przyjmuję, że jest to poprawne, dekadencja oznacza utratę pojęć dobra i zła. Całkowita relatywizacja dobra i zła przez uzależnienie ich od społecznych kryteriów danego historycznego momentu jest ogromnie ważnym wydarzeniem w dziejach europejskiego umysłu i w tym względzie Nietzsche, który zapowiadał „nihilizm europejski”, był nie mniej apokaliptyczny niż Dostojewski, który w „Biesach” nakreślił główne cechy rosyjskiej rewolucji. A niechęć do zrozumienia, że utrata metafizycznego fundamentu jest wielką tragedią, cechuje ludzi dzisiaj dokładnie tak, jak przewidział Nietzsche. Człowiek jednak nie może już używać swoich wybiegów, które pozwalały mu na ucieczkę od problemu, z chwilą kiedy napotyka totalitarne państwo. Przedmiot pogardy ze strony rządzących, nie chroniony już przez dziesięcioro przysiężników, ofiara, jeden z milionów do zbycia, odkrywa, by tak rzec, empirycznie niewątpliwą linię oddzielającą dobro od zła. Na tej długości geograficznej, o której mówię, doświadczenie narodowego socjalizmu dowiodło, że nie można relatywizować podstawowych wartości i wchodzić co do nich w kompromisy bez popadnięcia we współnictwo ze zbrodniarzami. Jednakże — i tutaj wracam do apokaliptycznego myślenia w Środkowej Europie — sprawy przestały wyglądać tak prosto pod rządami komunistów. Program na daleką metę zmierzający do stopniowego wchłonięcia społeczeństwa przez państwo ma to do siebie, że trudno już w praktyce rozróżnić pomiędzy podłością i uczciwością, kłamstwem i prawdą. „Rok 1984” Orwella zdumiewa precyzją diagnozy, nawet jeżeli posuwa za daleko swoją negatywną ocenę umysłu „prołów” i nie bierze pod uwagę prywatnych gospodarczych transakcji, tego marginesu, bez którego system nie mógłby się utrzy-

mać. Ogólnie biorąc, obserwator systemu nie skłania się jednak do większego optymizmu niż Orwell. Jego zdaniem nie jest wykluczone, że państwo totalitarne logicznie następuje po duchowym spustoszeniu nowoczesnego człowieka i stanowi rodzaj kary, jak w biblijnej opowieści o Wieży Babel. Jeżeli tak jest, przyszłość planety będzie naprawdę niewesoła.

A jednak inna właściwość ludzkiego typu, który opisuję, sprzeciwia się tym przygnębiającym wróżbom. Każdy kto trochę zna historię Czechów, Węgrów czy Polaków wie, że niektóre zasady zachowania się, obowiązujące tam inteligencję, mają za sobą wiele stuleci. Pojęcie obywatelskiego obowiązku, wierność marzeniom o tym, jakie powinno być polityczne i społeczne życie w danym kraju, oto co cechuje społeczno-religijne ruchy czeskich Husytów, polskich Socynian, wydaje obszerne utopijne dzieła o idealnym chrześcijańskim państwie, jak np. „De Republica Emendanda” Andrzeja Frycza-Modrzewskiego (1551), inspirowane pedagogiczną, naukową i teatralną działalnością Jana Amosa Comeniusa. Niewątpliwie wolnościowe i zwrócone zarówno przeciwko supremacji Kościoła jak państwa, dążenia te zapowiadają wielki romantyczny i demokratyczny zryw w końcu osiemnastego i w początku dziewiętnastego wieku, kiedy to trzeźwe idee Oświecenia podchwycono z schillerowskim entuzjazmem. Wszystko to bynajmniej nie jest zapomniane i nadaje środkowoeuropejskiemu piśmiennictwu odcień nostalgii, utopizmu i nadziei.

Brak jest dzisiaj podstaw, aby spodziewać się, że obecny międzynarodowy układ zmieni się w możliwej do przewidzenia przyszłości. Po wojnach napoleońskich mocarstwa podzieliły między siebie łupy na Kongresie Wiedeńskim i ustanowiony porządek trwał, z niedużymi zmianami, do roku 1914. Długa walka rewolucjonistów z łajdactwem sprzymierzonych monarchów nie zapobiegła powtórzeniu się tego samego wzoru w Jafcie. Z perspektywy Moskwy nowozdobity obszar jest posiadłością, która ma być stopniowo asymilowana i sowietyzowana, chociaż, jak dotychczas, to zamierzenie niezbyt się udało, jak wskazują wydarzenia roku 1956 na Węgrzech, 1968 w Czechosłowacji i lat 1980-tych w Polsce. Niemniej czołgi rosyjskie są na pododrodziu, żeby udzielić lekcji. W takich okolicznościach niech mi będzie wolno stwierdzić bez ogródek, że wyobraźnia humanisty nie powinna być utożsamiana z wyobraźnią polityczną, a nawet zwraca się przeciw niej, bo zajmowanie się prawdopodobieństwami, łącznie z szansą na przetrwanie planety, strategią, wskaźnikami ewolucji itd. są dość szkodliwym zajęciem dla kogoś, kto para się humanistyką. Co do mnie (a chyba jasne, że w tym referacie nakreśliłem też swój portret), sądzę, że Środkowa Europa jest aktem wiary, projektem, a nawet, powiedzmy, utopią, ale powody mego opowiedzenia się za nią są całkiem realistyczne. Jak wskazuje sama nazwa

licznych *Centers For Russian and Eastern European Studies*, podział Europy na Zachód i Wschód został przyjęty na amerykańskich uniwersytetach. Można się temu sprzeciwić powołując się na to, że taki podział myli granice polityczne z kulturalnymi granicami w przeszłości. Ci, którzy tak rozumują, wysuwają argument, że kulturalny podział Europy na dwie połowy był przez wiele wieków identyczny z podziałem na strefę Rzymu i strefę Bizancjum i że kościelna łacina oraz prawo rzymskie wyznaczały wschodnie granice Zachodu. W tym argumentie można wyczytać skargę narodów dumnych z ich przynależności do kultury zachodniej i teraz u-wschodnianych siłą. Skarga ta nie jest bezzasadna. Niemniej fakty nie upoważniają do tak wyraźnego podziału, gdyż ani stara granica religijna pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem nie stanowi dokładnego wyznacznika, ani kraje położone między Niemcami i Rosją nie były tak znowu bardzo zachodnie. Idee przenikające z zewnątrz były tam rozważane i przerabiane aż zyskiwały inną jakość, miejscowe obyczaje wykazywały dużą trwałość, instytucje przybierały inne formy niż w zachodniej części Europy, która mogła tylko śledzić z zakłopotaniem husytyzm w późnym średniowieczu czy „raj heretyków” (*paradisum hereticorum*) w Polsce i w Siedmiogrodzie. I nawet dzisiaj przeciętny Francuz czy Amerykanin nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co to jest Kościół unicki czyli greko-katolicki. Poza tym, niezależnie od prozachodniego snobizmu, my, z tych przeważnie rolniczych marchii, mieliśmy niejedną powód do sporu z zachodnimi społeczeństwami oddanymi handlowi i manufakturze. Obecny niejednoznaczny stosunek do kapitalistycznego Zachodu nie jest niczym nowym.

Higienicznym, by tak rzec, powodem do wybrania terminu Europa Środkowa jest to, że pozwala on szukać specyficzności jej kultury i chroni nas od mylnych analogii. W ostatnich dziesięcioleciach można było obserwować w europejskiej literaturze i sztuce ciekawe zjawisko: żelazna kurtyna i różnice dwóch politycznych systemów tylko częściowo zatamowały krążenie idei i mód, wbrew wszelkim wysiłkom, aby hermetycznie zamknąć granice i narzucić rosyjskie modele. W poezji, w malarstwie, w teatrze Warszawa, Praga i Budapeszt są podobniejsze do Paryża, Amsterdamu i Londynu, niż do Moskwy. A przecie szukanie w Środkowej Europie ech zachodniego surrealizmu, egzystencjalizmu, strukturalizmu czy teatru absurdu byłoby nieproduktywnym zajęciem. Jeżeli są wpływy, są one przenoszone w inny wymiar, często zmieniane w ich przeciwieństwo wskutek jedyńskich w swoim rodzaju zbiorowych doświadczeń. Jestem skłonny zgodzić się z Milanem Kunderą, kiedy mówi, że w obecnej chwili literatura naszej Europy ma więcej siły i energii niż jej zachodnie odpowiedniki. Wolno się zastanawiać nad brakiem związku między

standardami codziennego życia i standardami sztuki, niemniej jest faktem, że na przykład tłumacz poezji polskiej na angielski ciągle znajduje ważne utwory w kraju tak nędznym i uciskanym jak Polska.

Inny aspekt wymiany kulturalnej może być wydobyty dzięki pojęciu Europy Środkowej, a jest tym miejsce rosyjskiej literatury i sztuki w kosmopolitycznej erze przed Rewolucją, kiedy to rosyjscy artyści i pisarze wnosili swój wkład do ogólnoeuropejskiego ruchu modernizmu i symbolizmu. Badanie symbolizmu mogłoby dostarczyć ciekawych przykładów, gdyż rosyjski symbolizm nie był podobny do francuskiego, natomiast symbolizm polski (przepraszam za wracanie do swego podwórka) był z kolei inny niż symbolizm rosyjski, jak tego dowodzi w swoich dziwacznych utworach dramatycznych Stanisław Wyspiański czy w swoim malarstwie Jacek Malczewski. Wiedza o rozbieżnych ścieżkach w obrębie tego samego nurtu może być użyteczna w przyszłości, kiedy rosyjska literatura i sztuka odzyskają swoją spontaniczność.

Sumując, nie traktuję moich słów o Europie Środkowej jako wyrazu ubolewań nad tym, że sprawy są dzisiaj takie jak są. Wiele jest do zrobienia, w badaniach literackich, w krytyce, w historii sztuki, w historii ruchów umysłowych. Starając się wydzielić te elementy, które są wspólne nam wszystkim, mówiącym językami naszego obszaru, uprawiając od dawna zaniedbane studia porównawcze naszego dziedzictwa, możemy przyczynić się do zmniejszenia narodowych konfliktów, nawet jeżeli dzień tak czy inaczej pojętej federacji środkowoeuropejskiej jest odległy.

Czesław MIŁOSZ

(Przekład autora)

Polski architekt

Mówiąc o Czesławie Bieleckim, mówi się coraz częściej o więźniu politycznym, działaczu, publicyście i nowo przyjętym członku PEN-Clubu a coraz rzadziej o architekcie. A przecież właśnie to że Czesław Bielecki jest architektem i to architektem którego można bez wahania zaliczyć do obszaru Nowej Architektury wydaje mi się szczególnie ważne.

Kultura polska poszczycić się może wybitnymi jednostkami we wszystkich niemal dziedzinach kultury międzynarodowej ostatnich lat z wyjątkiem architektury. Porażeni socrealizmem architektki polscy średniego pokolenia mieli do nowoczesności stosunek bezkrytyczny. Powiększali więc zastępy wyznawców Stylu Międzynarodowego, to znaczy zbanalizowanej wersji architektury nowoczesnej, odnosząc sukcesy w konkursach międzynarodowych lat 60-tych przeważnie dzięki bardzo ścisłemu traktowaniu programu i strony funkcjonalnej, połączonym często z rzucającym się w oczy gestem kompozycyjnym który miał zaskakiwać nowością.

W tym samym czasie to samo pokolenie w krajach zachodnich wydało architektów-pionierów. Anglicy, Austriacy, Włosi, Francuzi, Niemcy, Amerykanie czy Japończycy, każdy z osobna, bez zjazdów i manifestów, powracali refleksją do przeszłości i wyobraźnią uwolnioną od demiurgicznej, obrazoburczej arogancji jaką niosła ze sobą stara nowoczesność odszukiwali zagubione wątki, odnajdywali utraconą ciągłość, ożywiali odwieczne reguły rządzące formą i, odrzucając milczenie ogołoconych ze wszystkiego gmachów-pudeł, starali się przywrócić architekturze jej dawną zdolność mówienia i wyrażania ludzkich spraw. Takie były początki Nowej Architektury i z nimi wiąże się myśl Czesława Bieleckiego:

„Z trzech postaw możliwych dla architekta: akceptacji, negacji i reinterpretacji wzorów pozostawionych przez kulturę prze-

szłości — tylko ta ostatnia spełnia wymogi wolności jednostki ludzkiej. Pierwsza jest wyrazem manipulowania człowiekiem jako elementem starego społeczeństwa niezdolnym do krytycznej autoanalizy, druga wyrazem manipulowania nim jako elementem nowego społeczeństwa mającego być celem jednostkowej lub grupowej kreacji. Słowem każda z postaw nie zawierających w sobie architektury jako służby jest postawieniem się architekta ponad społeczeństwem”.

Czesław Bielecki, wzywając do przemysłenia reguł gry dzięki którym miasta historyczne powstawały na kanwie planu, ale przy współdziałaniu mieszkańców, jest za przywróceniem ciągłości bo rozumie że pustka jaką zionie zła nowoczesność jest konsekwencją totalnych mechanizmów awangardy lat 20-tych i ich terroru intelektualnego. Pisze on:

„Wiek dwudziesty udowodnił nam że rewolucja w architekturze prędko zmieniła się w zwykły zamach stanu: stanu artystów na stan użytkowników-odbiorców”.

Jeśli połączymy ten zamach stanu z zamachem jakiego stanu zawodowych rewolucjonistów dokonał na stan obywateli, symetria między awangardą artystyczną i awangardą polityczną ukaże się w całej swej wyrazistości. Symetria mało znana, którą bowiem pamięta że tacy twórcy architektury nowoczesnej jak Walter Gropius czy Mies van der Rohe należeli do „Novembergruppe” — „Grupy Październikowej” — powstałej w Niemczech w roku 1918 i nazwanej tak na cześć miesiąca w którym wybuchła rewolucja mająca rozpocząć budowanie Nowego Świata. Członkowie tej grupy uważali się za „rewolucjonistów ducha” i twierdzili że rewolucji społeczno-politycznej towarzyszyć musi rewolucja artystyczna.

Wielu spośród najwybitniejszych architektów europejskich tego okresu jak Le Corbusier, Perret, Lurçat, Mendelson, Poeltzig, Ernest May, Hannes Meyer i inni, projektowało dla młodego Związku Sowieckiego i wzięło udział z początkiem lat 30-tych w konkursie na Pałac Sowietów który, będąc początkiem ery porewolucyjnego cezaryzmu Stalina, położył kres tej współpracy.

Ideologia rewolucyjna wydawała się wówczas nową podstawą moralną sztuki, jedyną mogącą zastąpić utracone świętości i nadać sens nowemu dziełu zagwarantowanemu postępowaniem i znajomością praw rządzących rzeczywistością. Dzięki niej można było przekreślić wszystko co pozostało z przeszłości i budować od początku Nowy Świat.

Wie o tym Czesław Bielecki, kiedy pisze że:

„Podstawą myślenia architekta lat dwudziestych było — wy-

wodzące się z osiągnięć nauk przyrodniczych i technicznych wieku poprzedniego — przekonanie, że człowiek jest w stanie poznać na tyle prawa rządzące rzeczywistością, że może w dowolny sposób w oparciu o znajomość tych praw kształtować nową rzeczywistość. Skoro ja WIEM w jakiej przestrzeni ludzie będą szczęśliwi, mówił architekt awangardy, to moim obowiązkiem jest stworzyć taką przestrzeń, a ludzie się do niej przyzwyczają, choćby na początku byli zaszokowani... Wyznaniem nowej wiary był projekt przebudowy Paryża, w którym Le Corbusier wycierał gumką starą tkanę miejską, zastępując ją kilkudziesięcioma identycznymi wieżowcami”.

Ale Bielecki pisze też że:

„Skoro wiemy już dziś że nie zbudujemy Nowego Wspaniałego Świata, powinniśmy spróbować znów odnaleźć ciągłość kultury na drodze podporządkowania się choćby tym konwencjom, które wbrew panującym doktrynom architektonicznym tworzą się podskórnie... Konwencja przeżera nas na wskroś. Są nawet konwencjonalne sposoby przetamywania konwencji, mówi aforyzm Elzenberga. Największą klęską sztuki XX wieku było to, że chciała za wszelką cenę uciec przed Formą i wpadła sama w jej pułapkę: nigdy nie skonstruowano w dziejach tylu form bez treści, bez związku z rzeczywistością... Eksperyment w architekturze łatwo zagraża podstawowym normom moralnym, choćby przykazaniu: nie czyn drugiemu co tobie niemiłe. Jest tajemniczą poliszynela że architekci często nie chcą dziś mieszkać w domach które sami projektują i chętniej niż kiedykolwiek adaptują domy z poprzednich epok”.

Jeśli eksperyment w architekturze łatwo zagraża podstawowym normom moralnym, to co dopiero można powiedzieć o eksperymentach w polityce?

Czesławowi Bieleckiemu chodzi o to, o co chodzi dziś architektom młodego pokolenia. Chciałby żeby język architektury stał się znów czytelny dla odbiorców, żeby ludzie odnajdywali drogę do mieszkań nie przy pomocy strzałek ale dzięki możliwości odróżnienia jednego domu od drugiego, żeby dzieci zapamiętały drogę do szkoły i swoje miasto, żeby architektura znalazła, jak w przeszłości, związek ze społeczeństwem przerwany przez awangardę, która chcąc zbudować Nowy Świat nie Z ludźmi ale DLA ludzi, zrodziła ograniczony w przestrzeni totalizm socjalistycznego państwa i wszechogarniający totalizm upokarzającej monotonii otoczenia. Pyta się Bielecki jak zapisać w architekturze autentyczne życie, jak je przewidzieć, jak ukształtować formy architektury, by nie ograniczały one zmiennych treści życia społecznego i odpowiada sobie sam:

„Trzeba architekturę — jak w przeszłości — sprząć z mechanizmami społecznymi, które nie pozwolą jej być monotonną. Ale nie bądźmy naiwni: tworzenie żywych kategorii przestrzennych, dających odbiorcy poczucie uczestnictwa wymaga wyzwolenia tych wewnętrznych mechanizmów społecznych, a to już nie jest sprawą tylko architektów”.

To zdanie tłumaczy dlaczego, posiadając iście leonardowską wszechstronność, nie ograniczył się do samej architektury. Ona jest jednak jego głównym nurtem. Z niej czerpie pasję i przejrzystość myśli. Na jej przykładzie rozumiał zależności pomiędzy manipulacją estetyczną i polityczną. Rozumiał związki jakie zachodzą między estetyczną i polityczną utopią i wyciągnął z tego wnioski.

Bohdan PACZOWSKI

Przytoczone cytaty Czesława Bieleckiego pochodzą z „Architektury” (nr 3-4 1978) i z „Polityki” (nr 32 1974).

NOTA BIOGRAFICZNA

BOHDAN PACZOWSKI, urodzony w Warszawie w roku 1930. Absolwent wydziału architektury Politechniki krakowskiej w r. 1957 i mediolańskiej w r. 1968. Asystent wydziału architektury wewnątrz ASP w Krakowie 1955-1960. Żyje we Włoszech 1960-1980, gdzie otrzymuje nagrodę włoskiego Instytutu Architektury INARCH 1967. Od 1980 w Paryżu, gdzie łączy się z architektami J. F. Bellon i P. Sobotta.

Zrealizował m.in. siedzibę Komisji CEE im. Jean Monnet w Luksemburgu 1973-1979, gdzie realizuje obecnie rozbudowę Trybunału Międzynarodowego CEE.

Ważniejsze konkursy: Pomnik Bohaterów Warszawy 1957, II-ga nagroda. Kościoły w Nowej Hucie i w Częstochowie 1958, wyróżnienie i II-ga nagroda. Rozbudowa nowego ratusza w Krakowie 1959, II-ga nagroda. Centrum turystyczne w San Sebastian w Hiszpanii 1965, II-ga nagroda. Zorganizowany przez pismo *Architectural Review* konkurs na ideę sklepu złotniczego na Bond Street w Londynie 1981, III-cia nagroda. Budynek Ministerstwa Finansów w Paryżu 1983, wyróżnienie. Szpital w Aubervilliers 1984, I-sza nagroda. Rozbudowa szpitala Cochin w Paryżu 1985, I-sza nagroda i realizacja. Centrum Metz-Tessy 1985, I-sza nagroda i realizacja.

Opublikował teksty teoretyczne w *Preuves*, *Architectural Review*, *Architecture d'Aujourd'hui*, *CREE* i innych.

Przed burzą

Dobrze pod wieczór bracia zatrzymali się pod żelaznym ogrodzeniem. Płaski, betonowy budynek wyglądał jak garaż albo bunkier. Starszy potrząsnął parę razy furtką. Zamknięty na kłódkę łańcuch zgrzytnął i nie puścił.

Słońce już nie oślepiało ale upał ciągle znęcał się nad ludźmi. Kamienistą szosą przejechała rozklekotana ciężarówka, podniosła kłęby kurzu i znikła. Bracia wyglądali jak każdy w okolicy. Wzrostu raczej średniego, włosy w kolorze raczej szarym, odwłok długi przy nogach raczej krótkich, oczy wybałuszone, nosy ulepione z kilku kawałków. Ogólny wyraz twarzy taki, że nic z niej nie można wyczytać. Obaj mieli dobry charakter. Lubili się napić i dać po mordzie. Ale teraz byli zmęczeni. Jednakowym ruchem zdjęli z głowy przepocone czapki, otarli rękawami mokre czoła, poskrobali poskręcane z upału włosy i zadarli głowy do góry. Ołowiane chmury leżały nisko na koronach wyschniętych drzew grożąc deszczem.

— Ojciec zawsze był taki — mruknął starszy. — Nie dawał żyć za życia, męczył po śmierci.

Dziś z rana przyszło zawiadomienie, że ojciec umarł i że natychmiast muszą odebrać ciało. Był najgorętszy okres zniw. Pracowali po 20 godzin na dobę. Nie zwiezione do końca zboże zalegało pole. Nie daj Boże deszcz.

Do szpitala było ze sto dwadzieścia kilometrów. Stara ciuchcia wlokła się przez dobre 6 godzin. Przyjechali za późno. Zanim załatwili papiery kostnica była zamknięta. Dozorca kazał czekać do rana. Zresztą jedyna karetka, którą można by przewieźć ciało pojechała nie wiadomo gdzie.

Nagły powiew wiatru smagnął sosny i opadł bez sił. Parę ciężkich kropel deszczu uderzyło o ziemię. Mały, przypomina-

jący robaka pies przekulał koło nich na trzech łapach. Młodszy sięgnął po kamień, rzucił i trafił. Pies zapiszczał, skulił się jeszcze bardziej i spróbował przyspieszyć. Chwilę patrzyli za nim obaj.

— Bierzemy tatę — zdecydował starszy.

Przerzucili nogi na drugą stronę przerdzewiałej furtki. Drzwi do prosektorium podważone nożem ustąpiły z jękiem. W środku było chłodno i przyjemnie. Odczekali przyzwyczajając oczy do półmroku. Zobaczyli dwa drewniane stoły. Ciała przykryte były prześcieradłem.

— Ten większy to będzie tato — pokazał głową starszy.

Wypakował z teczki odświętne czarne ubranie. Białą wykrochmaloną koszulę, lakierki. Przytulony do ojca pod tym samym prześcieradłem leżał noworodek. Chude plecki pokryte były ciemnymi plamami. Ojciec nie zdążył jeszcze zeszywnieć ale ubieranie zajęło tyle czasu, że nie mieli chwili żeby zapalić. Nasunęli mu czapkę na oczy, wzięli pod ręce. Tato ciężko huknął o ziemię po drugiej stronie płotu.

Do pociągu ruszyli biegiem. Miasteczko rozpyływało się już w wieczorze. Pojedyncza gwiazda błysnęła i utonęła w chmurach. Nogi ojca wlokąc się po ziemi wzbijały obłoki kurzu. Koło samej stacji wesoło spali sobie na ziemi pijani a na ich twarzach spały muchy. Pociąg był pusty. Kupili trzy bilety i ledwo posadzili ojca wygodnie w kącie kiedy osiem wagonów zakołysało się na szynach. Za oknami przesunął się pokryty obdrapaną farbą budynek stacji i pasek kamienistej szosy. Uchyliłi czapek przed wieżyczką kościółka. Z kilku zabudowań błysnęły pojedyncze światełka ale ciężka czarna noc zalewała już pola jak atrament.

— Może i nie będzie padać — zauważył starszy.

Młodszy kiwnął głową. Skręcili równo papierosy, zapalili i zasnęli. Po godzinie albo dwóch obudziła ich latarka konduktora. Pociąg stał. Z knajpy na malutkiej stacji dolatywały wesołe głosy.

— Dlaczego stoimy? — zapytał młodszy.

Konduktor przeciął trzy bilety, nie odpowiedział i odszedł. Minęło dwadzieścia minut, a może pół godziny. Z ciemności wyłoniło się stado krów. Zwierzęta szły ciężko. Na zwieszonych nisko nad ziemią pyskach gotowała się ślina. W knajpie zachrypnięty męski głos śpiewał piosenkę o Afryce, gdzie kobiety tańczą gołe tylko w samych futrach, ocean się kołysze, lata kolorowe ptactwo i najbiedniejszy kelner nosi frak.

Posłuchali i ogarnęła ich tęsknota.

— Która godzina? — zapytał starszy.

— Ja też bym się napił — ucieszył się młodszy.

Nacisnęli ojcu głębiej czapkę na oczy i wysiedli.

Przed samym wejściem do knajpy biło się na noże dwóch

zaopatrzeniowców, ale z powodu nadmiernego upału, albo upicia nie mogli się trafić. Przepuścili braci grzecznie.

Piwo z beczki było ciepłe. Dolali do kufli po szklance wódki, wypili raz, potem drugi, odetchnęli głęboko i poczuli się lepiej.

— Nie wierzę żeby ojciec umarł na raka — zauważył młodszy. — Jeszcze nie słyszałem o żadnym trunkowym człowieku, co by mu rak dał radę.

Zamówili nową flaszkę i zobaczyli jak za oknem przesuwa się wolno czerwona latarnia. Dogonili pociąg na ostatnich nogach. Wskoczyli na platformę końcowego wagonu. Usiedli na stopniach i dysząc, kolejno pociągali z butelki.

Na stacji wsiadł do pociągu tylko jeden pasażer. Był nieduży, chudy, wygięty do przodu jak rączka parasola. Z wyrazem udęki pchał przed sobą kuferek z okazjnie kupioną maszyną do szycia wyprodukowaną w NRD. Był krawcem. Dwa lata temu zepsuła mu się krajowa maszyna, szył ręcznie, tracił klientelę i ciągle marzył o takiej właśnie z Niemiec Wschodnich, co to i haftuje i obrzuca dziurki. Miał naturę silną i wytrzymałą, dlatego osiągnął to, co chciał. Maszynę kupił nielegalnie za dużą łapówkę od kierowniczkii spółdzielni krawieckiej. Wydał na to prawie wszystkie oszczędności życia i nie żałował. Teraz popychając przed sobą maszynę pustym, ciemnym korytarzem zaglądał do przedziałów, szukając żywej duszy. Przeżył 64 lata, miał trudne życie i był z tego dumny, ale bał się pustych podmiejskich pociągów. Był tak chudy i zasuszony, że upał machnął na niego ręką. Krawiec nawet się nie pocił. Tylko maszyna coraz bardziej ciążyła w rękach i obcierała kolano.

W pierwszym wagonie za lokomotywą zobaczył siedzącego w kącie przy oknie staruszek z nasuniętą na oczy czapką. To było lepsze niż nic. Staruszek ubrany był całkiem przyzwoicie na czarno. Krawiec odchrząknął parę razy, ale wyglądało, że stary mocno śpi. Resztką sił wtaszczył na półkę maszynę, żeby nie kusiła złęgo oka, i opadł na siedzenie. Przez parę minut próbował walczyć z sennością, ale gorąco i kołysanie wagonu zrobiło swoje.

Pociąg gwałtownie przyhamował. Spod kół buchnęły fontanny iskier. Nagły wstrząs rzucił braci na siebie. Szkło roztrzaskało się o szyny. Popatrzyli w niebo czarne, bez śladu gwiazd i księżycy. Pociąg szarpnął, zazgrzytał i znów potoczył się nabierając szybkości. Bracia odplunęli, podnieśli się i weszli do wagonu. Minęli konduktora. Spał oświetlając sobie twarz latarką elektryczną. Dalej nie było już nikogo.

Nagle hamowanie rzuciło krawca na sąsiednią ławkę. Kiedy rozcierał sobie obolały łokieć, nastąpiło coś gorszego. Maszyna do szycia runęła z łoskotem wprost na staruszkę pod oknem. Krawiec jęknął, upadł na kolana, ostrożnie otworzył zamki, podniósł wieko i odetchnął. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglą-

dało dobrze. Zamknął pokrywę starannie na oba zatraski. Po-tem spojrzął na staruszka. Czapka zsunęła się do tyłu. Przez skroń biegło głębokie cięcie. Wywrócone gałkami do góry oczy patrzyły nieruchomo w sufit. Krawiec zwiesił smutno głowę. Wyglądało, że tamten ma już wszystkie kłopoty za sobą. Jego czekało śledztwo, przesłuchania. Maszynę do szycia skonfiskują na pewno. Dotknął ostrożnie ramienia tamtego. Ręka opadła bezwładnie. Uchylił drzwi, wyrzwał w ciemność pustego korytarza. Przeżegnał się i otworzył okno. Pola spały otulone ciszą. Stękając z wysiłku upychał nieposłuszne ciało. Twarz pogłaskała mu cienka jak witka lodowata ręka. Kiedy po wszystkim opadł na siedzenie skreślił go atak duszności. Powietrze charczało i świstało w sfatygowanych płucach. Schylił się, podniósł z podłogi czapkę, prawie nie używaną, uszytą z dobrej 80 % wełny i wykończoną satynową podszewką. Obrócił ją w rękach i rzucił w mrok.

Kiedy bracia dotarli do przedziału siedział tu tylko wychudzony człowieczek ściskający między kolanami nieduży kufer. Patrzył na nich wystraszonymi oczkami.

— Gdzie tato? — zapytał starszy.

— Ten pan z przeciwka wysiadł na poprzedniej stacji — powiedział szybko człowieczek i uśmiechnął się przymilnie.

Bracia jednakowo otworzyli usta. Młodszy zapominając, że flaszka się stłukła zaczął obmacywać kieszenie. Starszy zdjął czapkę i długo drapał się po głowie.

— Diabeł nie ojciec — powiedział w końcu.

Lokomotywa zagwizdała. Pociąg zwolnił i stanął. Z ciemności znowu wynurzyły się krowy. Oblepione kurzem i potem człapały ponuro drogą przy przejeździe. Setki krów.

— W życiu nie widziałem tylu krów — zauważył młodszy.

— To pierwszy sekretarz partii robi potajemnie inspekcję województwa. Telewizja codziennie pokazuje go w innej wsi na tle tych samych krów. Bydło przepędza się nocą, dlatego zamknęli szosy — wyjaśnił Krawiec.

Wiatr rzucił o szybę drobnymi kroplami deszczu. Zaczynała się ulewa.

Janusz GŁOWACKI

Pierścień

W wyzwolonym lecz wojennym jeszcze Neapolu, tratowanym przez żołnierzy alianckich, opisanym dość wiernie przez Malapariego w *La Pelle*, słyszałem historię której autentyczności nie mogłem czy nie próbowałem wówczas sprawdzić.

Opowiedziała mi ją w zaułkach „hiszpańskich” dziewczyna „lekkich obyczajów” Titina. Była dziewczyną „lekkich obyczajów” w cudzysłowie właśnie: pracowicie zbierała pieniądze na wyprawę ślubną, oczekując powrotu narzeczonego, jeńca w Afryce. Taki był wtedy Neapol, krzątał się jak umiał koło swoich spraw, zgłodniały i odurzony wojną, atawistycznie przywykły do własnych i obcych „najeźdźców”, w zajadłej żywotności obojętnej na wszelkie „obyczaje”.

Moi neapolitańscy znajomi uznali usłyszaną przeze mnie historię za legendę, zmyśloną pewnie i puszczoną w ruch przez jakiegoś admiratora noweli Boccaccia *Andreuccio z Perugii*. Nie nalegałem, szybko też zrezygnowałem z dalszych dochodzeń. Opinia moich znajomych wydawała się bardzo prawdopodobna w ówczesnym Neapolu, wylęgarni fantastycznych, komponowanych na przódce opowieści, którymi starano się „okrasić” nędzę i poniewierkę miasta. Więc i opowieść Titiny wyrzuciłem z pamięci.

Przed tygodniem pojechałem wieczorem do starego introligatora w okolicach Tribunali po odbiór oprawionych książek. Biagio zamykał już swój warsztat, czekał tylko na mnie przy butelce wina. Wśród moich książek, oddanych do oprawy, były wspomnienia amerykańskiego oficera z Neapolu 1944. Od słowa do słowa cofnęliśmy się i my do naszych wspomnień z tamtych czasów, aby je skończyć późno wraz z drugą butelką wina. I oto Biagio powtórzył, z drobnymi i mało istotnymi różnicami, opowieść Titiny. Nie znaczy to, że potwierdził w ten sposób jej

prawdziwość. Dowodzi co najwyżej, że prawdziwe lub wymagane dzieje pierścienia żyły w Neapolu dalej w czterdzieści przeszło lat po wojnie.

Nie od rzeczy tu będzie krótka dygresja o noweli Boccaccia. Croce w *Storie e leggende napoletane* ocenia ją wysoko, podkreśla jej „logikę wewnętrzną” bliską absolutnej doskonałości. Wszystko odbywa się w niej tak, jak gdyby inaczej odbyć się nie mogło. Nie należy jednak widzieć w autorze noweli kronikarza życia i zwyczajów czternastowiecznego Neapolu; był przede wszystkim wielkim artystą. „Nowela jest tym weselsza, im bardziej poważna w tonie; tym większą odznacza się dokładnością i tym większym realizmem, im więcej w niej uśmiechu”.

Handlarz końmi Andreuccio przybywa z rodzinnej Perugii do Neapolu, dowiedziawszy się że łatwo w sławnym grodzie o zakup pięknych i tanich rumaków. Ma w mieszkaniu pięćset złotych florenów na zakup. Do zakupu nie dochodzi, natomiast widok mieszkania odsłoniętego przez cudzoziemca budzi oskórę w przystojnej damie neapolitańskiej podejrzanego konduity. Andreuccio pada ofiarą chytrze uknutego rabunku, półnagi snuje się nocą po uśpionym mieście. Spotyka dwóch łotrzyków, którzy proponują mu udział w wyprawie do katedry, gdzie tego dnia złożono do grobu w podziemiach, w marmurowym sarkofagu, neapolitańskiego arcybiskupa w wspaniałych szatach i z pierścieniem rubinowym na palcu. Odsunawszy ciężką pokrywę, bojaźliwi złodzieje zmuszają Andreuccia by to on włożył do sarkofagu. Pomny na własną niedolę obrabowanego z tak dużej sumy pieniędzy, Andreuccio postanawia najpierw o sobie pomyśleć. Ściąga z trupiego palca drogocenny pierścień i na swój palec go nakłada; po czym, z sarkofagu nie wychodząc, oznajmia współnikom że pierścienia nie znalazł i podaje im tylko pastorał, infulę i szaty arcybiskupa. Tymczasem do katedry wkradają się inni złodzieje, co powoduje ucieczkę pierwszej pary hultajskiej. Andreuccio siedzi jak mysz pod miotłą obok ogołoczonego trupa. Gdy jeden z nowych złodziei — bezecny ksiądz — usiłuje wgramolić się do sarkofagu, czuje naraz szarpnięcie za nogę. Ucieka z wrzaskiem, a za nim jego towarzysze. Andreuccio wraca nazajutrz do Perugii z pierścieniem, który wartością przewyższa utracone pięćset złotych florenów.

Jaskrawe było pokrewieństwo między pierścieniem z noweli Boccaccia i pierścieniem w wojennym Neapolu. Lecz jaskrawe w tle i okolicznościach zdarzenia (lub zmyślenia), nie w jego przebiegu.

Tam gdzie w starym Neapolu stoi dziś nowoczesny gmach ubezpieczeń społecznych, na tyłach katedry w stronę San Giovanni a Carbonara, znajdował się kiedyś niewielki kościół San Egidio. Ani zbyt historyczny ani szczególnie okazały, nie najlepiej zdaje się zbudowany pod koniec XVIII stulecia, został w roku 1940 „wyłączony z kultu”. Przesztano odprawiać w nim nabożeństwa, bramę zaryglowano i nawet zabito deskami, wewnątrz zamurowano zejście do krypty. Słowem, zaliczono go do budowli, które określa się tutaj jako *pericolanti*, zagrożone; co w Neapolu może trwać latami, aż zawalenie się zastąpi rozbiórkę bądź restaurację.

San Egidio przeżył chwilę świetności na początku zeszłego stulecia. Arcybiskupa Neapolu pochowano, zgodnie z jego życzeniem wyrażonym w testamencie, w krypcie tego właśnie kościoła, chociaż śladem swych poprzedników powinien był spocząć w katedrze. Pochodził z niezmiernie bogatej rodziny amalfitańskiej, lubił wystawność na swoim dworze arcybiskupim. Podziwiano jego pierścień, niezwykle podobno wielkości i cudownej roboty. Kazał się pochować w sarkofagu z pierścieniem na palcu, pod pokrywą na której miała leżeć jego wyrzeźbiona postać na marach.

Jak się rzekło, przed zamknięciem San Egidio zamurowano w kościele zejście do krypty. Nie naruszono jednak testamentarnej dyspozycji arcybiskupa.

Naprzeciw San Egidio mieszkał samotnie w *basso*, piwnicznej izbie bez okien, kościelny imieniem Matteo. Był silnym mężczyzną około pięćdziesiątki, utykającym od urodzenia, małymównym i stroniącym od ludzi, skorym do kłótni o byle błahostkę. Przezywano go niekiedy *bestione*. Funkcje kościelnego w San Egidio pełnił od wczesnej młodości. Po zamknięciu kościoła chwycił się różnych zajęć: handlował starzyzną, pracował to jako tragarz, to jako dorywczy śmieciarz. Dawniej pobożny i wstrzemięźliwy, rozpił się teraz, czerpiąc z uciulanych na kościelnej służbie pieniędzy, które nosił w woreczku na szyi. Pewnej letniej nocy usnął pijany nad morzem i obudził się rano bez swojego woreczka. Stał się odtąd bardziej jeszcze milkliwy i narwany, mruczał często do siebie jedno tylko słowo: *anello*, pierścień.

Nie było dla mnie jasne, gdy słuchałem historii opowiedzianej mi przez Titinę i po latach powtórzonej przez Biagia, czy mieszkańcy okolic San Egidio wiedzieli, dzięki ustnym przekazom, że w krypcie kościoła śpi snem wiecznym arcybiskup z pierścieniem na palcu; czy też dowiedzieli się o tym z okazji dalszych wypadków. Jeśli wiedzieli, słowo *anello* musiało im coś mówić (jak mówiło byłemu kościelnemu); jeśli dowiedzieli się dopiero później, nie mówiło im nic. Mało to jednak ważne, skoro bez odpowiedzi pozostanie pytanie najważniejsze: opisuję tu historię auten-

tyczną, czy (jak twierdzili niegdyś moi neapolitańscy znajomi) legendę zrodzoną w wojennym Neapolu?

W pierwszych dniach sierpnia 1943 samoloty amerykańskie i angielskie bombardowały Neapol wielokrotnie. Rzuciły bomby zarówno ciężkie jak i mniejsze zapalające. Święta Klara ucierpiała od zapalających; pożar zniszczył w jej wnętrzu barokowe narośle czy barokowy wystrój na pierwotnej strukturze gotyckiej. Ciężka bomba trafiła miejski wodociąg; bolesny cios w sierpniową spiekotę. Miasto, kruche z natury na fundamencie podziurawionym pieczarami z których dobywano budulec, ocierało się o katastrofę. Żar słońca i płomieni, spotęgowany brakiem wody, wprawiał ludzi w stan na pograniczu szaleństwa. Na ulicach, placach i w zaułkach pędzili przed siebie — dokąd?, byle dalej — od czego?, nie zważając w bezprzytomnym odruchu na groźbę następnego nalotu. W piwnicach obróconych w schrony pełno było szczurów, wielkich i agresywnych, wygłodzonych jak mieszkańcy miasta, wypłoszonych wstrząsami ze swoich nor i kryjówek. Być może wtedy wyroili się z podziemnych lochów i ścieków, rozpanoszyły się, rozzuchwałyły i wkrótce z zawrotną szybkością rozmnożyły, aby w przyszłym powojennym Neapolu stać się nieodwracalną już Plagą.

Jedna z małych bomb zapalających spadła na dziedziniec San Egidio. Dół wyryła w ziemi płytki, ale od wybuchu pękł i otworzył się dość szeroką rysą, i na dość znaczną wysokość, fronton kościoła nad bramą. Masywna i okuta brama, osiągnięta językami ognia — a pewnie także pod uciskiem pękniętego muru w górze — rozchyliła się po trzaśnięciu żelaznej zasuw. Mimo skąpych zapasów wody, pożar ugaszono wieczorem; nie przedarł się za próg kościoła.

Z pomocą wyobraźni (wobec ubóstwa relacji obojga opowiadających) można odtworzyć tę noc kościelnego Matteo.

Gdy wyszedł ze swojego *basso* po północy, tliły się jeszcze popożarowe resztki na dziedzińcu San Egidio, wydzielając białą zasłonę dymną. Była zasłoną korzystną dla niego w dzielnicy, gdzie pojawiały się często wzmocnione po nalotach patroli żandarmerii i policji. Przemknął się z narzędziami do bramy kościoła. Nie musiał rozchyłać jej szerzej, otwór wystarczył by się nim precyzyjnie do wnętrza. W ciemnej nawie należało po omacku i ostrożnie posuwać się ku zamurowanemu zejściu do krypty, tuż za bocznym ołtarzem. Na posadzce walały się oberwane z sufitu gzymsy i sztukatury, ławy kościelne spiętrzyły się po wstrząsie

od wybuchu bomby. Od głównego ołtarza i ścian biła fala stęchlizny i smrodu. Między jego nogami przebiegło z piskiem kilka szczurów. Ale lampkę karbidową zapalił dopiero u progu zejścia do krypty.

Zamurowano je w połowie schodów, co pozwalało mu śmieiej manipulować narzędziami w spadzistym korytarzu. Przypuszczalnie uplanował sobie zawczasu otworzenie w murze niewielkiego tylko przełazu u nasady, takiego by móc się wczołgać na leżąco do krypty, bez ryzyka że rozkruszy się, rozsypie i zatarasuje późniejsze wyjście cała kamienna przegroda. Udało mu się to dobrze.

W krypcie przyprawiło go o zawrót głowy duszne, zatrute wyziewami powietrze. Jak zaczadzony zabrał się do podnoszenia pokrywy sarkofagu. Miał zamiar odsunąć ją jedynie u wezłowia, ale zbyt gwałtownie widać pchnięta ześliznęła się i krawędzią ugodziła go w nogę. Poczuł straszny ból. Starał się nie zwracać nań uwagi, rozgorączkowany podważył żelaznym klinem wieko trumny. Niewiele pozostało ze zwłok arcybiskupa: czaszka, kawałki szkieletu pomieszane ze zgniłymi, zetłymi strzępami szat, poczerniały pastorał. Pozostało na szczęście nietknięte przez czas to, czego szukał: pierścień na kostce palca prawej dłoni. Ogromny, splatana złota obrączka z brylantowym, połyskującym krzyżkiem na ciemnej, grubej, owalnej płytce. Kiedy po niego sięgnął, drżąc z przejęcia i bólu, do sarkofagu zaczęły wskakiwać szczury, które do krypty wtargnęły przez otwór w zamurowaniu.

Wystarczyło mu jeszcze sił, żeby z pierścieniem na palcu wczołgać się z krypty, chociaż krew ciekła obficie z jego zranionej nogi. Blisko już bramy kościelnej, z szarawym pasmem świtu w rozchyleniu, obsunął się na ziemię i stracił przytomność.

Nazajutrz rano dziecko wbiegło za piłką przez rozchyloną bramę do kościoła. I zobaczywszy leżącego w kałuży krwi, wybiegło z krzykiem.

Mimo że San Egidio był po upadku bomby zapalającej na dziedzińcu bardziej jeszcze *pericolante* niż dawniej, rósł tłum wokół nieprzytomnego Matteo. Mężczyźni patrzyli w milczeniu, kobiety zęgnęły się pośpiesznie mamrocząc słowa modlitwy, wszystkie spojrzenia utkwione były w pierścieniu. Połyskiwał brylantowym krzyżykiem w półmroku kościoła, przykuwał ludzkie oczy silniej od kredowej twarzy kościelnego, pogryzionej przez szczury, i od krwawej miazgi jego nogi. Wszyscy widzieli pierścień, gdzież się więc podział gdy rannego niesiono z obwisłymi bezwładnie rękami do karetki pogotowia?

Chciałbym tu, zamykając historię pierścienia lub legendę o

nim, naśladować sprawozdawczy styl epilogów w nowelach Boccaccia. Matteo został odratowany, lecz nigdy go więcej nie oglądano w Neapolu. Wieść o pierścieniu arcybiskupim szerzyła się w mieście w dziwny zaiste sposób: „Widziałem czy widziałam na własne oczy kogoś, kto na własne oczy widział pierścień na palcu kościelnego” (tak, między innymi, opowiadali Titina i Biagio). Liczniejsi wciąż stawali się ci, „co widzieli tych którzy widzieli”. I piękniejszy wciąż, drogocenniejszy stawał się sam Pierścień, jakkolwiek wieści o nim towarzyszyła również niekiedy pogłoska, że był cudowną imitacją, którą ozdobiono palec arcybiskupa zaraz po jego śmierci, oryginał złożony w skarbcu katedralnym. Komu jednak chciałoby się w to wierzyć!

Pod koniec października 1943 samoloty niemieckie zbombardowały Neapol, wyzwolony we wrześniu. Jedna z ciężkich bomb obróciła w kupę gruzów San Egidio, wgniotła go w podziemne pieczary pod fundamentem tak dokładnie, że podczas mego postoju w wojennym Neapolu mogłem już tylko zobaczyć rozryte i przysypane kamieniami miejsce, na którym wzniesiono kościół przed półtora stuleciem. Jak gdyby nigdy w ogóle nie istniał.



Nie ma zwyczaju by po epilogu następował jeszcze komentarz, najkrótsza nawet opowieść powinna mówić za siebie. A przecież czuję, że nie może się tu obyć bez komentarza; utarte zwyczajem narracyjne muszą ustąpić przed „wewnętrzną logiką” tekstu. Wolno bowiem wskazać ową „logikę wewnętrzną” także we współczesnej historii pierścienia, podobnie jak to zrobił Croce w analizie noweli Boccaccia. Jest ona jednak w moim *Pierścieniu* odmienna, wykracza poza opowiedziane czy zrekonstruowane jednoznacznie fakty.

Beffa albo *burla*, psota albo drwina, była główną sprężyną „dekameronicznej” wizji świata, umiała łączyć wesołość z powagą, realistyczną precyzję z uśmiechem. Przeważnie *beffa* albo *burla* podwójna, klasyczna w neapolitańskiej przygodzie Andreucia z Perugii, zbliżona w narracyjnym schemacie do podwójnego *salto* akrobatów. Zadrwiono chytrze z nieostroznego i łatwownego handlarza końmi, zadrwił potem on sam z szcwanego chytrkości innych i stratę odzyskał z nawiązką. Tak toczy się świat, próżno dałamywać nad nim moralistycznie ręce, lepiej „zażyć” go jak się da, uśmiechając się przez łzy i czatując na sposobność do odpłaty.

W moim *Pierścieniu* „logika wewnętrzna” jest, jeśli się tak wyrazić można, „negatywna”. Wykradziony z krypty San Egidio pierścień drogocenny był imitacją bez wartości? Za późno na takie podejrzenie! Był nią czy nie, ulotnił się w każdym razie bez

ślądu. I ulotniwszy się, nie tylko nie stracił nic ze swej drogocności, lecz przeciwnie: ostateczna, „negatywna” *beffa* albo *burla* nadała mu droższą jakby cenę. Zamienił się w coś więcej, niż jego odpowiednik a może i powinowaty z noweli Boccaccia. W innym wymiarze zaczął żyć nowym życiem, w którym jego wartość realna a nawet sama jego egzystencja nie odgrywają już żadnej roli. Zamiast spaść wśród uśmiechów w dół, został wysoko i dramatycznie podniesiony do góry.

Rzeczywisty czy zmyślony, prawdziwy czy fałszywy, błyszczący zagadkowo w ciemnościach. Tak toczy się świat, bez tego błysku potoczyłby się w nicość.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Luty 1986

JEST DO NABYCIA KOMPLET „WIADOMOŚCI”

wydawanych w Londynie przez Mieczysława Grydzewskiego od roku 1952 do ostatniego numeru, oprawiony w płótno po 2-3 roczniki.

Zgłoszenia prosimy adresować do:

Stanisław Makuch
8562 Reims Street, Montreal, Que. H2P 2P7
Canada

STODIECK'S BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA W BERLINIE ZACH.

Prowadzi sprzedaż wysyłkową wydawnictw emigracyjnych na korzystnych warunkach.

Nowy katalog „WIOSNA '86” wysyłamy bezpłatnie na żądanie!

Stodiek's Buchhandlung
Richard-Wagner-Str. 39, D-100 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40.

RWE - próba opisu

Jest oczywiste, że rozgłośnia polska Radia Wolna Europa skupia na sobie uwagę szczególną. Jest to program podstawowy: wszystkie inne — czy będzie to Głos Ameryki, czy RFI, BBC, czy wreszcie Radio Canada lub polski program Deutschlandfunk — stanowić mogą jedynie (często bardzo ważne) uzupełnienie RWE. W tym właśnie programie słuchacze poszukują jakiejś summy informacji o Polsce i jej miejscu w świecie ułożonych w ten sposób, iż polskie problemy stanowią podstawowy punkt odniesienia. Dlatego też warto zwrócić uwagę na zmniejszającą się niestety popularność tego programu w kraju. Przyczyny są różne — będę o nich pisał w dalszym ciągu tego artykułu. Na wstępie jednak chciałbym pokrótce przedstawić sytuację, w jakiej obecnie działa RWE po to, by uświadomić pracownikom tej rozgłośni zasadniczą zmianę funkcji radia w stosunku do tej, jaką pełniło, powiedzmy, dziesięć lat temu. Dotyczy to także, choć w mniejszej mierze, pracy innych rozgłośni.

Mija niedługo 10-lecie powstania w PRL bardzo w tej chwili rozbudowanego systemu niezależnej informacji i prasy. Jest zatem zrozumiałe, że duża część słuchaczy rezygnuje z „nastuchu” zagłuszanych programów radiowych, zdając się na wiadomości i opinie gazet niecenzurowanych, kolportowanych praktycznie na terenie całego kraju. W tej sytuacji podstawową grupą odbiorców zachodnich programów radiowych stają się redaktorzy prasy niezależnej, traktujący te programy podobnie, jak dziennikarze normalnych gazet traktują końcówki teleksów pracujące w ich pomieszczeniach redakcyjnych. RWE musi zatem przyjąć na siebie przede wszystkim rolę agencji informacyjnej. To jest podstawowe zadanie tej rozgłośni. Wszystkie inne jej funkcje muszą tym samym zejść na plan dalszy. Nie znaczy to, rzecz jasna, że radio ma zrezygnować z ambicji publicystycznych — przede wszystkim jednak powinno informować. Przy czym redaktorzy rozgłośni powinni sobie uświadomić, że nie chodzi tu tylko o prostą informację, lecz o wielopoziomowy układ informacyjny

wymagający sporej inwencji i szczególnej pracowitości. Jeśli o tę drugą cechę chodzi, to trzeba, niestety, zauważyć, że pracownicy radia często idą „po najmniejszej linii oporu”, sięgając najczęściej do materiałów już gotowych lub wymagających minimum redakcyjnej obróbki. Być może przyczyną tego stanu rzeczy jest zbyt niskie wynagrodzenie, być może zła organizacja pracy — niezależnie od powodów (które w końcu słuchacza nie nie obchodzą), wyniki pracy są mizerne.

Tu uwaga: RWE wypełnia swe funkcje informacyjne wobec tych wszystkich, dla których dostęp do prasy niezależnej jest problemem. Dotyczy to w szczególności prowincji, małych miast i wsi. Nie należy lekceważyć wpływu, jaki radio zyskuje na tych odbiorców. Jednak należy podkreślić, że nie ci słuchacze powinni być w centrum zainteresowania twórców programu, ale przede wszystkim środowiska wielkomiejskie, w których dostęp do pozaczuralnego obiegu informacji jest w Polsce stosunkowo łatwy. W tych bowiem środowiskach rozstrzyga się i będzie się w przyszłości rozstrzygał los kraju. Tak zatem, nie lekceważąc bynajmniej roli, jaką RWE odgrywa w kształtowaniu świadomości ludzi oddalonych od głównego nurtu życia niezależnego w kraju, trzeba jednak podporządkować pracę wymogom ośrodków wielkoprzemysłowych.

Przy tym ważną sprawą jest tu ekspozycja politycznej postawy nie tylko poszczególnych autorów, lecz radia jako całości, jako zespołu ludzi wspólnie pracujących. Nie jest to sprawa bagatelna. Brak takiego stanowiska, brak wyraźnie określonego światopoglądu czyni z programu zlepek różnych, mniej lub bardziej ciekawych, ale nie przenikniętych wspólnym spoiwem audycji. W dyskusjach prowadzonych od czasu do czasu na ten temat podkreśla się, że radio nie powinno opowiadać się jednoznacznie po czyjejś stronie (np. wobec tej lub innej grupy opozycyjnej). Ale to nie oznacza, że nie ma mieć własnego wyrazu — jedno się z drugim nie kłóci. Tymczasem w ostatnim okresie program jest pod tym względem bezbarwny. I nie chodzi tu wcale o „obiektywizm” i dystans, lecz o nijakość.

Pod tym względem RWE niebezpiecznie zbliża się do „formuły” Głosu Ameryki, bodaj najnudniejszej radiostacji nadającej w języku polskim, włączając w to także programy PRL-owskie. Dziwi to tym bardziej, że wraz z przyjściem Najdera, znanego przecież czytelnikom *Kultury* autora o wyrazistym światopoglądzie, można się było spodziewać zmiany tego kierunku. Można było oczekiwać, że — pamiętając o obowiązku prezentacji wszystkich głosów dotyczących polityki polskiej — potrafi uczynić z radia placówkę o własnej (jak np. Radio France Internationale), wyrazistej postawie. Wiadomo w końcu, że sam antykomunizm tu nie wystarcza: to banał, każdy normalny człowiek jest antykomunistą. Pytanie tylko, co to w rzeczywistości oznacza, gdyż sam antykomunizm nie jest jeszcze wyrazem żadnej konstruktywnej postawy. RWE nie jest rozgłośnią rządową, nie jest też, oczywiście, własnością aktualnego dyrektora, lecz przecież nie powinna być

programem jałowym, światopoglądowo niejednorodnym. A właśnie ten brak jednolitości, wyraźnie wyczuwalny, jest jedną z przyczyn zmniejszającej się atrakcyjności radia.

RWE nadaje codziennie prócz dzienników, dwie audycje informacyjne. Pierwszą są „Fakty, wydarzenia, opinie”, drugą „Panorama dnia”. Bez wątplenia główna uwaga słuchaczy skierowana jest na pierwszy z tych programów, przede wszystkim w powtórce o 23.10, choć wielu słuchaczy odbiera tę audycję również o 20.10 (w zależności od tego, jak atrakcyjny jest w tym czasie program telewizyjny — tu konkurencyjność jest znaczna). Jest to program — wraz z „Przełogiem prasy zachodniej” — mający największy wpływ na formowanie wiedzy o problemach Polski i świata. Redagowany jest przez zespół kilku zmieniających się osób. W swym układzie, podobnie jak dzienniki, na plan pierwszy wysuwa sprawy krajowe. Trzeba w tym miejscu szczególnie mocno podkreślić fakt, że jedynym autorem, którego komentarze spełniają w tym programie wszystkie wymogi rzetelnego dziennikarstwa, jest komentujący sprawę USA Jacek Kalabiński.

I tutaj dygresja. Wiadomo powszechnie, że wobec tego własnego dziennikarza w środowisku „wolnoeuropejskim” toczą się liczne, nazwijmy to delikatnie, dyskusje. Sprawa nabrała wymiaru skandalu. Nikt bowiem nie przeczy temu — myślę, że z zainteresowaniem na ciele — że był on „dziennikarzem reżimowym” (nawiasem mówiąc, nie on jeden w RWE, gdyż dziennikarzami byli w PRL zarówno starsi stażem, jak i nowi pracownicy, nie jest to więc żaden argument). Natomiast „rozrabianie” Kalabińskiego jest objawem typowej emigracyjnej paranoi. Jest nadto objawem czegoś znacznie gorszego: braku dyscypliny zespołu. Ten brak dyscypliny, wynoszenie na zewnątrz brudów, zmniejsza zaufanie słuchaczy.

Wróćmy jednak do problemów informacji, zwłaszcza do audycji „Fakty, wydarzenia, opinie”. Przemienia się ona ostatnio w dziwny zlepek, w którym pojawiają się opracowania np. o sytuacji młodzieży w PRL w okresie powojennym czy seriale o układzie grup opozycyjnych po 13 grudnia 1981. Jest to zjawisko niepokojące, tym bardziej, że są to materiały rozwlekłe, pisane bez wycucia „języka radiowego”. Bez wątplenia takie opracowania są potrzebne w RWE, lecz nie w tej audycji. Tym bardziej, że był okres, w którym zabrakło w niej miejsca — co powinno być regułą — dla wiadomości o szykanach, aresztowaniach, wyrokach itp.: te odnajdywałem w „Panoramie dnia”, programie bez wątplenia traktowanym przez słuchaczy jako drugoplanowy i uzupełniający. Nadto, co trzeba z naciskiem podkreślić, informacje dotyczące represji są często spóźnione, zapewne dlatego, że są sprawdzane i potwierdzane przez różne źródła. Ta „ostrożność” dziennikarska, dyktowana zapewne lękiem przed „wpadką”, jest często przesadzona, zwłaszcza w okresach, gdy represje się nasilają.

Najlepszym z programów informacyjnych wydaje się nadawany bezpośrednio po „Faktach” „Przełog prasy zachodniej”: zes-

taw różnych opinii i informacji — w samej formule dość dynamicznej — pozwala słuchaczowi wyrobić sobie własne zdanie, jednocześnie doskonale wprowadza go w najistotniejsze problemy współczesnego świata. W zależności od sytuacji w kraju „Przełog” sporo miejsca poświęca także sprawom polskim. Być może należałoby się zastanowić nad szerszym — tak tutaj, jak w innych audycjach — a zarazem syntetycznym informowaniem o problemach politycznych i społecznych krajów Azji, Afryki i Ameryki Południowej, a więc regionów i dzisiaj, i w przyszłości najbardziej konfliktogennych. Byłoby również rzeczą wskazaną rozszerzenie informacji o problemach niemieckich, zawsze w Polsce aktualnych.

„Panorama dnia”: wydaje się, że najlepiej (lecz zbyt rzadko) prowadzi ją Tadeusz Nowakowski, autor, którego od lat wyróżnia spośród innych członków zespołu wyrazista „osobowość radiowa”. Jest „Panorama” klasycznym magazynem, który wymaga tempa, skrótów, zdolności kojarzenia tematów, błyskotliwości. I tutaj na plan pierwszy wysuwają się problemy krajowe, jednakże poza tym układ nie jest tak przejrzysty jak w „Faktach”, często też jest to audycja „przegadana” — dotyczy to szczególnie korespondencji rzymskich Marka Lehnerta.

Z pozostałych programów informacyjnych niezwykle ważną rolę odgrywa audycja „U naszych sąsiadów”. W ostatnim okresie jest ona redagowana coraz lepiej, lecz wydaje się, że wciąż w zbyt małym stopniu wykorzystywane są w niej materiały z ośrodków emigracyjnych pozostałych narodów bloku komunistycznego. Wydaje się także, że zbyt często autorzy tych programów korzystają... z materiałów podziemnej prasy krajowej, co już jest lekką przesadą zważywszy, że audycja ma właśnie dla tej prasy być źródłem informacji.

I tutaj dochodzimy do sprawy niezwykle istotnej — chodzi o swoiste „nadużywanie” tekstów z podziemia. W okresie, gdy pism pozacenzuralnych było niewiele, audycje zajmujące się rozpowszechnianiem ich artykułów były niezwykle potrzebne. Dziś raczej należałoby przystąpić do opracowań syntetyzujących publikacje niezależne. W kraju nikt na to nie ma czasu, dostęp do archiwów jest bardzo utrudniony, zaś sądząc po odczytywanym w RWE spisie dochodzącej tam prasy, radio dysponuje wystarczającą do takich syntez ilością czasopism. Sądzić by więc można, że redaktorzy korzystający z publikacji tej prasy „odwalają” swoje radiowe „kawałki” jak najmniejszym wysiłkiem. Owszem — wskazane jest także upowszechnianie wybranych tekstów, lecz nie w takiej ilości, jak to się dzieje w ostatnim okresie. To samo dotyczy zresztą wykorzystywania publikacji w prasie katolickiej (audycja „Warto było przeczytać”) — tu raczej wskazane by były omówienia, gdyż w końcu przy odrobinie wysiłku słuchacz sam może odnaleźć interesujące go teksty.

Natomiast w większym wymiarze należałoby chyba uwzględnić publikacje prasy emigracyjnej — nie tylko w prezentowaniu poszczególnych numerów czasopism, ale niekiedy poprzez omó-

wienia toczących się na łamach tych pism dyskusji (choćby tej, która ostatnio miała miejsce w „Aneksie” po opublikowaniu artykułu Walickiego). Należałoby również, jak sądzę, podjąć próbę omówienia syntetycznych poszczególnych tematów, które w ostatnich latach absorbowały uwagę prasy emigracyjnej — choćby problemu oceny działań „Solidarności”.

W ogóle radio zbyt silnie trzyma się „struktury ramowej” swych audycji. Jeżeli nadaje się program „Z życia emigracji”, to nie musi on ograniczać się wyłącznie do wywiadów z wychodźcami — tu właśnie jest miejsce do opracowań redakcyjnych. Ale wywiad jest formą prostszą i łatwiejszą, nie wymaga takiego wkładu pracy, jak przejrzenie np. kilku roczników „Kontaktu” lub opracowania informacji zawartych w poświęconych sąsiadom kronikach „Kultury”... Nie chcę być złośliwy, lecz wydaje mi się, że redaktorzy RWE przejawiają zbyt mało własnej inicjatywy ograniczając się do „odrabiania” zadanych im tematów.

Podnosi się natomiast poziom audycji poświęconych problemom robotniczym i chłopskim, także poziom audycji ekonomicznych. Te uwagi jednak należy z mojej strony traktować jako wyznaczenie laika — w każdym razie zauważalny jest dla mnie wzrost atrakcyjności tych programów, ich rosnąca dynamika, zaś w audycji chłopskiej niewątpliwie zaangażowanie redagującego ją Aleksandra Świekowskiego. Tu jednak należałoby wysłuchać głosów ludzi bardziej ode mnie kompetentnych.

Dwa programy w ogóle nie budzą moich zastrzeżeń. Pierwszym jest cykl „Wszechnica radiowa”, różnorodny, rzeczywiście kształtujący, drugim zaś dział recenzji książkowych — tu trudno by było wytknąć redakcji np. niedostrzeżenie jakiejś ważnej książki. Zastrzeżenia natomiast budzi wtorkowa „Kronika kulturalna”, redagowana nierówno, często pomijająca istotne dla odbiorców krajowych polonika, prawie zupełnie nic nie mówiąca o aktualnych dyskusjach artystycznych w świecie, złożona często z materiałów przypadkowych i różnej wartości. Bez wątpienia jest to audycja niesłychanie trudna w redagowaniu, wymagająca wielu lektur, utrzymywania się na bieżąco w rytmie przynajmniej europejskiego życia kulturalnego, znajomości kilku języków zachodnich. Ale obecny stan „Kroniki” często woła o pomstę do nieba.

Reasumując: RWE brak przede wszystkim dynamiki, brak własnej twarzy, inicjatywy w poszukiwaniu nowych materiałów. Zbyt wiele w tej rozgłośni rutyny. Widoczna jest niespójność zespołu. Tego ostatniego nie tuszują programy nadawane w audycji „O nas samych” — też zresztą już traktowanej rutynowo, jako program „wypełniający ramy” tygodniowego układu. Myślę, że nie trzeba z tej audycji rezygnować, ale na pewno warto zmniejszyć jej częstotliwość, pomyśleć nad uatrakcyjnieniem formy (np. zamiast rutynowego wywiadu można nadać dyskusję wewnątrzredakcyjną). Odbiorca krajowy, w końcu przywiązany do rozgłośni, którą traktuje jako kawałek wolnej Polski, jest dość silnie wyczulony na jej słabości. Niniejszy artykuł nie ma zamiaru

być „podkładką” do krytyki personalnej, ataku na kierownictwo rozgłośni czy jeszcze jednym argumentem w jej wewnętrznych rozgrywkach, które niestety znajdują wyraz nawet na łamach *Trybuny Ludu*. Jest tylko wyrazem troski o stałe podnoszenie poziomu audycji. Lepiej mówić na ten temat otwarcie, niż pomiąć sprawę milczeniem.

REDAKTOR „WYBORU”

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Cena F. 95,00.

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclovy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz); Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sadika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

„PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaarrestowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

Wiersze

Ostatni wiersz Witolda Wirpszy z koniecznym komentarzem

Komentarz konieczny jest dlatego, by nie pozostawić czytelników w mylnym mniemaniu, jakoby polski poeta — po piętnastu latach emigracji — pisał ostatnio swoje wiersze po niemiecku. Zdarzyło mu się to raz tylko, a nikt z nas, przy tym obecnych, ani tym bardziej on sam nie mógł wiedzieć, że jest to raz ostatni. A jak to było — opowiem:

5 czerwca 1985 roku przyjechaliśmy do Nadrenii na zaproszenie fundacji „Bahnhof Rolandseck”. Otóż: „Bahnhof” to dworzec i istotnie po dziś dzień do stacji kolejowej „Rolandseck” dojeżdżają, a też mijają ją przeróżne pociągi.

Niezależnie jednak od nadal funkcjonującego dworca „Rolandseck” ma — m.in. jako dworzec też właśnie — bogatą swoją prehistorię. Tu bowiem, co zresztą zostało na umieszczonym wewnątrz, straszliwym acz olejnym i barwnym bohomazie utrwalone dla potomności — przebywał latem cesarz niemiecki, Wilhelm II, skąd go — konnym ekwipażem — co roku odwożono na wilegiaturę. Ale na tym wcale nie koniec: przesiadał się tu Karol Marks i Heine, Klara Schumann i (długosiwobrody na obrazie) G. B. Shaw, a G. Apollinaire tu ponoć właśnie napisał pełne miłosnej tęsknoty wiersze do niedawno — podówczas — poznanej Angielki. Przsadzistej a długowiecznej królowej Wiktorii także tu nie braknie. Z nowszych postaci figuruje — i owszem — Willy Brandt. Długo by jeszcze można wyliczać — tylko po co? Miejsce w każdym razie czcigodne i — nie bez kłopotów a usilnych starań — przemienione po ostatniej wojnie w fundację artystyczną.

Fundacja przez długie lata popierała jednak wyłącznie plastykę (o czym świadczą stojące na zewnątrz monumentalne rzeźby Hansa Arpa, a wewnątrz, w sporym muzeum, inne jego prace i obrazy, także obrazy jego pierwszej żony) i muzykę. Wyjątek stanowił może tylko genialny mim Marcel Marceau, który także kiedyś tu się pojawił.

Po 1984 roku, kiedy — właśnie na „dworcu” — powstał cie-

kawy pomysł zgromadzenia pisarzy z pięciu krajów graniczących z Renem na „Statku szaleńców” (spływ tym statkiem, z licznymi imprezami artystycznymi, odbył się wówczas latem od źródeł tej rzeki aż do Rotterdamu), postanowiono do ogólnego programu włączyć i literaturę.

Do najpierwszych gości literackich należeliśmy my właśnie: od 5 do 13 czerwca. Łało wprawdzie cały czas niemiłosiernie i o przejażdżce stateczkiem po Renie ani marzyć nie było warto. Ale dobra biblioteka, a zwłaszcza muzeum Arpa wyrównywały te straty zawiązką — a także wielką życzliwość naszych gospodarzy.

Nie było ich wielu (w Polsce na fundację tego rodzaju o wielkim, międzynarodowym już rozgłosie, nasadzono by co najmniej z 50 osób!) — zaledwie czwórka: wielce zasłużony i od samych początków tu będący Johannes, leciwa, ale całym „gospodarstwem” sprawnie zarządzająca Rosa, i jeszcze dwie (niekiedy trzy) młode panie — i tyle.

Mieszkaliśmy na pięterku, a skromne, domowe obiady jadałyśmy razem na parterze w drugiej połowie „biurowego” pokoju, gdzie załatwiano w ciągu dnia wszystkie bieżące sprawy fundacyjne. I nie pamiętam już, czy przy siekanych kotletach, czy przy makaronie z nieuchronnym sosem pomidorowym rozmowa zeszła na historię. Witold umiał opowiadać i wdął się w barwną relację o Kazimierzu Wielkim i Esterce.

To trzeba koniecznie zapisać! — zgodnie stwierdzili słuchacze.

Windą wróciliśmy na pięterko do białych, skąpo jeszcze umeblowanych pokoi. W jednym z nich stała staroświecka, inkrustowana sekretera: „akurat taka, jak ta, przy której w domu odraabiałem lekcje” — cieszył się poeta. I przy niej właśnie napisał dla swego niemieckiego audytorium ów wiersz — jedyny, jaki w obcym języku napisał i od którego w dwa dni później rozpoczął swój wieczór autorski na „dworcu”.

13 czerwca wróciliśmy do Berlina. A po trzech dalszych miesiącach na zawsze już zabrakło poety, którego „obcojęzyczny” wiersz teraz dopiero — w polskim przekładzie — przekazać mogę polskim czytelnikom.

Maria KURECKA

Witold WIRPSZA

E S T E R

Jesień średniowiecza, więc mimo wszystko romantyczna; tak piszą uczeni.

On zaś był ostatni ze swego rodu (po 400 latach), pan na Krakowie Kazimierz, zwany Wielkim, z brodą potężną,

porywcy a zmysłowy. Polował
w lasach nad Wisłą używając
włóczni i łuku. Prochu jeszcze nie było.

Żydów sprowadził sobie z Hiszpanii.
Potrzebował uczonych. Trzeba było założyć Akademię.
Tedy przybyli Żydzi i córki żydowskie
Jedna, jak mawiano, była szczególnie piękna.

A wiejskie dziewczki w zameczkach myśliwskich?
Ich też nie brakło mu aż do śmierci.
Lecz tu nie o śmierć chodzi na razie ale o
miłość. Romantyczne to były czasy.

Olbrzymi smok pod Wawelem krakowskim
zbudzony został i pluł ogniem na księżyc.
A potem znowu zasnął w okowach.

Most zwodzony wciągnięto: bo król zasnął.
Ale król nie spał wcale.

Dzikie zwierzęta chrzęściły po lasach.
Tury i jelenie. Nie zabijaj.

Nie trzeba pazia! Sam król rozpali
drwa na kominku: oto już płonie
stos dla gwałtowników. Teraz
łagodne rządy trzeba sprawować. Smok znowu zbudzony
zawył z tęsknoty. A tęsknotę także
wówczas znano. Nie trzeba pazia! Wino
sam naleję. Znano? Cóż znano?
Jesień, już później zwaną romantyczną?

Wisła stanęła dęba. I drzy smok.
Dzwonią okowy. Otom sam skowany.
Czytałem w księdze Estery po łacinie,
hebrajskiego, Estero, nie znam.
I księga się nie zgadza. Pójdź, Estero,
hiszpańskiej, czy żydowskiej krwi jesteś, dziewczyno?
Czarne są włosy twoje i oczy.
A młody już nie jestem. Spłodzimy syna.

I gdy się wypełnił czas, obdarzył Kazimierz
dziewczynę miastem nad Wisłą.
Dla syna (uszlachconego) przepołowił

Białego orła. Druga połowa herbu nieważna.
O matkę zadbano należycie i dalej
trwały polowania: na tura, na zebra.
Skór trzeba było, by wyścielić łoża
w zameczkach myśliwskich, w zimną
jesień średniowiecza. Król miał już lat sześćdziesiąt.

Wiejskie dziewczęta pielęgnowały go
gdy umierał w myśliwskim zamku.
A jednocześnie uczeni Hiszpanie wykładali
prawo w Krakowie. *Non rex sed lex*. Ród Piastów
skończył się. Ludwik d'Anjou, węgierski,
zwany Wielkim, został królem Polski.
Pod jego rządami zaczęła się republika szlachecka.

Ab, nous autres, les républicains, mówił Ludwik d'Anjou
i zmarł po dziesięciu latach. Ester żyła może jeszcze
ciesząc się nad Wisłą jesienią swoich dni.

Napisane w Rolandseck (na dworcu) w czerwcu 1985, przy sekreterze takiej
samej, jaką przed pół wiekiem miałem jako uczeń.

Witold WIRPSZA

(Z oryginału niemieckiego tłumaczyła Maria KURECKA)

Z WIERSZY WASYLA STUSA

★★

Przepych Łysej Góry zapada się w mrok i niebyt
i jesienne listowie dogasa w zgęstniałym niebie.
A ja zapomniałem, gdzie ta Łysa Góra, i nie wiem,
czy przyjęłaby, czy poznałaby jeszcze mnie.
Wieczorowa poro, złych rozstań posępna poro!
Nie pamiętam, nie wiem, pojęcia nie mam,
czy umarłem, czy żyję, czy żywcem umieram,
bo odegrzmiało, odkwitło, oddźwięcało wszystko wokoło.
Tylko dotąd pachną twoje dłonie smutne,
dotąd pachną wargi, takie gorzkie są, że aż słone.
I życie zatracone przefruwa jak ptaszysko spłoszone,
i głucho jak krew w aortach słowiki huczą okrutne.

GWIEZDNY ŻEGLARZ

Marzenia moje krążą wokół Ziemi
i w sercu dźwięczną falą pluszcze Dniepr...
Mój kraju! Płyniesz, toczysz się pode mną
melodią pieśni, co od lat dziecięcych
z piersi mej aż do nieba się wspinała,
przeżyła się i krzepła niczym kłos,
wabiła w świat daleki, w siną dal.
... Ojczysty kraj, ściśnięty obręczami
geograficznych map, prostuje oto
ramiona, dumnie gra szmaragdowymi
sadami, szachownicą złotych pól.
I nawet dzień ktoś mocny zgiął w podkowę,
i wielki ktoś uderzył kopytami —
aż iskry w noc!
A Ziemia, czuła matka,
czeka, by wrócił wyteśniony syn.

* *

Wczoraj, kiedy dopalał się wśród sosen
dzień trosk i starań domowych, myślałem:
to życie jest za długie dla człowieka.
Tupot czerwonych koni namiętności
już dawno się oddalił brzeskim traktem.
Wyjdź w noc: nikogo. Jedyne co żyje —
to psie wesela. Zabłąkane stado
snów moich nie zna nad sobą pasterza.
Szczerbate pole wypalonych pragnień
ciągnie się niezmierzone jak mój spokój.
I tylko nieba porannego źródło
przelewa się i kipi wrzaskiem wronim,
wróżącym tysiąc śmierci nieuchronnie.
Już chłód i mrok ogarnął moją duszę,
nie rozjaśnioną lat błyskawicami.
Tak, całe życie było umieraniem
i tyś po stokroć pochowany w sobie.
... Już odszumiało wieczne szczytowanie,
naiwna zieleń pnąca się do góry,
ufne, niemądre kwitnienie. Wystarczy.
Teraz więc — wij się z bólu — i wyj z bólu.
Byle dociągnąć do piątku. W tygodniu

raz jeden bodaj łyknać w samotności
niewystałego alkoholu. Stanać
twarzą do tych ciemności. I niech pada
śnieg na policzki zziębnięte. Niech pada.
Ty tylko jesteś tutaj. Ty sam. Tutaj.
Na całą ziemię. Pojedynczym bólem
oparty o pnie sosen wyteżone,
bo jęk ich tchnący wiecznością wywyższa
tej kary płaskość do wznioślej pokory.

* *

Pamięci A. Horskiej

Rozpal się, duszo. Rozpal, a nie — rozplącz!
Ziąb czarny zasnuł słońce Ukrainy.
Ty — szukaj cienia czerwonej kaliny
w czarnych odmętach, śliskich wodorostach.

Mało nas. Drobna szczelina czy szczerba
zostanie po modlitwie, po nadziei.
Wszak los nam dawno przestrogi udzielił,
że krew kaliny gęsta jest i cierpka,

i tak się pieni jak krew w naszych żyłach.
Lecz w białym dreszczu wiecznych skarg i pragnień
drobina bólu, co w głąb się zapadnie,
cierpieniem nieśmiertelnym będzie żyła.

* *

Ani spodziewasz się już, ani czekasz.
Nareszcie jesteś wolny, wolny, wolny.
Wygnaniec z własnej woli, czemu zwlekasz?
Niech listy spłoną w ogniu, w ogniu, w ogniu.
Niech wiersze spłoną, spal je bez litości,
niech się spopieli górny duch zuchwały,
A teraz — ruszaj. Kurzem bezdomności
wędrówka twoje przyprószy sandały.
Co jutro? Jakis dzień i strawa jakaś.
A co, jeśli nie będzie dnia i strawy?
Zginiesz, wygnańcze, na swych krętych szlakach,
do śmierci włócząc się na chybił trafił.

**

Sto luster się przegląda we mnie,
mój ruch i bezruch śledzi kradnie.
To ty — naprawdę? Ty tu? Pewnie
nie ty, nie tu i nie naprawdę.

Więc gdzie ty jesteś? Gadaj — gdzie?
W otchłani wiar? W przepaści prób?
Duszę zalały łzy i dżdże —
i łez, i dżdżów nareszcie w bród.

Sto twoich konań, sto narodzin.
Co w lustrach grasz? Co w lustrach gram?
Tyś żywy czy umarły? Może
żywy z umarłym, sam na sam.

**

Naucz się czekać, druho, naucz się czekać.
Jaskółki na drutach elektrycznych
poczerniałe od błękitu nieba
wsluchują się jeszcze w stłumione prądy ziemi;
niewidome okna
przez tysiące minionych lat
nie wypiastowały jeszcze swojego ducha
w niewygodnej pułapce egzystencji;
jeszcze wzdraga się wiewióreczka
przed uszczknięciem tłuczonego grochu z twej dłoni.
Kamienie, kamienie, kamienie.
Tylko skała ma zmysł samozachowawczy.

(Przełożył z ukraińskiego Wiktor WOROSZYLSKI)

Anna FRAJLICH

CHŁODNA NOC

Chłodna noc
w drugim pokoju świeca płonie
i migotliwy jej blask
przez otwarte drzwi pada
geometryczną smugą na sufit
w liściach wciąż jeszcze zielonych

wiatr przebiera szelestem
prawie już świt i niebo
ten dziwny ma stopień jasności
co nie rzucając światła
ledwie obwodzi kontury
chłodna to noc, syrena
pobrzmiewa bardzo daleko
i nawet lekkim muśnięciem
snu nie potrąca uśpionych
razem jesteście i blisko
i tylko sen nasz osobny.
Śnię właśnie dziwny poemat
długi i trudny zarazem
taki którego i krytyk
nie przełknie za jednym razem
taki poemat co leży
nieraz latami nietknięty
jak na dnie mórz leżą
dalekich zatopione okręty
w nich kubki srebrne i tace
szmaragdy w szkatułach misternych
maszyny dawno spróchniały
ale bezcenne perły
blask migotliwy rzucają
na ściany skarbcza zamknięte...
Taki poemat śnię
w noc jesienną i świętą
pomiędzy świecą i chłodem
pomiędzy świtem i wiatrem
pomiędzy jawą i snem.

wrzesień 1985

Anna FRAJLICH

Marek JAROSZUK

**

kilka zabawnych historyjek
jeszcze zdarzyło się od wczoraj
ktoś szklankę łez wylał na obrus
ze swych stalowozimnych oczu
ktoś zmiażdżył kielich kryształowy
rękę przewiązał białym szalem
a ziemia znów się obróciła
gdzieś pod stopami zagubionych

i oto słowo spadło nagle
na stół serwisem wyścielony
twarze się nawet pochyliły
by słowo bliższe było oczom
i ręce tam się wyciągnęły
by dotknąć słowa białym palcem
a ziemia znów się obróciła
gdzieś pod stopami zagubionych

noc rozpostarła się natychmiast
już jasną gwiazdą naznaczona
strumień podpłynął bliżej okna
spadła kurtyna codzienności
słowo zakwitło białym pakiem
na ziemi co się obróciła
gdzieś pod stopami zagubionych
a cisza stała się rozmową

i trwało wszystko aż do świtu

Berlin Zachodni, marzec 1982

moje podróżowanie

węglem na podłogach malowane linie
prowadzą mnie w strony opuszczone dawno
gdzieś gdzie drzwi zamknięte nie mają znaczenia
kurz na ścianach leży
wiatr otwiera okna

skrzywienie parkietów i ślad czyjejs stopy
w teatralnych ramach dusznego południa
wskazują mi przejścia pomiędzy sprzętami
muskają po twarzy
drewnianą powierzchnią

uwielbiam podróże splecione ze spojrzeń
zaczynanych gestów dotknięć i zaskoczeń
przemykam się cicho
świat do mnie należy
malowany węglem
kręty i
poważny

New York City, wrzesień 1985

Marek JAROSZUK

Archiwum polityczne

Po czterdziestu latach

(ROZMOWA Z NORMANEM PODHORETZEM)

W listopadzie ubiegłego roku minęło 40 lat od ukazania się pierwszego numeru amerykańskiego miesięcznika polityczno-literackiego *Commentary*, wydawanego pod auspicjami American Jewish Committee — najstarszej żydowskiej organizacji samobronnej w Ameryce, założonej w 1906 roku. Pismo nie jest jednak organem AJC i prowadzi niezależną politykę redakcyjną. W latach 1945-1959 redaktorem naczelnym miesięcznika był anglista Elliot Cohen. Do ścisłego grona redakcyjnego należeli w tym okresie m.in. Nathan Glazer, Clement Greenberg, Irving Kristol i Norman Podhoretz. Cohenowi udało się skupić wokół pisma całą plejadę znanych dziennikarzy, pisarzy i publicystów. Na łamach *Commentary* pisali m.in. Hannah Arendt, Mary McCarthy, George Lichtheim, Sidney Hook, Daniel Bell, Edmund Wilson, William Barrett, Isaac Bashevis Singer, Bernard Malamud, Lionel Trilling, Saul Bellow, James Baldwin, Salo Baron, Gershom Scholem i George Orwell.

Commentary obok kwartalnika *Partisan Review* stało się w tym czasie jednym z ośrodków tzw. zimnowojennego liberalizmu — kierunku lewicującego, a jednocześnie zdecydowanie antytotalitarnego. Podobnie jak *Partisan Review*, *Commentary* zajmowało się tematyką bardzo różnorodną, nie tylko polityczną. Pisano o literaturze, sztuce i filozofii, a liczne grono wybitnych autorów zapewniało wysoki poziom dyskusji właściwie na każdy temat.

Pierwszy rozdział historii *Commentary* zakończył się w 1959 roku wraz z tragiczną samobójczą śmiercią Elliota Cohena, który już od dłuższego czasu przeżywał głęboki kryzys psychiczny. Po kilkumiesięcznym okresie zespołowego redagowania pisma („trójka”: Podhoretz, Clement i Martin Greenberg) redaktorem naczelnym został Norman Podhoretz, który pełni tę funkcję do dnia

dzisiejszego. „*Newe Commentary*” stało się pismem dużo bardziej radykalnym, propagującym ideologię Nowej Lewicy. Wśród autorów pojawiały się coraz częściej takie nazwiska jak Herbert Marcuse, Paul Goodman, Susan Sontag, Norman O’Brown, Irving Howe czy Michael Harrington.

Pod koniec lat 60-tych Podhoretz, rozczarowany demagogią i nietolerancją ruchu kontrkultury, odchodził zacząć od ideologii, którą jeszcze do niedawna wyznawał. Zbiegło się to w czasie z ideową i polityczną metamorfozą wielu tzw. nowojorskich intelektualistów. Socjalista Michael Harrington całą tę grupę dyssydentów liberalnej lewicy nazwał później — w 1976 roku — neokonserwatystami. Od początku lat 70-tych neokonserwatyści odgrywać zaczęli coraz poważniejszą rolę w życiu intelektualnym i politycznym Ameryki, a *Commentary* stało się główną trybuną tego ruchu. Kolejne artykuły wywoływały burzliwe dyskusje w intelektualnym *establishment*’cie Stanów. „Obrazoburczość” publicystów *Commentary* polegała na zdecydowanym opowiedzeniu się za kapitalizmem, postawie silnie proamerykańskiej i bezpardonowej krytyce systemu sowieckiego, a także jego ideowych sojuszników na Zachodzie. Pod koniec lat 70-tych rola *Commentary* rosła wraz z pogłębiającą się erozją pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie. Polityczne bankructwo *détente* i jednocześnie powiększająca się przewaga militarna Sowietów potwierdzały tylko słuszność argumentacji, że ze Związkiem Sowieckim rozmawiać należy wyłącznie z pozycji siły. Zmniejszenie przewagi wojskowej ZSSR, a także zahamowanie sowieckiej ekspansji w świecie stało się, zdaniem wielu publicystów *Commentary*, najważniejszym zadaniem amerykańskiej polityki zagranicznej.

Po wyborach prezydenckich 1980 roku przed niektórymi współpracownikami pisma otworzyła się możliwość objęcia stanowisk rządowych w republikańskiej administracji Reagana. Z grupy neokonserwatystów najwyższą funkcję w rządzie piastowała jak dotąd Jeane Kirkpatrick, mianowana w 1981 roku na stanowisko ambasadora amerykańskiego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Między neokonserwatystami (z których wielu ciągle należy do Partii Demokratycznej) a dominującym nurtem rządzącej Partii Republikańskiej zarysowały się jednak dość szybko zasadnicze różnice poglądów w kwestiach dotyczących właśnie polityki zagranicznej, a szczególnie Związku Sowieckiego. W rządzie, mimo pozorów nieprzejednania, przeważały w końcu tendencje ugodowe, a neokonserwatyści zaczęli odnosić się krytycznie do wielu posunięć administracji Reagana. Jednym z krytyków linii politycznej obecnej ekipy rządzącej jest redaktor naczelny *Commentary* Norman Podhoretz, który udzielił poniższego wywiadu specjalnie dla redakcji *Kultury*.



Robert KOSTRZEWA: — W 40-tą rocznicę powstania *Commentary* opublikował Pan teksty wygłoszone na sympozjum z udziałem

tem wielu wybitnych intelektualistów amerykańskich, którzy mieli ocenić, na ile Stany Zjednoczone sprostały zadaniom, jakie pański poprzednik, Elliot Cohen, uważał za wyznaczające powojenne dzieje. Czy mógłby Pan odpowiedzieć na trzy pytania, które zadał Pan współpracownikom Commentary? Czy Stany Zjednoczone potrafiły użyć swej „gigantycznej potęgi”, okazanej w drugiej wojnie światowej, do „sztuki pokojowego życia”? Czy Amerykanie poradzi sobie z problemami, jakie stworzyła broń nuklearna? I wreszcie, na ile skutecznie Ameryka broniła siebie i innych przed niebezpieczeństwem sowieckiego totalitaryzmu?

Norman PODHORETZ: — Jeżeli chodzi o pierwsze wymienione przez Cohena zadanie, to nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone odniosły ogromne sukcesy w „sztuce pokojowego życia” — dużo większe, niż ktokolwiek zaraz po wojnie mógłby przypuścić. W 1945 roku spodziewano się depresji ekonomicznej związanej z przystosowaniem gospodarki podporządkowanej działaniom wojennym do warunków pokojowych. Okazało się, że nie tylko nie doszło do gospodarczego kryzysu, ale w ciągu ostatnich 40-tu lat Ameryka osiągnęła większy dobrobyt niż jakiegokolwiek społeczeństwo w historii ludzkości. Mimo przejściowych recesji udało się nam opanować strach przed krachem ekonomicznym będący dziedzictwem lat 30-tych. Jest to dowód żywotności kapitalistycznego systemu gospodarki, a także jego umiejętności tworzenia bogactwa w stopniu jakiego nie osiągnął żaden inny ustrój ekonomiczny. Również w dziedzinie społecznej Stany Zjednoczone dokonały w ciągu ostatnich 40-tu lat więcej niż spodziewano się w 45-tym roku. Najwięcej zrobiono w zakresie walki z rasizmem i innymi typami dyskryminacji. Ciągłe słyszy się o problemach rasowych w USA, ale ci którzy pamiętają Amerykę sprzed 40-tu lat nie mogą nie zauważyć ogromnej różnicy między tym, jak np. odnoszono się kiedyś do Murzynów, Żydów i innych mniejszości, a sytuacją dzisiejszą, kiedy dyskryminacja dawnego typu jest właściwie niewidoczna. Zauważyć można raczej zjawisko odwrotne, które w wypadku Czarnych objawia się nadmiernym ich faworyzowaniem w wielu dziedzinach życia społecznego. Ta sprawa, uważana za największy problem społeczeństwa amerykańskiego, została rozwiązana lepiej i sprawliwiej niż spodziewano się 40 lat temu.

Tak samo wiele osiągnięto w dziedzinie kultury. W roku 45-tym panowało przekonanie, że Ameryka jest młodą i stosunkowo barbarzyńską cywilizacją. Krzepka, wszechmocna, bogata — ale pozbawiona głębi i wdzięku prawdziwie cywilizowanych narodów. Nie myślę, aby ktoś mógł powiedzieć to samo o amerykańskim społeczeństwie dzisiaj. W latach 40-tych i 50-tych byliśmy świadkami niebywałego rozkwitu literatury. Zaraz po

wojnie Stany stały się tym, czym Paryż był w przeszłości — najważniejszym centrum twórczości malarskiej. Ameryka jest dziś stolicą muzyki. Nie tyle może jeśli idzie o twórczość, ile o mecenat i wykonywanie muzyki poważnej. Stany — szczególnie od czasów Balanchine'a — są najważniejszym centrum baletu i tańca. Warto wspomnieć też o rozkwicie szkolnictwa wyższego w latach 40-tych i 50-tych. Był to złoty wiek amerykańskiego uniwersytetu. Niestety ostatnio poziom wyższych szkół amerykańskich bardzo się obniżył.

Jeżeli chodzi o sprawę broni nuklearnej to wydaje mi się, że i w tej dziedzinie udało się nam sprostać zadaniu. Nie tylko nie doszło do wojny nuklearnej, ale w ogóle od 1945 roku nie było żadnej większej wojny. Były natomiast setki zbrojnych konfliktów, w tym dwa z udziałem Stanów Zjednoczonych. W Korei i Wietnamie poległo w sumie 100.000 Amerykanów. Osobiście uważam, że gdyby nie broń nuklearna, wojna między Ameryką a Związkiem Sowieckim byłaby nie do uniknięcia. Tylko dzięki broni nuklearnej nie doszło do trzeciej wojny światowej. Dlatego myślę, że sprostaliśmy zadaniu. Z drugiej strony jednak sędzę (zwłaszcza teraz mówiąc do Polaków), że istnienie arsenałów nuklearnych przyczyniło się do podporządkowania narodów środkowej i wschodniej Europy Związkowi Sowieckiemu i to nie wiadomo na jak długo. Nadzieje na wyzwolenie, czy to z zewnątrz czy też na skutek buntu wewnątrz imperium (takiego jaki miał miejsce w 1956 roku na Węgrzech, w 1968 roku w Czechosłowacji, czy ostatnio w Polsce w okresie „Solidarności”) tłumione były i są strachem przed wojną nuklearną. Myślę, że jeżeli w 1956 roku nie byłoby broni nuklearnej, to rewolucja węgierska mogłaby skończyć się zupełnie inaczej. Broń nuklearna uczyniła nas bezsilnymi, uniemożliwiła wszelkie próby zmuszenia Sowieców do wycofania się z zagarniętych przez nich ziem, a także utrudniła powstrzymanie Związku Sowieckiego przed dalszą ekspansją. Dochodzimy tu do trzeciego zagadnienia, a mianowicie, na ile udało się nam obronić siebie i innych przed sowieckim totalitaryzmem.

W przeciwieństwie do pierwszych dwóch kwestii, w tym wypadku bilans jest dużo bardziej złożony. Nie myślę, aby nasze zmagania uwieńczone zostały sukcesem. Przede wszystkim nie udało się nam w pełni zrozumieć ani powagi totalitarnego zagrożenia, ani istoty totalitarnej rzeczywistości. Ciągłe jeszcze istnieje na Zachodzie silna pokusa, aby zaprzeczać faktom i unikać odpowiedzialności historycznej jaka na nas spoczywa. Tak było w przeszłości w obliczu totalitaryzmu hitlerowskich Niemiec. Chciano zaprzeczać rzeczywistości, udawać, że faszyzm nie istniał, że nie był tym czym był, że nie był tak groźny, jakim się jawił. To samo dzieje się dzisiaj w stosunku do totalitaryzmu typu sowiec-

kiego. Ta ślepotą prowadzi do różnego rodzaju prób złagodzenia konfliktu, a czasami wręcz do ugłaskiwania Związku Sowieckiego. Z drugiej strony Zachód — a szczególnie Stany Zjednoczone — starał się nie dopuścić do dalszej ekspansji sowieckiej. Stoczyliśmy z tego powodu dwie wojny. Korea i Wietnam nie były dla Ameryki błahymi potyczkami. Wietnam był prawdopodobnie najbardziej wycieńczającą wojną, jakiej doświadczyliśmy od czasów wojny cywilnej. Bilans jest zatem złożony. Zrobiliśmy tyle, na ile było nas akurat stać. Byliśmy przy tym niepewni siebie, niekonsekwentni w swoich działaniach, i na pewno nie uczyniliśmy wszystkiego, co było w naszej mocy.

R.K.: — *Z perspektywy ostatnich 26 lat, od kiedy jest Pan redaktorem naczelnym Commentary, jak Pan ocenia własną rolę i rolę pańskiego pisma w naświetlaniu tych najistotniejszych problemów powojennych, o których mówimy?*

N.P.: — Kiedy zostałem redaktorem naczelnym *Commentary*, byłem — jak to sam określam i zresztą jak to inni określają — radykałem. Związałem się z ruchem politycznym, który nazwano potem Nową Lewicą. Przez pierwsze 5 lat, od roku 1960 do 1965, zajmowałem się krytykowaniem społeczeństwa amerykańskiego — jego instytucji i polityki zagranicznej. Ideologia ta była bardzo przekonująca, miała szerokie wpływy i — jak sędzę dzisiaj — wyrządziła bardzo wiele zła, jeżeli chodzi o zrozumienie przez społeczeństwa Zachodu totalitarnego zagrożenia ze strony Sowieców. Od końca lat 60-tych i ja i wielu ludzi związanych z *Commentary* zaczęliśmy traktować ten radykalny ruch, z którym byliśmy związani — a któremu niektórzy z nas przewodzili — trochę tak jak poprzednie pokolenie komunistów traktowało w latach 30-tych ruch komunistyczny. Miał tu miejsce podobny proces, który kiedyś doprowadził do tego, że komuniści zrywali z partią. Co prawda nie byliśmy komunistami, nie mieliśmy też partii, do której można było wstąpić, a potem rozczarować się, nie istniał „Bóg, który nas zawiódł”, ale było tu coś analogicznego — była ideologia, której założenia intelektualne i polityczne wywodziły się z niemarksistowskich odmian radykalizmu — takich jak socjalizm utopijny czy anarchizm. To jest właściwie określenie zbyt dokładne, ponieważ nasz radykalizm był dużo bardziej ekumeniczny niż ten z lat 30-tych.

Tak czy inaczej, owo rozczarowanie doprowadziło po pierwsze do gwałtownej i bezpardonowej krytyki ideologii, którą sami kiedyś wyznawaliśmy, po drugie do przemyślenia naszych poglądów politycznych właściwie w każdej sprawie, a szczególnie jeżeli chodzi o stosunek do Ameryki i jej roli w świecie. Doszliśmy do wniosku, że należy uczynić wszystko, aby społeczeństwa de-

mokratyczne zdały sobie sprawę z powagi totalitarnego zagrożenia sowietystycznym. Postawę taką nazwano potem neokonserwatyzmem. Z początku określenie to nie bardzo mi się podobało — w końcu jednak poddałem się, kiedy okazało się, że wszyscy oprócz mnie nazywają nas neokonserwatystami. Walka z etykietkami jest w końcu bardzo nużąca i jałowa.

Twierdzi się dziś, że neokonserwatyści, w tym też grupa *Commentary*, mają znaczący wpływ na klimat opinii publicznej, a nawet na kulturę polityczną Stanów Zjednoczonych. Chciałbym w to wierzyć. Trudno mi jest ocenić, jaką rzeczywistość odgrywamy rolę. Jestem za bardzo wciągnięty w to wszystko, ale oczywiście jest mi przyjemnie myśleć, że przyczyniliśmy się do rozbudzenia w Amerykanach dumy narodowej, a także woli oporu wobec sowieckiego totalitaryzmu.

R.K.: — *Politykę zagraniczną ponad pięcioletniej już dziś administracji Ronalda Reagana cechuje z jednej strony groźnie brzmiąca retoryka („Związek Sowiecki jest imperium zła”, komunizm jest „dziwacznym rozdziałem w historii ludzkości i pisane są dzisiaj jego ostatnie strony”, czy też ostatnio: Kadafi jest „barbarzyńcą i pariasem”) z drugiej zaś — używając pańskiego określenia — dążenie za wszelką cenę do ugłaskania Związku Sowieckiego i jego sojuszników. Dla wielu ludzi polityka zagraniczna obecnego rządu jest kolejnym rozczarowaniem i dowodem, że Amerykanie albo nie chcą, albo nie są w stanie sprostać historycznemu zadaniu, jakie na nich spoczywa. Dlaczego Pana zdaniem tak się dzieje?*

N.P.: — Problem polega na uporczywym podtrzymywaniu złudzeń, że konflikt ze Związkiem Sowieckim może być rozwiązany na drodze rokowań i że „pokojowe współistnienie” z imperium sowieckim może trwać w nieskończoność. Jeszcze raz powtórzę, że konflikt między Zachodem i Sowietami jest według mnie bardzo podobny do konfliktu z hitlerowskimi Niemcami. Związek Sowiecki przypomina Trzecią Rzeszę nie tylko dlatego, że oba te systemy są totalitarne, ale także dlatego, że zarówno faszystowskie Niemcy jak i Sowiety są ustrojami rewolucyjnymi, dążącymi do stworzenia nowego porządku na świecie, w którym sprawowałyby władzę hegemoniczną. Niemożliwe jest dogadanie się z tak żywiołową potęgą. Wszelkie starania ułożenia się z siłą tego typu nieuchronnie kończą się ugłaskiwaniem przeciwnika. Doświadczaliśmy tego przecież z Hitlerem. Nie wszyscy, którzy wierzyli w udobruchanie Hitlera, byli koniecznie tchórzami czy łajdakami — wielu było po prostu zwyczajnymi dyplomatami, którzy nie brali faszystów poważnie. Ludzie ci myśleli, że ówczesne

Niemcy są normalnym państwem, że mają normalne poczucie krzywdy (które częściowo wydawało się nawet usprawiedliwione), i jeżeli krzywdy te naprawimy, to Niemcy będą zadowolone i pokojowe. Było to z gruntu błędne odczytanie natury i zamiarów hitleryzmu. Identyczny błąd popełniamy, niestety, w stosunkach z Sowietami. Nasza ślepotą wynika częściowo ze strachu przed wojną nuklearną, a częściowo z pobożnych życzeń i nieprzyjmowania do świadomości tego, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszystkie te czynniki zatruwają amerykańską politykę zagraniczną. Wypada zaznaczyć, że w Stanach dzieje się to na dużo mniejszą skalę niż w Europie zachodniej. Zachodni Europejczycy są jeszcze gorsi. Ale nawet Ronald Reagan, który ze wszystkich współczesnych przywódców politycznych na Zachodzie wydawał się mieć najbliższe rzeczywistości pojęcie o istocie zagrożenia sowieckiego, nawet Ronald Reagan jako prezydent nie był w stanie postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem. Z jednej strony stało się tak dlatego, że każdy prezydent w tym kraju dziedziczy po swych poprzednikach biurokrację, która ma swoją własną ideologię, a tej nie sposób zmienić gruntownie w ciągu kilku lat. Z drugiej natomiast dlatego, że rozmaici doradcy okopani w tzw. „najbardziej wyrafinowanych gazetach i pismach” i na „najlepszych uniwersytetach” posiadają ciągle duże wpływy. Presja ze strony opozycji politycznej, puste nawoływania o pokój, demagogiczne straszenie wojną — wszystkie te czynniki przyczyniły się do tego, że nawet taki prezydent, jak Reagan, zmuszony był do zmiany linii politycznej, aby uspokoić zarówno opinię publiczną w Stanach jak i sojuszników Ameryki w Europie.

Ci, którzy odgrywają dzisiaj rolę Churchilla, który w latach 30-tych starał się ostrzec Anglików przed niebezpieczeństwem Hitlera, nie mają innego wyjścia jak tylko ciągle powtarzać jedyną istniejącą prawdę o Związku Sowieckim. Uważam, że sukces jest możliwy. Przecież Reagan wygrał wybory między innymi dzięki zasadniczej zmianie nastrojów amerykańskiej opinii publicznej w stosunku do Sowietów. Nie udało się natomiast, by Ronald Reagan, kiedy już został prezydentem, mógł prowadzić politykę zgodną ze swoimi przekonaniem. Na szczęście Sowietci pomagają nam popełniając czasem błędy. Kiedy wkroczyli do Afganistanu, zrobiło to na Amerykanach bardzo duże wrażenie. „Śpiący olbrzym” obudził się przynajmniej na pewien czas. Niezależnie jednak od tego, czy Sowietci zrobią coś czy nie, musimy zachowywać się stanowczo i odważnie. Paradoksalne jest to, że — szczególnie w środowisku intelektualistów — potrzeba dużo odwagi, aby mówić prawdę. Najważniejsze pytanie to nie to czy przetrwamy, ale czy zostało nam wystarczająco dużo czasu przy obecnej wojskowej przewadze Sowietów. Pytanie polega na tym, czy jest jeszcze dosyć czasu na to, aby wiedza o rzeczywistości

sowieckiej mogła się jakoś zakorzenić w społeczeństwach demokratycznych. Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale muszę założyć, że będzie to odpowiedź pozytywna. Nie pozostało nam nic innego jak tylko walczyć o to, aby zagrożenie sowieckie traktowane było tak, jak na to zasługuje, czyli śmiertelnie poważnie.

R.K.: — *Jakie były Pana zdaniem najpoważniejsze błędy w polityce zagranicznej rządu Reagana?*

N.P.: — Moje rozczarowanie do polityki zagranicznej Reagana zaczęło się od sprawy polskiej, kiedy obecna administracja zdecydowała się na przełomie 1981 i 1982 roku żyrować polskie długi. Z historycznego punktu widzenia był to moment przełomowy. Zachód po raz pierwszy miał okazję poprzeć bunt w sercu sowieckiego imperium nie ryzykując zbrojnej konfrontacji. W 1956 roku nie mogliśmy uczynić zbyt wiele poza wysłaniem wojsk na Węgry. W 1968 roku w Czechosłowacji wchodziła w grę też tylko zbrojna interwencja. Natomiast w tym przypadku można było utrzymać kryzys w Polsce w stanie wrzenia. Były to zresztą oczekiwania wielu członków „Solidarności”. Zamiast tego wybraliśmy *de facto* współpracę z Sowietami i ich Quislingami w Polsce i przyczyniliśmy się do „znormalizowania” sytuacji. Była to moim zdaniem klęska zarówno moralna jak i polityczna. Okazało się, że jest to także zapowiedź zmiany linii politycznej rządu USA, która już wtedy przesuwiała się w kierunku nowej *détente*. Przez *détente* rozumiem złudzenie, że ekspansję sowiecką można powstrzymać zachodnimi łapówkami w postaci pomocy gospodarczej. Próbowaliśmy tego eksperymentu w 1972 roku, ponosząc bezdenną klęskę. Dzisiaj znowu popełniamy te same błędy. W tym sensie reakcja rządu Reagana na sytuację w Polsce była zwiastunem przyszłego rozwoju wydarzeń. Obawiam się, że w czasie obecnej kadencji dojdzie do porozumienia rozbrojeniowego, jeżeli nie podczas najbliższego spotkania na szczycie, to z pewnością wkrótce potem.

R.K.: — *Czy sądzi Pan, że Sowietom uda się także zahamowanie budowy amerykańskiego systemu obrony strategicznej (SDI)?*

N.P.: — Myślę, że Reagan zgodzi się (a właściwie już się zgodził) na to, że mamy wolną rękę tylko w badaniach naukowych nad „wojną gwiazdową”, podczas gdy próby i budowa całego systemu będą przedmiotem rokowań. Właściwie jest to to, czego chcieli Sowietci. Badań przecież i tak nie można zatrzymać. Zgadza się raz na jakiegokolwiek warunki, uzależniamy przyszłość SDI od presji sowieckiej. Tym, którzy tak jak ja wierzą w możliwość

budowy systemu obrony w kosmosie pozostała tylko jedna nadzieja. Jest mianowicie bardzo prawdopodobne, że postęp technologiczny zdystansuje rokowania i inne presje polityczne. Naukowcy do których mam zaufanie twierdzą, że technologie SDI są dziś dużo bardziej zaawansowane niż wynikałoby to z lektury codziennej prasy. Instalacja całego systemu możliwa będzie za kilka lat, a nie w przyszłym stuleciu czy za 50 lat. Jeżeli tak rzeczywiście jest, to wstrzymanie prac nad SDI będzie bardzo trudne.

R.K.: — *Realpolitik sprowadzająca się do ugłaskiwania Związku Sowieckiego kończyła się niezmiennie porażkami, czego najlepszym dowodem jest bankructwo i Jałty, i *détente*. Z drugiej strony neokonserwatywne moralizatorsko-ideologiczne podejście do polityki zagranicznej okazało się w gruncie rzeczy nieskuteczne i doprowadziło do odejścia z rządu Reagana kilku Pana politycznych przyjaciół. Czy można połączyć te dwie koncepcje: prowadzić Realpolitik, która byłaby jednocześnie polityką moralnie słuszną?*

N.P.: — Niedostrzeżenie prawdziwych intencji przeciwnika w żaden sposób nie jest dowodem politycznego realizmu. Krytyka, do której Pan nawiązuje, jest moim zdaniem zupełnie chybiona. Definiuje się politykę realną w taki sposób, aby obejmowała ona względy ideologiczne. Jest to jednak — musi Pan przyznać — dość szczególne rozumienie *Realpolitik*. Jedyna realistyczna polityka wobec Sowietów powinna, moim zdaniem, nie tylko uwzględnić ideologiczny wymiar konfliktu, ale również założyć, że Związek Sowiecki nigdy nie zgodzi się na tzw. pokojowe współistnienie i nigdy nie zaakceptuje międzynarodowego *status quo*. A tak jest z uwagi na istotę sowieckiego totalitaryzmu, gdzie leninowski imperatyw jest jedynym źródłem legitymizacji rządzącej elity. Dlatego też prowadzenie tradycyjnej *Realpolitik* opartej na równowadze sił czy też na nagrodach i karach jest z gruntu nierealistyczne. Polityka realna skuteczna być może w wypadku konfliktów lokalnych w rodzinie podobnych do siebie państw, ale nie w przypadku mocarstwa z tak maksymalistycznymi celami rewolucyjnymi jak Związek Sowiecki. Nie było to możliwe w przypadku Aleksandra Wielkiego, Napoleona, Hitlera, i tym bardziej nie jest to możliwe w przypadku Sowietów.

Aby prowadzić realistyczną politykę wobec ZSSR, trzeba po pierwsze zdać sobie sprawę z istoty totalitarnego zagrożenia, a po drugie uczynić wszystko, aby wzmocnić siły destabilizujące imperium od wewnątrz. Nie na drodze zbrojnej konfrontacji, a przy użyciu politycznych a przede wszystkim ekonomicznych presji, wykorzystując wewnętrzne słabości systemu, pogłębiające się zarówno w sercu imperium, jak i na jego obrzeżach. Mam tu na

myśli odmowę pomocy gospodarczej i pogłębianie w ten sposób wewnętrznych trudności ekonomicznych, wzmożony atak ideologiczny prowadzący do zaostrzenia się sytuacji politycznej oraz zdecydowany opór wojskowy wobec dalszej ekspansji. Nie oznacza to wcale dążenia do wojny — chodzi raczej o skuteczne odstraszanie. Z uwagi na sytuację wewnętrzną w Stanach Zjednoczonych i innych państwach demokratycznych prowadzenie tego rodzaju polityki jest rzeczą bardzo trudną. Nie myślę jednak, aby przy właściwym przywództwie politycznym było to zadanie niewykonalne. W każdym razie jest to jedyna realistyczna strategia.

R.K.: — *Jeden z publicystów Commentary, Leopold Tyrmand, napisał kiedyś, że „dopóki stratedzy amerykańscy nie znajdą metody na to, aby wyzyskać aspiracje tych, którzy chcą zniszczyć wschodnioeuropejskie więzienie i nie uczynią z tych pragnień broni w ręku Stanów Zjednoczonych — historyczna inicjatywa będzie po stronie Sowietów”. Nawiązując do wydarzeń w Polsce w latach 1980-1982, Tyrmand stwierdził, że „Amerykanie nie wiedzą nawet, co począć z takim składem amunicji, jakim jest wola oporu Polaków”. Czy Pana zdaniem amerykańscy intelektualiści — w tym i grupa neokonserwatystów — dostatecznie wnikliwie rozpracowali poruszony przez Tyrmanda problem?*

N.P.: — Prawdopodobnie nie. Osobiście uważam, że Stany Zjednoczone powinny użyć wszelkich oprócz wojny środków, aby doprowadzić do wyzwolenia wszystkich narodów znajdujących się pod dominacją sowiecką. Fałszywe jest założenie, że ze wszystkich imperiów w historii tylko imperium sowieckie będzie trwało w nieskończoność. Tak jak Babilończycy, Asyryjczycy, Egipcjanie, Rzymianie czy Anglicy stracili swoje imperia, tak pewnego dnia również stracą je Sowietci. Zatem nie należy przyjmować za pewnik, że potęga sowiecka jest czymś nienaruszalnym. Oficjalnie Ameryka tego stanu rzeczy nie uznaje. Oficjalnie nie zgadzamy się, że taka sytuacja będzie trwała wiecznie. Nie zrobiliśmy jednak niczego, aby ją zmienić.

Chodzi mi o to — i tu zgadzam się całkowicie z Tyrmandem — że kiedy nadarza się okazja (tak jak to miało miejsce w Polsce w latach 1980-1982) aby dopomóc buntowi wewnątrz sowieckiego imperium — powinniśmy taką szansę wykorzystać. Podczas kryzysu w Polsce słyszało się często opinię, że Polacy są zbyt zuchwali. Przypominało to zdenerwowane matki mówiące dzieciom: nie przechodź przez ulicę, bo mogą cię przejechać. Był to kolejny symptom tchórzostwa Zachodu — niezgodna na to, aby Polacy byli na tyle odważni, na ile było ich akurat stać. Zachód bał się, że sowieckie wojska wkroczą do Polski i kto wie, co się stanie dalej. Mogło dojść do rozlewu krwi, może nawet do woj-

ny. Taka była przynajmniej obawa. Prawdę mówiąc niebezpieczeństwo takie zawsze istnieje, tzn. dezintegracja imperium może spowodować poważną wojnę. Myślę jednak, że warto podjąć takie ryzyko, jeżeli zdamy sobie sprawę z alternatywy, czyli że prędzej czy później wszyscy (w tym także tak pewny siebie Zachód) dostaną się pod dominację sowiecką. Kiedy Węgrzy czy Polacy znajdują w sobie na tyle odwagi, aby poderwać się do buntu, przynajmniej nie powinniśmy pomagać ich oprawcom. Pyta Pan, czy zrobiliśmy — w tym neokonserwatyści — wszystko, co było w naszej mocy. Nie bardzo wiem, co można było jeszcze zrobić. Tak jak już wspominałem na początku, jedyna metoda to uparte uświadamianie opinii publicznej, która w systemie demokratycznym jest rzeczywiście suwerenna. Sukces jest możliwy. Nie jestem optymistą, ale nie straciłem też do końca nadziei.

R.K.: — *Czy mógłby Pan wymienić — tak jak Elliot Cohen w 1945 roku — najważniejsze zadania, stojące dzisiaj przed Stanami Zjednoczonymi?*

N.P.: — W zasadzie najważniejsze zadanie, przed którym dzisiaj stoimy, nie zmieniło się. Ciągłe jest nim obrona przed sowieckim totalitaryzmem. Jest to dużo poważniejszy problem niż broń nuklearna. Nigdy nie wierzyłem i dalej nie wierzę, że dojdzie kiedykolwiek do wojny nuklearnej. Być może jest to naiwne założenie, ale myślę, że jeżeli dojdzie do nuklearnej konfrontacji to będzie to konflikt między, powiedzmy, Libią i Syrią, a nie między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. Uważam natomiast, że możliwy jest — co niezbyt szczęśliwie określono — sfinlandyzowany świat. Nieszczęśliwie, ponieważ nazwa ta jest bardzo krzywdząca dla Finów, którzy zachowują się dużo odważniej wobec Sowietów, niż wiele państw zachodnich. Uważam zatem, że możliwy jest świat politycznie zdominowany przez ZSSR. Kiedy mówię zdominowany świat, mam na myśli również Stany Zjednoczone. W przeciwieństwie do niektórych neokonserwatystów myślę, że Ameryka nie może przetrwać jako niezależne państwo demokratyczne, jeżeli cała Europa zostanie „sfinlandyzowana”. Tak jak Trocki nie wierzył, że socjalizm może istnieć tylko w jednym państwie, tak samo ja nie wierzę, że demokracja i kapitalizm mogą przetrwać tylko w USA.

Klasyczna definicja zasady powstrzymywania sowieckiej potęgi zakłada (czasami wydaje mi się, że jestem ostatnim, który to pamięta) rozpad sowieckiego imperium. Kiedy w 1947 roku George Kennan napisał swój słynny artykuł, stwierdził w nim, że jeżeli zatrzymamy Sowiety w granicach powojennych, to w ciągu 10-ciu do 15-tu lat rozpocznie się dezintegracja i upadek sowieckiego

kolosa. Zasada powstrzymywania nie zakładała zatem zupełnej bezsilności Zachodu. Jej celem był w gruncie rzeczy upadek sowieckiego imperium. W tym sensie do dziś uważam ją za słuszną. Odrzucam natomiast strategię powstrzymywania, jeżeli akceptuje ona sowiecką hegemonię w Europie wschodniej. Zawsze oczywiście pada pytanie: jak wyzwolić narody wschodniej Europy i uniknąć wojny nuklearnej? Jeszcze raz powtórzę, że najistotniejsza jest współpraca Zachodu z siłami dezintegracyjnymi wewnątrz imperium. Istnienie tych sił nie jest zresztą naszą zasługą. Pojawiały się one jako wynik coraz wyraźniejszych wewnętrznych sprzeczności komunizmu. Musimy siły te wspomagać, a nie działać przeciwko nim. *Détente*, niezależnie od swych intencji, siły te osłabia, zakładając, że jedyną metodą na utrzymanie pokoju jest niedopuszczenie do głębszego kryzysu systemu sowieckiego. George Kennan dawno porzucił swoją koncepcję, co nie zmienia faktu, że jego analiza była prawidłowa. Tylko obliczenia czasowe okazały się błędne.

Staliśmy dziś przed zasadniczą alternatywą. Jeden wybór to prowadzenie polityki, której celem byłby upadek Związku Sowieckiego, co wiąże się z ryzykiem wybuchu, a nawet wojny. Drugie wyjście to zgoda na to, aby sowieckie imperium istniało dalej, próbowanie utrzymania *status quo* i ciągłe przekupywanie Związku Sowieckiego, aby postępował grzecznie i pokojowo. Niebezpieczeństwa związane z tym drugim rozwiązaniem to dalsza erozja pozycji Zachodu, dalszy wzrost sowieckiej potęgi wojskowej, a w końcu sowiecka hegemonia w „sfinlandyzowanym” świecie. Osobiście jestem za pierwszym rozwiązaniem. Pamiętać trzeba jednak o tym, że należą do mniejszości i że większość ludzi na Zachodzie opowiada się za rozwiązaniem drugim. Oni, „détentczyści”, uważają nas za histeryków i wojennych podżegaczy, my ich za tchórzów. Identyczna dyskusja toczyła się w latach 30-tych. Nawet argumenty były te same. Czytając zapisy debat na temat zbrojenia hitlerowskich Niemiec wystarczy zmienić tylko kilka słów, aby mieć wrażenie, że dyskusja toczy się w amerykańskim senacie czy brytyjskim parlamencie w roku 1986. Wtedy w końcu Zachód oprzytomniał — należy więc wierzyć, że podobnie oprzytomnieje w stosunku do Związku Sowieckiego. Trzeba też mieć nadzieję, że tym razem nie dojdzie do tak katastrofalnej w skutkach wojny.

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Nowy Jork, 29 stycznia 1986

Korespondencja z Rzymu

KOŚCIÓŁ A UPADEK DWÓCH DYKTATUR

Luty 1986 upamiętni sensacyjny upadek długoletnich dyktatur na obu półkulach: najpierw na Haiti, potem na Filipinach, w dwóch krajach o przyniatającej większości katolików. W obydwu przypadkach, mimo różnic geopolitycznych i demograficznych, do załamania się zarówno tyranii rodziny Duvalier, jak i Marcosa, przyczynił się walenie miejscowy Kościół, wspierany przez Stolicę Apostolską (w przypadku Filipin w sposób decydujący). Analogia pomiędzy obu wydarzeniami — idąca dalej niż osobisty los dyktatorów — polega na tym, że ze strony Watykanu podjęto zawczasu wysiłki w kierunku pokojowego przejścia do demokracji. Zabiegano o to, by Haiti i Filipiny nie wpadły z deszczu pod rynnę, co stało się udziałem niektórych sąsiadujących państw, to znaczy, by dyktatura typu autorytarnego nie przekształciła się w komunistyczny totalitaryzm.

Dopiero pontyfikat Jana Pawła II stworzył przesłanki dla strategii, która wywarła wpływ także na politykę amerykańską i doprowadziła do obalenia obydwu dyktatur. Przed obecnym pontyfikatem nic tego nie zapowiadało. Wręcz przeciwnie: Kościół na Haiti był nawet jednym z filarów skorumpowanego reżimu ojca, a potem syna Duvalier. W 1966 roku kardynał Samore podpisał w imieniu Pawła VI z reżimem Papy Doca konkordat, który odnawiał przywileje z ubiegłego wieku, pozwalając dyktatorowi na decydujący wpływ na nominację biskupów. A po każdej mszy św. odmawiano specjalną modlitwę za dożywotniego dyktatora. Na Filipinach Kościół nie był podobnie skompromitowany, ale też wspierał czynnie Marcosa, głównie w obawie przed czerwonym niebezpieczeństwem. W jednym i drugim przypadku Kościół stał się jednak stopniowo katalizatorem społecznego niezadowolenia.

Jan Paweł II wniósł osobisty wkład do wprowadzenia w ruch dynamicznego procesu przemian. W marcu 1983 roku, na Haiti, w czasie swej podróży do krajów Ameryki Środkowej, Papież oświadczył: „trzeba, by coś się tu zmieniło, by lud mógł zacząć żywić nadzieję”. Jego wizyta otworzyła możliwość uprawnionego antagonizmu wobec władzy, uruchamiając uspioną energię społeczną i wstrząsając synekurami, jakie lokalny Kościół uzyskał w cieniu dożywotniej dyktatury. Poruszyła duchowieństwo i popchnęła do aktywizmu biskupów bardziej uczulonych na potrzeby upośledzonych mas. Sytuacja w ostatnich latach ulegała stopniowej ewolucji, kontrolowanej przez Watykan nie tylko poprzez wzmocnienie autorytetu miejscowej hierarchii, ale także przez misje specjalnych wysłanników. W ubiegłym roku, w lipcu, doszło

do rewizji konkordatu, która pozbawiła Baby Doca prawa weta przy nominacji biskupów. Próznią działań państwa w dziedzinie oświaty i opieki zdrowotnej została wypełniona przez coraz bardziej aktywne zgromadzenia zakonne i apostołat świeckich. W ciągu trzech lat od wizyty papieża Kościół, nie tak dawno jeszcze potulny wobec władzy, przeszedł do biernego oporu, a w ostatnich miesiącach nawet do popierania form czynnego oporu demokratycznego. Stał się protagonistą. Wypadki nabrały przyspieszenia. Potworna nędza, korupcja i ucisk wymagały niezwłocznej interwencji w imię sprawiedliwości społecznej. W przełomowych tygodniach walki przeciwko dyktaturze abp Ligondé, prymas haitański, upominał, że choć chrześcijanin powinien dążyć do pacyfikacji i rekoncylacji narodowej, kto jednak popełnił przestępstwa i ciemniżył lud, musi być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za wyrządzone szkody. Gwałtownym demonstracjom, skierowanym przeciwko dyktaturze, które nastąpiły w styczniu, towarzyszyły wystąpienia duchownych i listy otwarte siedmiu biskupów, potępiające postępowanie władz wobec uczestników masowego protestu. Nuncjusz apostolski w stolicy Haiti, za pośrednictwem episkopatu amerykańskiego, zabiegał energicznie, by przekonać administrację Reagana o konieczności porzucenia dyktatora. Dzięki prestiżowi, jaki Kościół zdobył na Haiti, obywatele, tamtejszy episkopat i Watykan odgrywają pierwszoplanową rolę, zarówno na płaszczyźnie wewnętrznej, jak i stosunków zewnętrznych.

Przejdźmy z kolei do przeanalizowania sytuacji na Filipinach. Zdecydowany sprzeciw Episkopatu wobec tyranii i oszustw wyborczych Marcosa a zarazem poparcie dla Corazon Aquino, symbolu demokratycznej alternatywy, zadały śmiertelny cios dyktaturze. Także i w tym przypadku zastosowana przez Watykan strategia oznaczała zwrot w dotychczasowej polityce i wyraźny przełom w porównaniu z sytuacją, jaka panowała przed pontyfikatem Jana Pawła II. W szczególności zaś przed jego podróżą na Filipiny w lutym 1981 roku — ostatnią podróżą przed majowym zamachem na jego życie. Przed aktualnym pontyfikatem episkopat filipiński zajmował pozycję określaną jako „krytyczna współpraca” z reżimem. Wynikało to po części z rozbieżności w tonie Kościoła, po części zaś z nadziei na pozytywną ewolucję reżimu. Zachodziła ponadto obawa wybuchu wojny domowej, grożącej możliwością przekształcenia Filipin w nowy Wietnam. Przed podróżą papieża na Filipiny doszło do mediacji watykańskiej w sprawie zniesienia stanu wojennego, wprowadzonego przez Marcosa w niektórych regionach archipelagu pod pretekstem walki przeciwko partyzantce komunistycznej, do której zresztą przystępowali również kapłani i aktywiści katolicy. Ta udana mediacja, przyprowadzona przez kardynała Vagnozziego z Watykanu i kardynała Sina, nie przeszkodziła jednak papieżowi w wspomnieniu reżimowi łamania praw człowieka. Już wtedy w Watykanie postawiono na stopniowe wykruszenie pozycji Marcosa. Stawka w grze była jednak nader poważna — chodziło o nie sprowokowanie przelewu krwi przez pochopne działanie.

Ostatnie złudzenia na ewentualną, pozytywną ewolucję odpadły, kiedy w 1983 roku na lotnisku w Manili doszło do zabójstwa senatora Acquino, przywódcy demokratycznej opozycji. Marcos nie dopełnił ponadto przyrzeczeń, że podejmie proces demokratyzacji i ogłosi amnestię dla więźniów politycznych. Jednak jeszcze rok temu kardynał Sin apelował o pojednanie i porozumienie pomiędzy reżimem i opozycją. A Watykan musiał przejmować się i niepokoić klimatem przemocy, jaki zapanował w kraju na skutek partyzantki i represji, klimatem, w którym — jak oświadczył wówczas kardynał Sin — tkwiło ryzyko powstania „filipińskiej wersji brudnej wojny argentyńskiej i zagłady hitlerowskiej”. Marcos jednak nie tylko odrzucił wyciągniętą rękę do porozumienia, ale wzmógł naciski na Watykan, aby odwołał kardynała Sina ze stanowiska.

Tymczasem przepaść pomiędzy władzą i narodem poszerzała się i zwiększał się również dystans pomiędzy Kościołem i Państwem. Watykanowi zależało na tym, by ten rosnący rozłam nie doprowadził do krwawych, masowych rozruchów i zaostreżenia represji. Stąd ostrożność i powściągliwość, zwłaszcza w ostatniej fazie wydarzeń. Watykan zdawał sobie sprawę, że wśród biskupów przeważa zdecydowane poparcie dla kandydatury Corazon Aquino. I stąd błyskawiczna, bezprecedensowa reakcja watykańska na komunikat episkopatu, potępiający reżim Marcosa i jego rzekome zwycięstwo wyborcze. W innych, podobnych przypadkach dyplomacja watykańska działa zazwyczaj bez pośpiechu. Tym razem zapadła, aprobowana przez Papieża, decyzja szybkiego działania w obawie o dalszy rozwój wypadków; ponadto chciano wpłynąć na biskupów, aby znaleźli równowagę pomiędzy akcją i przeczornością. Watykan został jednak wyprzedzony przez zdeterminowaną postawę Kościoła filipińskiego. Okazało się bowiem, że kardynał Sin, biskupi, kler oraz jezuici i dominikanie w otoczeniu Corazon Aquino, postawili wszystko na jedną kartę, rezygnując z prób kompromisowego rozwiązania. Mało tego, nawołując do tzw. „nieposłuszeństwa cywilnego” i do poparcia zrewoltowanych dowódców i oddziałów wojskowych, Kościół stał się dynamiczną siłą społeczną.

Sam Papież w swych wystąpieniach wykazał ostrożność polityczną, by nadmiernie polityczne stanowisko Sina i biskupów nie przeczyniło się do wzrostu napięć, zamiast do ich osłabienia. Jeszcze w październiku ubiegłego roku Papież przestrzegał biskupów z Filipin, przybyłych z wizytą *ad limina*, przed uprawianiem polityki i zajmowaniem stronniczego stanowiska. Watykan jednak udzielił później kardynałowi Sin niespotykanej autonomii, ponieważ prymas filipiński potrafił ją sam zdobyć. Popierając zasadnicze opcje, jakich dokonał episkopat filipiński — co nie było łatwe — Jan Paweł II przechylił również szalę, jeśli chodzi o stanowisko jakie zajął prezydent Reagan, początkowo — jak wiadomo — pełne wahań. Rozstrzygającą rolę odegrał na pewno Sin, który wytrącił amerykańskiej administracji kartę szantażowania komunistyczną partyzantką w uporczywym popieraniu dyktatury. Podciął grunt partyzantce, umożliwiając

Amerykanom przerzucenie się na alternatywę demokratyczną. Ułatwił jednym słowem administracji USA ocalenie twarzy. Nieprzejednane, śmiało zaangażowanie Kościoła pod przewodnictwem kardynała Sina odpowiada na pokojowe wyzwanie teologii wyzwolenia, co zapewne wywrze wpływ na obszarze Trzeciego Świata. (I być może wywoła pośrednie reperkusje w Kościele polskim — przypisek Redakcji). To pokojowe zwycięstwo stworzyło ważny precedens w stosunkach pomiędzy Kościołem i państwem w określonych sytuacjach, na przykład w licznych krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie lokalne Kościoły skutecznie oddziaływały na rozwój stosunków społeczno-gospodarczych. Może to mieć też odniesienie do sytuacji, w których społeczeństwo — zdobywając świadomość swej podmiotowości i „zarażając” nawet poważną część struktur państwowych (jak w przypadku Filipin) — wypowiada się jednoznacznie przeciwko prawowitości despotycznej władzy. Jest to równocześnie precedens, który stawia nowe problemy przed centralą watykańską.

Z jednej strony Watykan wykazał praktycznie, że szanuje autonomię lokalnego Kościoła, zwłaszcza w sytuacjach odznaczających się *emergency*. Z drugiej strony będzie się zapewne troszczyć o to, by przykład filipiński faktycznego współrządzenia przez Kościół nie okazał się zaraźliwy w sytuacjach takich, jak Nikaragua lub Chile, czy innych — analogicznych — obojętne autorytarnych, czy totalitarnych. „Kościół nie powinien sięgać po władzę” — powiedział Papież do kardynała Sina, który 6 marca składał mu raport. W tej przestrodze tkwi troska, by Kościół nie popadł w ryzyko oskarżania go o uprawianie polityki, o stawianie się stroną w rozgrywkach politycznych.

Kardynał Sin wyjaśnia, że wcielił w życie znaną z nauki społecznej Kościoła „zasadę subsydiarności”, czyli pomocniczości. Oznacza ona, że tam, gdzie Kościół lokalny może wypowiedzieć się w sposób wiążący, Watykan nie musi interweniować, a nawet winien pozostawić wolną rękę, a więc odpowiedzialność, biskupom. W praktyce następuje to wiele trudności. Niebezpieczeństwo polega na dążeniu kardynała Sina do chrystianizacji (*instaura re omnia in Christo*) całego życia publicznego, politycznego i społeczno-gospodarczego łącznie z *business'em*. Zasada subsydiarności nie powinna oznaczać, że Kościół, wobec braku stabilizacji władzy, przejmuje na siebie zadania surogatu tej władzy. Ideałem byłaby sytuacja, w której autorytet moralny Kościoła narzucałby się sumieniom bez potrzeby bezpośredniej interwencji. Kościół jest jednak również potężną społecznością hierarchiczną, która utrzymuje wielorakie stosunki, także dyplomatyczne, z doczesnymi potęgami. Kościół lokalny na Filipinach czy w Polsce i w licznych krajach Ameryki Łacińskiej jest kontrahentem władzy o pierwszorzędnej wadze, który poprzez konferencje episkopatów osądza politykę danyh rządów i stanowi zasadniczy punkt odniesienia dla zainteresowanych społeczeństw. Jak rozwiązać ten dylemat? Jak wybrnąć z tkwiącej w nim dwuznaczności, której nie da się uniknąć?

Refleksje te nie podważają w niczym istotnej prawdy: Pry-

mas Filipin dokonał wyboru; jest nim godność człowieka jako podstawowe zaangażowanie Kościoła. Kościół zwarty i odpowiadający potrzebom społecznym stanowi nieodzowny warunek, by mógł z powodzeniem bronić praw ludzkich i obywatelskich. Kościół na Filipinach wcielił w życie tę wizję. Ma to ogromne znaczenie dla przyszłych losów pontyfikatu.

Dominik MORAWSKI

Widziane z Brukseli i z Moskwy

AGENCI I GADY W POKOIKU ZA SKLEPIKIEM W MAISONS-LAFFITTE

„*Antologia*: wybór utworów literackich, jednego lub wielu autorów zwł. z określonego okresu albo zakresu tematycznego. Pochodzi z greckiego 'anthologia' czyli 'zbieranie kwiatów'”. (Władysław Kopaliński: „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”, Wiedza Powszechna).

„*Krokodyl*: rząd najwyższej uorganizowanych gadów. Większą część życia przebywają w wodzie. Drapieżne, głos mają donośny, skóra cieniona jest w przemyśle galanterijnym, mięso spożywane w niektórych krajach, czczone były w starożytnym Egipcie”. („Wielka Encyklopedia Powszechna” PWN).

Co ma piernik do wiatraka? Skąd krokodyl do zbierania kwiatów? Proste. Od dawna już namawiam Jerzego Giedroycia do podjęcia prac nad antologią nie *Kultury* (choć na pewno bardzo potrzebna), a o *Kulturze*. Skromność ludzi z Maisons-Laffitte nie pozwalała im jednak na naukowe zbieranie kwiatów na ich własny temat. Jest to — moim zdaniem — poważny błąd metodologiczny i historyczny. Badacze dziejów polskich będą w tym samym stopniu zainteresowani historią *Kultury*, ludzi, pisma i wydawnictwa, co i „*Anty-Kultury*”, to znaczy akcji przeciw *Kulturze* i kulturze bez cudzysłowów.

Dosyć, zadecydowałem, tej skromności, raz trzeba zacząć, wykrzyknąłem, kiedy wpadły mi w ręce trzy kolejne numery pisma oficjalnie satyrycznego ZSSR *Krokodil* z grudnia 1985 i stycznia 1985. Pismo powstało w 1922 roku, wychodzi — według WEP — 3 razy w miesiącu, nakład — 2 miliony, wywarło — ciągle według WEP — znaczny wpływ na rozwój prasy satyrycznej w Związku Sowieckim. Wśród współpracowników byli oślawieni rysownicy Kukryniksy, pisywali Majakowski, Biednyj, Ilf i Pietrow, Zoszczenko, Twardowski.

Tym razem pisze niejaki Aleksiej Gołub, „specjalny wysłannik” *Krokodyla* do Polski. Całość — ok. 40 stron — nosi przejmujący dreszczony tytuł: „Cztery oblicza agenta X” i jest historyczną rekonstrukcją zawiązania i złamania spisku i kontrrewolucji,

„która — jak Gołub zapowiada na wstępie — starała się obalić ustrój socjalistyczny w Polsce”. Ale czytelnik może spać spokojnie, albowiem, jako że Gołub od razu też na wstępie informuje, „w Polsce odbyły się 13 października 1985 roku wybory, w których przeważająca większość wyborców, wbrew prowokacyjnym prorocztwom propagandy burżuazyjnej, zapowiadającej klęskę kandydatów narodu, oddała swe głosy za pokojem i socjalizmem, wymierzając w ten sposób miazdzący cios w siły reakcji”. Dzięki temu w ciągu ostatnich kilku lat zaszły w Polsce — według specjalnego wysłannika Gołuba — „oszałamiające zmiany”, w wyniku których „polscy komuniści i kraj pewnie kroczą po socjalistycznej drodze rozwoju, a pewność i optymizm budzą w nich braterska przyjaźń z krajami socjalistycznymi, a przede wszystkim z ZSSR”.

Jak się łatwo domyśleć z tych kilku zdań, mrozący krew w żyłach reportaż wysłannika Gołuba zasługiwałby na przytoczenie w całości. Przecież dawno już nic nie zrobiło na Francuzach silniejszego wrażenia niż lektura całego numeru *Prawdy*, wydanego po francusku. Niestety, z Gołubem jest to niemożliwe: jego opis sensacyjnego spisku, prawdziwy samograj reporterski, jest tak nieudolny, że czytelnik gubi wątek, traci całą przyjemność, znikają początkowe dreszcze po plecach. Zmuszony byłbym więc poddać wypracowanie Gołuba fachowej redaktorskiej obróbce, po amerykańsku *editing*, nadając mu układ logiczny i czytelny zgodnie z zasadami alfabetu dziennikarstwa. Ale, uwaga: z jędrnej prozy Gołuba nie wyrzuciłem ani jednego przecinka, wszystko co w cudzysłowach jest wiernym tłumaczeniem *Krokodyla*. Jego dowód na „pewność i optymizm Polaków” został więc przeze mnie tak ułożony, aby spokojnie i jasno odpowiedzieć na zasadnicze w naszym zawodzie pytania: kto spiskował, kiedy, gdzie, z kim, jak i po co, itd.

KTO?

Po pierwsze, więc: kto?

Główny spiskowiec nazywa się Jerzy Giedroyc. Kto zacz? „Dyrektor polskiego wydawnictwa emigracyjnego 'Instytut Literacki w Paryżu'. Naczelny redaktor polskiego pisma emigracyjnego *Kultura*. Rezydent CIA. Wydawnictwo 'Instytut Literacki w Paryżu' utworzone zostało przy wydziale propagandy 2-go Korpusu armii generała Andersa, rozwiązanej po drugiej wojnie światowej”.

Czym zajmuje się Giedroyc oficjalnie? Redagowaniem *Kultury*, która jest „organem prasowym wszystkich sił zewnętrznych i wewnętrznych, dążących do zawrócenia Polski na drogę kapitalizmu i żarliwie walczących przeciw budownictwu socjalizmu w tym kraju, przeciw jego przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim”.

Jaka jest jednak prawdziwa misja Giedroycia? „Mimo szerokiej działalności wydawniczej, polegającej na wydawaniu wywro-

towej antysocjalistycznej literatury, Giedroyc nawiązał ścisłą współpracę z CIA i stał się jej zaufanym i rezydentem”. (Proszę zauważyć, że G. stał się nie zaufanym rezydentem, a jednym i drugim).

Na czym ta misja polega? Giedroyc „aktywnie (to ważne słowo, bo widocznie można i nieaktywnie) zajmuje się werbunkiem agentów dla CIA spośród polskich emigrantów, a także obywateli przyjeżdżających z PRL”.

Jak się G. to udaje? Dziecinnie łatwo: „Otrzymując środki od przedstawicieli amerykańskiego wywiadu, G. finansuje poszczególne osoby i grupy, walczące przeciw ustrojowi państwowemu i społecznemu PRL”.

GDZIE?

1. Sklepek w Maisons-Laffitte.

Wiemy już więc o kogo chodzi. Spójrzmy teraz *gdzie* „zajmuje się aktywnie” tym wszystkim Giedroyc, „zaufany i rezydent”. Spisek rozwija się równocześnie w kilku miejscach, które wszechobecny Gołub opisuje nie bez pewnej fascynacji przyrodą i metrażem.

Centrum spisku ulokowane jest „w małym miasteczku Maisons-Laffitte, na malowniczych przedmieściach Paryża, słynnym z torów wyścigowych i starego zamku”. Ale Giedroyc kieruje spiskiem nie na torach ani z zamku. Choć „zaufany i rezydent”, choć Instytut Literacki „utworzony został dość daleko od granic Polski Ludowej”, to Giedroyc nawet w tych warunkach „uznał za właściwe przestrzeganie surowej konspiracji”. No, ale przenikliwość Gołuba nie ostanie się żadna konspiracja, nawet surowa. Dzięki Gołubowi starzy spiskowcy z torów i zamku, stali bywalcy Maisons-Laffitte dowiadują się nareszcie, że „G. z gośćmi spotyka się potajemnie, posługując się sklepikiem jako znakiem rozpoznawczym”.

Jaki sklepik, pytam zdumiony — przecież znam spiskową melinę G. Ale Gołub wie wszystko, żaden szczegół mu nie umknie. „W pół drogi między Instytutem, a prywatną willą Giedroycia — rezydent otworzył sklep żywnościowo-papierniczy (dlaczego nie np. mięsno-perfumeryjny?), w którego drzwi co i raz zaglądają żwawe osobistości z pojemnymi portfelami i siatkami. Na dźwięk dzwonka rezydent wychodzi do gościa i sprawdziwszy przy pomocy hasła, że nie stoi w obliczu Francuza z sąsiedniej ulicy, a przedstawiciela „delegatury” (delegacja ugrupowań „łaknących — jak tłumaczy Gołub — interwencji w wewnętrzne sprawy Polski”), zaprasza gościa do niewielkiego pokoiku za magazynem”.

Co się dzieje w niewielkim pokoiku za magazynem? Tam „delegatury” otrzymują od Giedroycia „pomoc ze środków specjalnie wydzielanych przez CIA”.

Kto i jak korzystał ze środków? Gołub i na to odpowiada. „Aby się dostać na pieniężny garnuszek wymagano niewiele —

wystarczyło przedstawić imienny spis członków organizacji. Subwencje wypłacano po pięć-dziesięć dolarów na duszę, czyli raczej na głowę". Oczywiście nie były to sumy zawrotne nawet w przeliczeniu na ruble po czarnym kursie.

Co na to „delegatury”? „Po pięć dolarów, warczały z niezadowolaniem 'delegatury', z takimi pieniędzmi nawet do bistra nie ma za co zajrzeć, nie mówiąc już o restauracji..." czy o hipodromie, gdzie — jak ujawnia Gołub — niektóre warczące delegatury „zgrzywały się do ostatniego centa w totalizatorze". Ale G. uspokajał: „Nie chodzi o kieliszek, tłumaczył delegaturom, środki przeznaczone są na wynajem lokali, na druk ulotek. Restauracje, obiecywał G., będą później". Ale kiedy, nalegały delegatury. „Kiedy obejmujemy władzę” — odpowiadał krótko zaufany i rezydent. Po czym delegatury, mimo skromnych środków, udawały się na hipodrom, dzwonek znowu dzwonił, a G. już witał następnych gości z siatkami, po sprawdzeniu, to jasne, właściwego hasła.

2. Sauna w Heweliuszu

Drugi ośrodek spiskowy nosił nazwę „Hotel Heweliusz". Został wynajęty przez spiskowców w Gdańsku „wraz z saunami, basenami pływackimi, nocnymi barami, kabaretem i restauracjami". Gołub nie podaje czy tam też dzwonił dzwonek i trzeba było znać hasło, ale podaje listę spiskowców, którzy się przez ten hotel i jego sauny przewinęli.

Pierwszą była w Gdańsku, jak pisze Gołub, „akuszerka Solidarności", to znaczy KOR, po czym zjawili się „wysłannicy zagranicznej organizacji piśsudczyków, inwalidów o kulach, walczących z bronią w ręku przeciwko Rosji sowieckiej, hiszpańskich trockistów, stowarzyszenia polskich weteranów w Wielkiej Brytanii, angielskich biznesmenów polskiego pochodzenia i innych organizacji infiltrowanych agentami zachodnich służb specjalnych. A także nabity po brzegi autobus śląskich Niemców — delegacja rewanżystowskiego ziomkostwa z Republiki Federalnej Niemiec".

Po co przyjechali? Wystarczy zajrzeć do Gołuba. „Nie przybyli — powiada przenikliwie — z pustymi rękoma. Ktoś przyholował wagon maszyn do pisania, ktoś inny maszyny liczące dla wszystkich sekcji „Solidarności", jeszcze inny aparaty fotograficzne, bądź papier i farbę drukarską. Inni szczerze i bogato wyładowywali ze statków skomplikowane maszyny drukarskie, linotypy, samochody i autobusy...". Nie wszyscy, to jasne, holowali wagony. Niektórzy, spryciarze, urządzali się wygodniej.

Ot, np. taki „wysłannik olbrzymiej i ściśle związanej z CIA amerykańskiej centrali związków zawodowych AFL-CIO, Irving Brown, przybył bez niczego". Świnia? Harpagon? No, bez paniki. Brown wagonów nie holował ani szczerze nie wyładowywał, ale za to, jak to fachowo podejrzwał Gołub, „uśmiechnąwszy się po hollywoodzku swoimi trzydziestu dwoma zębami, Amery-

kanin gestem galanta wyciągnął z portfela czek na 3 miliony 300 tysięcy dolarów. Młodziankowi (znaczy się „Solidarności") na śliniaczek".

Jak się Gołubowi udało obliczyć hollywoodzkie zęby Browna? Nie wiem, ale wiem od niego kto jeszcze bawił w saunach „Heweliusza". Japończyk Umeda „wziął się do uczenia współpracowników komisji zagranicznej „Solidarności" dobrych manier i galanterii w obchodzeniu się z cudzoziemcami. Szwed Szulkin — nauczaniem polskich aktywistów szwedzkich metod pracy. Włoch Luigi Scriciollo przyjął na siebie obowiązki głównego goryla i detektywa, chroniącego osobę przewodniczącego „Solidarności", Wałęsy".

Gołub (co za węż reporterski!) poszedł śladem Scriciollo. Ale niestety nie do końca. Gołub podaje więc, że Włoch-goryl „stworzył bazę samochodową w pomieszczeniach gdańskiego kościoła św. Brygidy, gdzie kazania głosi duchowy ojciec Wałęsy, ksiądz Jankowski". W pomieszczeniach kościoła baza, hélas, była nieduża: „trzy limuzyny marki Mercedes i dziewięcioosobowy mikrobus Volkswagen".

Po co baza? Proste, tłumaczy Gołub, „w celach konspiracji Wałęsa za każdym razem wsiadał do limuzyny innego koloru, a goryle jechali za nim w mikrobusie".

Konspiracja w mikrobusie była bardzo ryzykowna. I rzeczywiście jak to odkrył Gołub, Scriciollo został aresztowany w Rzymie „za związek z czerwonymi brygadami". Taka bomba — Wałęsa czerwony brygadzysta! Ale Gołub się myli. Scriciollo został rzeczywiście aresztowany w Rzymie, ale nie za pracę dla czerwonych brygad, a dla czerwonego wywiadu... bułgarskiego, to znaczy KGB. Ale mniejsza o detale, Gołub na pewno poprawi to potknięcie w następnym wydaniu, może uda mu się wydać książkę. *Best-seller* mурowany.

Jak się reporter Gołub o tym wszystkim dowiedział? Normalnie. Wiedziony zawodowym węchem dotarł do archiwów gdańskiego wydziału finansowego. Tam właśnie odkrył tajemnicę gości z „Heweliusza". Traktowani z całą polską serdecznością „nie byli — jak podkreśla Gołub — karmieni przy wspólnym stole ze strajkującymi robotnikami". Z wiktem dla strajkujących „sprawa była prosta — zupa grochowa na pierwsze i filiżanka kawy z amerykańskich darów na drugie".

A co było dla gości? Jak to ustalił wyraźnie zawistny Gołub, na podstawie analizy restauracyjnych rachunków, odkrytych w archiwach urzędu podatkowego, „japoński gość Umeda jadł śniadanie, obiady i kolacje wyłącznie z bałtyckim łososem i wędzonym węgorzem, popijał rybkę „żytnią wódką", której sądząc po rachunkach konsumował do ośmiu butelek dziennie". Ah, ci Japończycy, osiem butelek żytniej dziennie, to nawet przy sowieckich stachanowcach brawo. Skandynawom też niczego nie odmawiano. „Szwed Szulkin znalazłszy się w Gdańsku, w bezpośredniej bliskości Rosji (czyżby Szwecja była w niebezpośredniej bliskości Rosji?) zdecydował, że ma prawo spożywać postny ka-

puśniak z grzybami, pierogi i jarzątka z konfiturami". Można powiedzieć sybaryta i lukullus.

A skąd u byle Szweda takie wykwintne gusty? „Moja babunia była Rosjanką, rozumiesz, przekonywał Szwed obsługę i kelnerów. Babunia miała swojego rosyjskiego kucharza. Pierogi... śmietanka, polewka...”.

Eh, chciałyby dusza. Gołub nie podaje ile rozpasany Szwed wypijał butelek dziennie. Ani jakiej wódki. Ale to nie koniec naszych niepewności. Nawet Gołubowi nie udało się ujawnić wszystkich tajemnic „Heweliusza” i jego „kulinarnych fantazji”. Tak więc, jak skromnie przyznaje Gołub, „na rachunkach figurują nazwy potraw i napitków, które nie sniły się żadnemu z najbardziej znanych smakoszy”. Gołub nie wymienia nazwisk smakoszy, którym się nie sniły, ale daje przykłady nie wyjaśnionych „kulinarnych fantazji”. I tak np. woła Gołub: „Żołądkówka? Co to takiego i czym się ją zakąsza? Albo potrawa pod nazwą „bal-angi”, której porcja kosztowała 538 złotych? Czym ją popijać? Ani gdańscy ani warszawscy kontrolerzy — podkreśla Gołub, który, jak widać, informował się w najlepszych źródłach — nie mogą do tej pory znaleźć odpowiedzi, chociaż dokumenty potwierdzają, że „bal-angi” była podawana samemu Wałęsie.

3. Madame za parkanem

Sfrustrowany podwójnie Gołub: i jako reporter i jako komentator (już nigdy nie dowie się co to była żołądkówka i czy można ją zakąszać potrawą pod nazwą „bal-angi”), nie dał się jednak zniechęcić. I tak wpadł na ślad trzeciej meliny kreciej siatki „rezydenta i zaufanego”. W imieniu Giedroycia występuje niejaki Zbigniew Wołyński, znajomy „jeszcze z czasów wspólnej służby w armii generała Andersa”. Gołub dowiedział się widocznie od „kontrolerów”, ale nie finansowych, że Wołyński „do ojczyzny nie wrócił, tylko pojechał do USA, gdzie, przyjmawszy obywatelstwo amerykańskie, spełniał specjalne poruczenia CIA”.

Na czym polegały „specjalne poruczenia”? Śmieszne pytanie. Wołyński — ujawnia Gołub — „objął obowiązki kuriera i z małżonką Li (?) przeniósł się na stały pobyt do Warszawy, gdzie zamieszkał w jednej z szykownych (Muranów?) dzielnic, w szykownej willi „Madame”, nabytej za dolary od Giedroycia”. Kurier, to jasne, bez samochodu nieważny. Ale superman Giedroyc zmiata wszelkie przeszkody. „Doświadczony szofer (niedoświadczony by nie potrafił), przywiózł z Paryża ciężkiego, dziewięćosobowego „Merkury-Montigo”, którym Wołyński z żoną zaczęli regularnie jeździć na trasie Warszawa-Paryż-Warszawa, przewożąc pod wewnętrznym obiciem limuzyny teczkę z wymienialną walutą, nielegalną korespondencją i literaturą wydawaną przez zagraniczne ośrodki”.

Zafascynowanie szykiem dzielnic i willi oraz dziewięćosobowymi samochodami nie wyczerpuje zawodowej ciekawości Gołuba. Chce odkryć po co kurierowi i szpiegowi szykowna willa w szykownej dzielnicy i dziewięćosobowy „Merkury” z doświad-

czonym szoferem? Czyż sprzyja to wszystko konspiracji? Ha, ha, ha, przewrotny kurier właśnie taką willę „wykorzystywał dla celów operatywnych. Uczestnicy (spisku) mieli teraz gdzie odbywać zebrania, a także spotkania ze współpracownikami CIA, działającymi w Polsce. Wszystko co się działo w ogrodzonej wysokim parkanem willi było głęboko zakonspirowane. Goście zwracali się do siebie nie po imieniu, a pseudonimami. Nawet gospodarz i gospodyni willi byli dla nich panem 'Y' i panią 'Z'...”.

A co się działo za parkanem? Gołub ma precyzyjne informacje z najlepszego źródła. „Materiały, powiada, jakie polska służba bezpieczeństwa znalazła w willi „Madame”, świadczą, że działalność (delegatur) sprowadzała się w zasadzie do dwóch spraw: po pierwsze — demontaż ustroju państwowego PRL, po drugie — wyciąganie dolarów z sejfów CIA”. Delegatury kazały sobie płacić za wszystko (Gołub nie podaje tym razem szczegółowej taryfy — może pięć dolarów, a może więcej), ale, powiada, „opłaty były za wszystko: za informacje szpiegowskie, za organizowanie strajków okupacyjnych, spisków, demonstracji, nawet za fotografie, które (delegatury) przesyłały przez Maisons-Laffitte do Waszyngtonu w charakterze dowodów”.

Dowodów na co? Już się nie dowiemy. Podobnie jak pozostałe tajemnicą w jaki sposób informatorzy Gołuba wpadli w kołcu na trop tak głęboko zakonspirowanego za wysokim parkanem gniazda szpiegowskiego. Gołub podaje tylko krótko (może to jeszcze tajemnica), że pan „Y” i pani „Z” „postanowili pewnego dnia, nagle, zatrzaskać drzwi przed komandosami”.

Skąd wzięta się taka zmiana? Wszystko przez paryską *Kulturę* „usilnie transportowaną nielegalnymi kanałami do Polski”. Otóż — jak przypuszcza Gołub — „obywatel amerykański Wołyński i jego żona Li przerazili się, że władze polskie domyślą się, że wspomniane w *Kulturze* zebrania pod brzęk szklanek i noży odbywają się w willi „Madame”. Przecież, powiada Gołub, za parkanem „w skrytkach willi 'Madame' ukrywano tajne dokumenty, świadczące o bezpośrednich związkach z zachodnimi ośrodkami wywiadowczymi” różnych delegatur, z których Gołub wymienia m.in. KPN, PPN i KOR.

Oczywiście, konspiracja była tak głęboka, że nie dowiadujemy się od Gołuba dlaczego wysłani przez rezydenta Giedroycia kurier „Y” i pani „Z” zostali ujawnieni przez *Kulturę*, wydawaną przez onże Giedroycia wraz z willą wynajętą za pieniądze także Giedroycia i samochodem marki „Merkury-Montigo” z doświadczonym szoferem. Musimy zadowolili się tylko krótkim stwierdzeniem Gołuba: „W ten sposób organizacja nagle straciła nie tylko przytulną willę z obszerną jadalnią i pełną szpizarnią, ale w ogóle wszelką przystań...”.

4. Szpizarnia awanturnika Geremka

■ Czyżby koniec? Taka potężna siatka, a tylko jedna przystań z obszerną jadalnią i szpizarnią? Nie, to niemożliwe!

Faktycznie. „Dzięki Bogu — wykrzykuje radośnie Gołub — właśnie wrócił z Zachodu profesor Geremek”. Skąd Opatrzność w ateistycznym *Krokodylu*? Widocznie inaczej Gołub nie mógł wytłumaczyć zbiegu okoliczności, który sprawił, że na miejscu willi „Madame”, pojawiło się jakby cudem, bez parkanu, ale z jadalnią i szpizarnią, mieszkanie profesora Geremka „z zawodu historyka, z natury awanturnika i poszukiwacza przygód”. Ten „specjalista od marginesu średniowiecznej Francji (tak naukowo zwała się — zaznacza ironicznie intelektualista Gołub — specjalność jakiej się Geremek oddawał w Paryżu) spotkał się twarzą w twarz ze specjalistą od antysowietyzmu we współczesnej Polsce, Jackiem Kuroniem. Nie bacząc na różnice profesji, specjaliści odkryli w sobie wspólnotę poglądów i Geremek przytulił bezdomny KOR”.

A jak przytulił? Twarzą w twarz czy inaczej? Nie wiemy jak, ale wiemy gdzie: „w przestronnym profesorskim mieszkaniu”.

W jakim celu przytulił twarzą w twarz? „Aby — odpowiada Gołub — snuć plany przejęcia władzy”. Łatwo powiedzieć, przejąć władzę. Reporterski skalpel Krokodyla Gołuba tnie spokojnie, ale pewnie tkanekę spisku. Prawda bije w oczy.

Z KIM?

1. Najder z playboyami

Po pierwsze, z kim? Kilka postaci, mistrzowsko zarysowanych przez jędrne pióro Gołuba, zasługuje na odtworzenie.

Zdzisław Najder. „Skazany zaocznie za szpiegostwo i współpracę z wywiadem USA na karę śmierci. Literaturoznawca, który w 1981 roku wyjechał na Zachód po czym mianowany został dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa. Pierwszy *tournée* zagraniczne (stypendium conradowskie do Oxfordu — dopisek L.U.) odbył na koszt państwa, przeciwko któremu zamierzał rozwinąć działalność”.

Jak rozwinął? Poprzez stypendium Forda. „Poselstwo amerykańskie, tym razem za amerykańskie pieniądze, posłało go na uniwersytet kalifornijski aby badał tam twórczą spuściznę Conrada”, po czym „Najder przez długie lata przebywał w innych stanach i miastach USA”.

A po co przebywał? „Jaki był plon naukowy” — pyta ironicznie Gołub. I odpowiada: „Kilka cherlawych, powtarzających wciąż to samo przedmów do polskich wydań Conrada i jego książka „Nad Conradem”, oto cała produkcja 25 lat, oficjalnie poświęconych studiom nad literaturą”.

A nieoficjalnie czemu były poświęcone? Gołub wszystko obliczył: „Co najmniej 20 z tych 25 lat Najder poświęcił tajnej działalności wywrotowej, nie gardząc przy tym wulgarnym szpiegostwem”.

Jak się dowiedział Gołub, że Najder nie gardził? „Po nagłym, podobnym do ucieczki wyjeździe Najdera z Polski, rewizja w

jego willi w Bryńsku wykryła w specjalnie obudowanych skrytkach dokumenty, świadczące o tym, że Najder przekazywał tajemnice wojskowe i państwowe współpracownikom CIA USA, przebywającym w Polsce w charakterze dyplomatów. Znalezione tam również kamień-pomnik (!) dla przekazywania listów i przybory do tajnopisu, a także kopie kwitów za otrzymane dolary USA. Jeden z kwitów na 1.500 dolarów — „za interesującą informację”... I jeszcze listy, dyrektywy... rekomendacje „maksymalnej ostrożności”, „nie zwracania na siebie uwagi, aby nie utrudniać wyjazdów za granicę”...

Najder dyrektywy szanował, „nie zwracał na siebie uwagi”, choć jak to ujawnia Gołub, ów doświadczony szpieg nie wahał się „usiąść w kawiarni lub spacerować po Marszałkowskiej w towarzystwie *playboy*ów z ambasady amerykańskiej”, dzięki której to dyskrecji udało mu się bez kwitu na 1.500 dolarów, ale chyba z gotówką, „której w skrytkach nie było”, wyjechać na Zachód.

A po co na Zachód? Śmieszne pytanie. Aby spotkać się z „rezydentem i zaufanym” Giedroyciem. Gołub ujawnia dosłowną treść rozmowy, która toczyła się zapewne w pokoju za sklepikiem w Maisons-Laffitte, a może w prywatnej willi rezydenta Giedroycia.

„Tak to jest, mój młody przyjacielu — poklepał Giedroyc ojcowsko Najdera po ramieniu. Przydałoby wam się sklecić i stanąć na czele niedużej partii albo ugrupowania. A może coś więcej... Bagaż teoretyczny macie odpowiedni. Na ilu uniwersytetach pracowaliście?”. Najder szybko obliczył, że na siedmiu. „Dobrze, rodacy mogą od Pana oczekiwać, że tak powiem, i słów i czynów. Tym bardziej, że zadania naszych wspólnych przyjaciół dawno już pan wypełnia. Będę pana finansować na ogólnych zasadach. Aż dziwne, że mi to dotychczas nie przyszło do głowy”.

Ten tak trafnie podchwycony i oddany przez Gołuba, charakterystyczny ojcowski styl rezydenta Giedroycia nie został jednak widocznie prawidłowo zrozumiany przez poklepanego Najdera, który w odpowiedzi „uśmiechnął się znacząco”.

Dlaczego „znacząco”? Albowiem poklepany Najder „dawno już miał zamiar zebrać trochę pro-amerykańskich dysydentów i sklecić z nich antysocjalistyczną organizację”. Krótko mówiąc, Gołubowi udało się ujawnić genealogię powstania „absolutnie zakonspirowanej organizacji — Polskie Porozumienie Niepodległościowe PPN”. Sam Najder naturalnie nie potrafiłby jej zorganizować. Ale oprócz rezydenta, który go finansował na ogólnych zasadach, Najderowi „chwalić Boga” (znowu interwencja Opatrzności!) nie brakło doświadczonych konsultantów.

2. Patron i potomek

I tak pojawia się w spisku *Zbigniew Brzeziński* „patron Najdera, który szlifował swą wiedzę na Uniwersytecie Columbia, po-

tomek polskich kręgów burżuazyjnych, autor planu destabilizacji Polski, nazwanego na jego cześć 'planem Brzezińskiego'". Gołub jest obiektywny. „Nie umniejszając bynajmniej — pisze — zasług pana Brzezińskiego w opracowaniu scenariusza przygotowania i przeprowadzenia puczu państwowego w PRL, wypada wspomnieć, że pracował nad tym dokumentem nie sam, a wspólnie z Rand Corporation, największym amerykańskim ośrodkiem badań strategicznych, mającym na swym koncie unikalny zbiór awantur międzynarodowych". Najder „odpowiadał Brzezińskiemu pod wszelkimi parametrami. W rzeczy samej, jeżeli Najder z polecenia amerykańskich szpiegów-dyplomatów mógł eksportować z Polski tajemnice państwowe i wojskowe (za 1.500 dolarów — dopisem L.U.), to dlaczegożby, tryumfalnie pyta wysłannik *Krokodyla*, nie powierzyć mu importu antysowietyzmu i kontrrewolucji do Polski?”.

Dziecinnie proste. Aż dziwne, że nikt na to przedtem nie wpadł. Tandem Brzeziński-Najder nadrobił utracony czas: „Jeden z czołowych ideologów i strategów antykomunizmu (znaczy się potomek kręgów), zaczął szpikować bakałarza (znaczy się poklepanego po ojcowsku) swoimi zamiarami dotyczącymi rozłożenia ustroju państwowego PRL”.

Do czego ta współpraca doprowadziła? Nadzwyczajny przynosił rezultat. „W dość krótkim czasie — ujawnia Gołub — spod pióra Najdera wyszedł program w 21 punktach, który *Kultura* nazwała potem planem obalenia władzy państwowej w Polsce, pierwszym alternatywnym programem politycznym, opracowanym po 1945 roku”.

JAK?

Tak więc w momencie, w którym „kluczową pozycję doradcy prezydenta Cartera objął 'ojciec chrzestny' polskiej kontrrewolucji Zbigniew Brzeziński”, wszystkim było, według Gołuba, gotowe. PPN „kierowała działalnością polskich sił kontrrewolucyjnych, służyła za jeden z głównych kanałów w kontaktach z CIA”, rezydent G., bakałarz N. i potomek B. kierowali ze sklepiku w Maisons-Laffitte, z willi „Madame”, z kościoła w Gdańsku i z Białego Domu siecią jacejek takich jak KOR, KPN i „Solidarność”, powołaną do zrealizowania „konspiracyjnego planu rozłożenia ustroju PRL w 21 punktach” za pieniądze Browna o „hollywoodzkich zębach” oraz przy pomocy sprzętu wyładowywanego „z odczo holowanych wagonów”.

A co na to zagranica? Spokojnie. Gotowa już była zagraniczna ekspozytura spisku. Brzeziński, Giedroyc oraz „szef olbrzymiej, znanej ze swych powiązań z CIA, amerykańskiej centrali związkowej — Lane Kirkland”, a także Najder, „występują jako eksperci utworzonego w Brukseli, tak zwanego Biura Koordynacyjnego 'Solidarności' za granicą”.

Co robi Biuro? „Biuro ukierunkowuje i przekazuje instrukcje ukrywającym się w podziemiu resztkom polskich sił antyso-

cialistycznych. Wysłannicy Biura Koordynacyjnego nawiedzają amerykański Departament Stanu. Cel tych wizyt jest jeden — obiecując dokonania przewrotu w Polsce, chcą otrzymać choć trochę pieniędzy”.

Czekając na „choć trochę pieniędzy” spiskowcy czekali także na znak ze sklepiku aby przystąpić do akcji.

Jak czekali? Gołub opisuje dramatyczne sceny z ostatnich faz przed wybuchem. „Szczegółowe instrukcje zza oceanu płynęły ku Europie samolotami i okrętami albo unosiły się gdzieś nad Atlantykami w charakterze zaszyfrowanych depesz radiowych”.

A gdzie trafiały, jaki miały efekt po unoszeniu się nad Atlantykami i po rozszyfrowaniu? Oto scena w jednej z melin. Wchodzi Jacek Kuroń.

„Władzę, powiada Kuroń — wiernie zapisany przez Gołuba — będziemy brać od dołu do góry... Jest całkiem możliwe, że 'wolny związek zawodowy' będzie przez jakiś czas współistniał z oficjalną władzą...”.

„A po co współistnieć, przebił mowę Bujak, stworzymy oddziały milicji, które raz dwa wszystkich aresztują i będzie porządek... Milicja przede wszystkim zawładnie telewizją, my opracujemy własny program, który stanie się sygnałem do strajku powszechnego...”.

„Panowie, panowie — poprosił o głos Marian Jurczyk ze Szczecina. — A gdybyśmy tak dla kilku osób postawili szubienice i tego i owego powiesili...”.

Mniejsza o detale. Oto ostatnie fazy eskalacji spisku.

„3 grudnia 1981 roku w Radomiu odbyło się niezwykle tajne spotkanie przywództwa Solidarności, na którym rozważano możliwość przejścia władzy na drodze gwałtu i uformowania tymczasowego rządu”.

„11-12 grudnia w Gdańsku odbyło się posiedzenie Komisji Krajowej Solidarności, podczas którego przyjęto rezolucję o otwartej i niezwłocznej konfrontacji z socjalistycznym rządem”.

„12 grudnia przywódcy KPN wezwali do powszechnego strajku 17 grudnia, który ma się przerodzić w zbrojne akcje”.

Nie przerodził się, albowiem — jak raportuje Gołub — „13 grudnia równo o północy najwyższe konstytucyjne władze PRL wprowadziły na terytorium całego kraju stan wojenny i utworzyły Wojskową Radę Ocalenia Narodowego”.

JAK TO BYŁO MOŻLIWE?

Na tym kończy się „faktograficzny” zapis Gołuba o tym jak zaufany i rezydent G. chciał jako agent o czterech obliczach ze sklepiku w Maisons-Laffitte rozbić polski ustrój socjalistyczny. Ale każda historia musi mieć morał. Więc Gołub zadaje sobie pytanie, „które mogłoby powstać u czytelnika sowieckiego (i polskiego), czy gierkowskie kierownictwo wiedziało o tym, że w kraju aktywnie działają wrogi antysocjalistyczne siły?”.

A jeżeli wiedziało, to dlaczego nie reagowało? Odpowiedź na

te pytania Gołub „znalazł w polskiej prasie, która prowadzi na ten temat zasadniczy i obiektywny dyskurs”.

Jaki więc jest ten dyskurs, co tłumaczy polski spisek? Gołub ujawnia źródło gangreny: „Orientując gospodarkę kraju na Zachód, Gierek i jego otoczenie popadli w niewolniczą zależność od dopływu zagranicznego kapitału, chcieli uchodzić w oczach kapitalistów za „wielkich liberałów”. Za swoje panowanie płacili tolerancją wobec antysocjalistycznych wypadów i odstępniem od zasad socjalizmu”.

Ale nie trzeba się martwić. „Polscy komuniści — obwieszcza z triumfem reporter *Krokodyla* — potrafili zewrzeć swoje szeregi i przezwyciężyć nacisk rozpasanej reakcji”.

Wszystko jest więc jasne, sprawa, jak mówią reporterzy typu Gołuba nie wymaga komentarza.

Leopold UNGER

P.S. 1. W Moskwie, jak podaje korespondent *Trybuny Ludu*, ukazały się mniej więcej równocześnie trzy książki, prawdziwe „kompedium wiedzy na konkretnych przykładach, o tle i kulisach polskich wydarzeń, planach destabilizacji Polski przygotowanych w zachodnich ośrodkach dywersyjnych, koncepcji wyrwania Polski ze wspólnoty państw socjalistycznych”. Książki Kornitowa, Kuźniecowa i Nikołajewa charakteryzuje — jak pisze korespondent *Trybuny Ludu* w artykule pt. „Polska na mapie wojny psychologicznej”: „wszechstronność podejścia do omawianych kwestii, rzeczowość i wnikliwość ocen. Są to wartościowe pozycje, przybliżające radzieckiemu czytelnikowi złożony obraz bratniego kraju i ułatwiające zrozumienie tego, co się w naszym kraju stało”.

Można się domyślać z artykułu *Trybuny* jaki to „złożony obraz” Polski otrzymuje czytelnik sowiecki. „Zaufany i rezydent” przysłał mi niestety jedynie Gołuba, więc „wartościowych kompedium wiedzy o wszechstronnym podejściu” nie czytałem.

L.U.

P.S. 2. OSTRZEŻENIE

W miesiącu kwietniu wydawnictwo subwersyjne *Kultura* zamierza wydać antologię (zbieranie kwiatów) cyklu „Widziane z Brukseli”. Będzie to na rynku wydawniczym wydarzenie na skalę międzynarodową. Z przykrością muszę jednak zawiadomić moich wiernych czytelników, że „zaufany i rezydent” tak szczerzy wobec rozmaitych agentów i delegatur, jest ogromnie skąpy wobec stałych bywalców pokoiku za sklepikiem położonym nad torami wyścigowymi między siedzibą sztabu spisku a prywatną willą Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte.

Wynika z tego podwójny wniosek. Po pierwsze, nakład jest ograniczony, należy się więc spieszyć z nabyciem tej cennej pozycji. Po drugie, nie należy liczyć na deszcz „gratisów” czyli na darmochę.

L.U.

Sprawy i troski

Pokusa zaangażowania

Najgorsza jest choroba zaangażowania we wszystko. Nieumiejętność spojrzenia na świat spoza instytucji, samodzielnie, co kończy się powoływaniem do życia wciąż nowych. Stwarzaniem zastępczej rzeczywistości w miejsce tej, której nie jest się zdolnym zanegować, a przynajmniej krytycznie opisać. Czyn staje się wówczas gestem, a sprzeciw grymasem. To nowa odmiana zniewolenia umysłów polskich, której wyrazem są ochocho zakładane czasopisma. W kraju i na emigracji Polacy bawią się sami ze sobą, w coraz mniejszym stopniu zwracając uwagę na innych, na świat zewnętrzny. Tworzą samoistny krąg, z którego nie chcą wyjść, gdyż kosztowałoby to utratę złudzeń, a może i zmianę w rozumieniu polskich zagadnień. I nie tyle to smutne, co jałowe. Powoduje schodzenie na mielizny polityczne i zatrącanie resztek wigoru społecznego. Dwa nowopowstałe pisma są tego dowodem.

Pierwsze to kwartalnik *Widnokrag*, redagowany w Bazylei przez Bohdana Cywińskiego, drugie wiedeńsko-parysko-rzymskie *Znaki Czasu*, w których rolę pierwszoplanową będzie spełniał — wydaje się — Andrzej Micewski. Różne ciężarem gatunkowym, ukierunkowaniem zainteresowań, poparciem i związkami instytucjonalnymi, bliskie sobie są w jednym: w niemożliwości uzasadnienia narodzin. Nie wiadomo po co, nie wiadomo dla kogo, dość dobrze widoczne jest tylko, przeciwko komu.

Znaki Czasu formułują swój cel wyraźniej od *Widnokragu*. Mają być trybuną Kościoła katolickiego w Polsce, potrzebną by „wyjaśniać i nawet nie tyle wdawać się w polemiki, ile raczej przedstawić” to, co się należy „pewnym kołom na emigracji”. Aby to unaocznic, w rubryce „Dialogi” pod tytułem „Awersja czy coś więcej”, podpisanej inicjałami A.M., rozpoczęte zostało ostre strzelanie do Instytutu Literackiego i miesięcznika *Kultura*.

Sprawa nie wyczerpuje się na ataku z za wiedeńskiego płotu (jeszcze niedawno zarzucano to *Kulturze*, bo redagowana w Paryżu, tym razem oponenti pisma bez kłopotu przenieśli się z

warszawskich podwórzy na wiedeńskie ulice, zapominając, że tym samym przestał ich chronić dwuznaczny wykręt: w kraju inaczej nie można!). Tym bardziej nie wyczerpuje się na takim czy innym układzie treści pierwszego numeru *Znaków Czasu*, które zresztą mogą się jeszcze okazać czasopiśmie pożytecznym i spełniającym ważną rolę w dość powikłanych relacjach między emigracją i Kościołem polskim. Wymagałoby to jednak oparcia się przy redagowaniu nowego kwartalnika na faktach, na rzeczowości, czego raczej brak pierwszemu numerowi *Znaków Czasu*.

Z tego wypływają mętne frazy artykułu wstępnego: „Wyjaśniając linię Kościoła nie możemy nie powiedzieć, że nieuznawanie realnie istniejącego państwa polskiego jest możliwe, gdy przebywa się daleko od kraju i tam realizuje swe cele. Nie jest ono możliwe, gdy tak jak Kościół, ponosi się olbrzymią odpowiedzialność za trwanie życia religijnego i narodowego, za obronę praw człowieka w kraju, w Polsce, w konkretnie istniejących warunkach. Mogą one podlegać i podlegają ocenie i osądowi z punktu widzenia chrześcijańskiej etyki społecznej. Natomiast ponoszenie odpowiedzialności i zamykanie oczu na rzeczywistość jest po prostu niemożliwe”. Jak i pomijanie niewygodnych nazwisk, chociażby cytowanego anonimowo Jana Lityńskiego.

Czy to świadczy, że nowy kwartalnik jest zapatrzony w jedną tylko część polskiej tradycji politycznej, w której nie wiadomo co było silniejsze: miłość do swoich, a może nienawiść do obcych? Mam nadzieję, że nie. A znając publikacje Andrzeja Micewskiego, jak i wielki wkład paryskiego ośrodka pallotyńów w dialogi Polaków ze sobą i z innymi, mogę sądzić, że słabości pierwszego numeru *Znaków Czasu* są zaledwie formą legitymizacji pisma w oczach wspierających je osób i instytucji, i że rozsądek polityczny i dojrzałość społeczna redaktora wezmą górę nad jego ambicjami osobistymi.

Tym bardziej, że w nowym kwartalniku, ładnie wydanym przez pallotyński *Centre du Dialogue* w Montmorency, odnajdujemy również szkice odmienne, pisane polemicznie, ale bez małoduszności artykułu wstępnego czy też polemiki zamykającej pierwszy numer *Znaków Czasu*. Wyróżnia się tu bez wątpienia esej polityczny Ludwika Dorna: „Czas Solidarności”, dobrze udokumentowany opis niejednoznaczności chwytnych haseł programu NSZZ „Solidarność”, które w większym stopniu klajstrowały brak wizji przyszłości i różnice personalne w najwyższych kręgach związkowych, niż wyrażały wolę programowania działań ruchu.

Niewiele też można zarzucić analizie Micewskiego „Tradycji historycznych katolicyzmu polskiego”. Nie stawiając też odkrywczym, przypomina autor ważne różnice i wyraźnie rozróżnia orientację wolnościową i narodową w katolicyzmie polskim, próbując — nie do końca przekonująco — je pogodzić. Mało to możliwe, a postawy endecko-katolickie, wciąż zbyt rozpowszechnione, chociaż nie zawsze ich źródła biją w tradycjach katolicyzmu, częściej są sztucznie animowane przez komunistów, którzy we wszystkich poddanych sobie krajach potrafią wykorzystywać pewne tradycje historyczne na użytek teraźniejszości.

Przejmujące jest opracowanie o stanie ekologii kraju, a dane — chociaż w zasadzie nie nowe — zebrane w całość przejmują swoją tragiczną wymową niemożności przeciwdziałania skutkom komunistycznych rządów, które wbrew znanemu stwierdzeniu nie dusze polskie niszczą, ale glebę, wodę, powietrze i to na wieki wieków. Tej smutnej lekturze towarzyszy obszerny blok dokumentów Konferencji Episkopatu Polski, będących świadectwem podejmowanych starań społecznych, przeciwstawiania się przez biskupów bandyckim poczynaniom władz, które chciałyby zerwać łączność naszego kraju z cywilizacją europejską. W dziale literackim uderza ciekawy fragment dziennika prof. Borowego.

A chociaż obok tego w *Znakach Czasu* znajdujemy również teksty okazjonalne i niemądre, to kwartalnik wystartował dużo lepiej niż zapowiadała plotka krajowa i tendencja stojąca u narodzin pisma. W sumie szanse na stworzenie żywego czasopisma są nadal prawdopodobne i może wreszcie Andrzejowi Micewskiemu uda się zrealizować redaktorskie i polityczne aspiracje, które co prawda, jak dotąd, przynosiły mu tylko porażki.

Niedużo pozytywnego da się za to powiedzieć o *Widnokregu*, który w mniejszym stopniu wyrażając ambicje Cywińskiego, zadziwia nieumiejętnością redagowania czasopisma na jakim takim poziomie. Bohdan Cywiński jakby sobie z tego zdawał sprawę, gdy w artykule wstępnym zadaje pytanie: „Jeszcze jedno pismo polskie — po co?...” Nie udziela jednak na nie odpowiedzi, zarówno w ciężkawym editoriale, jak i treścią pierwszego numeru. Zaskakuje to u Cywińskiego, który w kraju cieszył się sławą jednego z najciekawszych publicystów katolickich, i budzi obawy na emigracji, gdzie ezopowy język nie ma przecież żadnego uzasadnienia.

Wielokrotnie zresztą przyznaje się on do własnych niemożności. „Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat dokonuje się w Polsce coś bardzo ważnego. Ważnego historycznie. Nasze społeczeństwo zmienia się. Czujemy w sobie i wokół siebie tę postępującą przemianę, choć nie umiemy jej dotąd zinterpretować ani nazwać”.

Równie zresztą rozchybotana i niepewna własnych racji jest treść numeru. Obok kilku tekstów sygnowanych przez redaktora (co zdaje się świadczyć, że kwartalnik cierpi nie tylko na brak funduszy, ale i współpracowników) znajdujemy przedruk ankiety polsko-ukraińskiej z *Widnowy*, przedruk szkicu Zdzisława Najdera wygłoszonego na Kongresie Kultury Polskiej na Obczyźnie, wreszcie analizę socjologiczną o przemianach świadomości politycznej w Polsce, też znaną już po wielekroć w innym (a może tym samym?) opracowaniu.

W rezultacie jako artykuł najważniejszy wysuwa się tekst podpisany W.W., z kraju, o tym „Co robić, kiedy wszystko można zrobić?”. Zawiera on spostrzeżenia słuszne, myśli nienowe, ale warte przypomnienia, oraz propozycje pod adresem emigracji nie zawsze w pełni trafne, ale warte uwzględnienia. Chciałoby tę, by na użytek kraju pokazywać prawdziwy obraz Zachodu, ucząc po-

litycznego myślenia i politycznych reguł gry prowadzonej na świecie. Jak na nowy numer kwartalnika wydawanego z dużym nakładem sił, to trochę za mało.

Pytanie: „po co?“, które zadaje sobie Cywiński, wraca rykoszetem, odbite od czytelnika, który też może je sobie postawić. I nie chodzi tu tyle o nadmierne krytyczne negowanie sensu nowej inicjatywy, co o dobre uzasadnienie narodzin jeszcze jednego periodyku, jakby te co już są cieszyły się tak świetnym zdrowiem i opływały w licznych autorów czy — co ważniejsze — czytelników.

A swoją drogą czytając *Widnokrąg* można się po raz kolejny zastanowić: czy redaktorskie próby Cywińskiego nie są skutkiem niewykorzystania talentu i doświadczeń społecznych tego znanego publicysty przez znajdujące się poza krajem instytucje kościelne? Aż się prosi, by to właśnie Cywiński, eks-redaktor miesięcznika *Znak*, współuczestnik strajku sierpniowego, wykładowca TKN, redaktor *Tygodnika Solidarność*, wzbogacił którąś z zamierających placówek Kościoła polskiego w Rzymie i by ten aktywny działacz KIK-ów mógł swoją energią nadać im bardziej intelektualny, przyciągający audytorium charakter.

Stało się inaczej. W rezultacie — jak się zdaje — pokusa zaangażowania zwiódła redaktorów obydwu periodyków na manowce. Chcąc być czynni wybrali działania — może nie w pełni świadomie? — pozorne.

I tak *Znaki Czasu* Micewskiego poddane są zbyt bliskim związkom instytucjonalnym, roszcząc sobie — na ile prawdziwie, to pytanie — prawo do wyrażania opinii Kościoła polskiego. Tracą w ten sposób możliwość wzbogacenia piśmiennictwa emigracyjnego, którego największą siłą jest wolność i pozainstytucjonalna swoboda wypowiedzi, niepodporządkowanie takim lub innym autorytetom.

Widnokrąg Cywińskiego jest z kolei czasopismem, które od pierwszego numeru nie potrafi nawet teoretycznie określić swojego miejsca na mapie prasy niezależnej, wydawanej czy to na emigracji, czy w kraju.

Czyżby więc nowe pisma były przykładem kryzysu drażącego ostatnio polskie działania społeczno-polityczne? Brania pozorów za rzeczywistość, a racji osobistych za uniwersalne? Można tak sądzić, tym bardziej, że emigracja nie cierpi na brak instytucji czy tytułów prasowych — gorzej z utrzymaniem stanu posiadania, zachowaniem odpowiedniego poziomu etc. Mnożenie inicjatyw grozi więc osłabieniem tych, które są i jest raczej rozmięszaniem się na drobne.

Marek ZIELIŃSKI

Kraj

"Polska po pięciu latach"

KILKA UWAG O EKONOMICZNEJ CZĘŚCI RAPORTU
„GOSPODARKA W KRYZYSIE”

OD REDAKCJI

W końcu lata ubiegłego roku wydano w kraju dużym nakładem środków (na poinformowanie krajowej i zagranicznej opinii publicznej) obszerne studium naukowe, opracowane przez zespół niektórych doradców „Solidarności” pt. „Raport — Polska po pięciu latach”. Zaopatrzone w przedmowę Wałęsy studium składa się z kilku części, z których najobszerniejsza jest część ekonomiczna: „Gospodarka w kryzysie”. Obecnie otrzymaliśmy z kraju krytyczne omówienie tej właśnie części. Ze względu na to, że tekst ten stanowi pewne odbicie zróżnicowania poglądów w ruchu „Solidarności”, pragniemy z nim zapoznać naszych Czytelników.

Opracowanie jest obszernym studium, omawiającym podstawowe dziedziny gospodarki i główne problemy ekonomiczne kraju. Pierwsze rozdziały poświęcone są przemysłowi i rolnictwu, osobny rozdział omawia sprawy energetyki, dwa rozdziały dotyczą rynku, dwa podrozdziały zagadnień handlu zagranicznego, jeden obszerny rozdział zajmuje się samorządem pracowniczym, w dwóch rozdziałach jest mowa o reformie gospodarczej (raz w powiązaniu z problematyką polityczną). Zwraca uwagę brak rozdziału traktującego o infrastrukturze technicznej (transport i gospodarka komunalna) oraz o pozarolnym sektorze prywatnym.

Widać, że opracowanie jest dziełem kilku autorów: poszczególne rozdziały stanowią odrębne artykuły powiązane między sobą dość luźno. Niektóre tematy (rolnictwo, handel zagraniczny, rynek) są prezentowane w dwóch opracowaniach, przedstawiających daną problematykę nieco odmiennie; odmienną ta dotyczy nie oceny, która jest dość jednolita, lecz wyboru omawianych

zagadnień. Ta okoliczność sprawia, że całość pracy robi wrażenie pewnej niespójności, trudno wydobyć z tekstu jedną czy kilka głównych myśli, które byłyby rozwijane przy poszczególnych tematach, dokumentowane przykładami i prowadziły do wyraźnej konkluzji.

Całe studium jest napisane w sposób kompetentny. Autorzy wykazują dużą wiedzę ekonomiczną, prowadzą rozumowanie ekonomicznie wnikliwe, formułują często celne uogólnienia, wyciągają trafne wnioski szczegółowe. Dodatkowym walorem opracowania jest wzbogacenie analizy konkretną faktografią, choć bez przeładowania statystyką. Odnosi się wrażenie, że autorzy dysponują informacją rozleglejszą, niż dane ogólnie dostępne w publikacjach gospodarczych.

Na pozytywne wyróżnienie zasługuje zwłaszcza rozdział o energetycznych ograniczeniach wzrostu. Trafne są również liczne sformułowania w rozdziałach o rolnictwie i o rynku (np. podkreślenie znaczenia rynku kapitałowego). Aprobata budzi również, oczywiście generalnie krytyczny, stosunek autorów do polityki gospodarczej rządu w omawianym pięcioleciu.

Mimo tych zalet, głównie typu fachowego, ogólna ocena opracowania musi wypaść negatywnie. Opracowanie „Gospodarka w kryzysie” mogłoby być uznane za pozytywne, a nawet śmiałe i twórcze, gdyby zostało zamieszczone w jakimś biuletynie rządowym. Jeśli jednak nosi ono stempel „Solidarności” i ma wyrażać stanowisko opozycji, to omawiany tekst całkowicie zawodzi, nie spełnia elementarnych oczekiwań politycznych, a nawet miejscami musi oburzać.

O politycznym charakterze takiego studium decyduje głównie to, do jakiego adresata jest skierowane. Otóż opracowanie „Gospodarka w kryzysie” jest skierowane głównie do władz PRL, do rządu. Inni ewentualni czytelnicy, jak struktury „Solidarności”, opinia publiczna, społeczeństwo, nie są przez autorów uwzględniani w dostatecznym stopniu. Widać to z doboru argumentów, ze sformułowania ocen i z ogólnego tonu wywodów.

Opracowanie jest napisane w tonie perswazyjnym, popartym ogólną pobłażliwością ocen. Jest to znany sposób pisania, stosowany kilka lat temu przez grupę „Doświadczenie i Przyszłość” (DiP). Była to grupa w pewnym stopniu koncesjonowana przez władzę i w swoich opracowaniach skrupulatnie przestrzegała formuły „opozycji wewnątrzustrojowej”.

Ten ogólny perswazyjno-pobłażliwy ton występuje w licznych sformułowaniach i stwierdzeniach rozrzuconych po całym tekście. Oto odpowiednie cytaty:

Na str. 32 pisząc o wynikach gospodarczych rządów Gierka autorzy stwierdzają: „Być może (podkr. recenzenta) niepowtarzalna szansa z lat siedemdziesiątych... nie została właściwie wykorzystana”. Wyrażenie „być może” osłabia tę konstatację i wskazuje, że autorzy mają pewne wątpliwości w sprawie przeciętnej dzisiaj oceny dla wszystkich. Nie należało też pisać o braku właściwego wykorzystania, lecz po prostu o zmarnowaniu i zaprzepaszczeniu szans.

Mając wątpliwości co do jednoznacznej winy za politykę lat 70-tych, autorzy rozgrzeszają rząd z bieżących działań gospodarczych. Na str. 62 piszą: „Radykalne zawieszenie rozdzielnictwa w latach 1981-1985, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego w warunkach gwałtownego spadku produkcji prawdopodobnie nie było możliwe” (podkr. recenzenta). Nieprawda. Było możliwe i było (oraz jest) konieczne. Twierdząc, że zniesienie rozdzielnictwa nie było możliwe (choćby tylko prawdopodobnie), autorzy popierają stanowisko rządu, niezwykle szkodliwe dla podstawowych działań reformy gospodarczej, a usprawiedliwiając to gwałtownym spadkiem produkcji, podziwiają przewrotny i w gruncie rzeczy nonsensowny argument, lansowany przez obłudnych zwolenników centralizmu.

Na następnych stronach autorzy chcą przekonać czytelnika, że system nakazowo-rozdzielczy raz ustanowiony — działa samoczynnie. Piszą (str. 72): „zmusza on (system) do stosowania politycznych kryteriów na szerszą skalę niż tego oczekiwano”. A więc władza znow jest niewinna, samo tak wychodzi. W rzeczywistości kryteria polityczne przy decyzjach gospodarczych są zawsze stosowane na taką skalę, na jaką to jest możliwe, i władza nigdy nie rezygnuje z preferencji politycznych, jeśli tylko może je zastosować.

A w ogóle — zdają się mówić autorzy — nie można mieć pretensji do władz, że reforma nie działa w sposób bardziej radykalny, gdyż została podjęta w okolicznościach szczególnie niesprzyjających — dna kryzysu gospodarczego (str. 77). W ten sposób autorzy na serio powtarzają znany argument komunistów, który ma usprawiedliwiać hamowanie i ograniczanie reformy, argument wewnętrznie sprzeczny, gdyż właśnie reforma miała być głównym środkiem przezwyciężenia kryzysu.

W innym miejscu (str. 62) autorzy usprawiedliwiają karygodne kontynuowanie kierunków inwestowania z okresu rządów Gierka. Czytamy: „Władze nie były w stanie (podkr. recenzenta), mimo kilkakrotnych prób, ograniczyć programu inwestycyjnego z okresu lat siedemdziesiątych”. Nie były w stanie, a więc nie mogły, choć bardzo chciały (kilkakrotne próby), a więc nie one są winne, że w dalszym ciągu setki miliardów, a nawet biliony złotych wydaje się na inwestycje sektora jałowego, które nie tylko nie przyniosą żadnego pożytku naszej gospodarce, ale obciążą nasz kraj dodatkowymi kosztami (środowisko naturalne, zużycie energii, zatrudnienie, import, infrastruktura).

Jeśli władze „nie były w stanie”, jeśli pewne pożądane rozwiązanie nie było możliwe, to kto jest winien? Może Związek Sowiecki? Broń Boże. Na str. 56 autorzy cytują aprobowaną zachodniemieckiego polityka Bangemanna, który „widzi możliwość złagodzenia tendencji ekspansjonistycznych ZSSR na drodze polityki współpracy gospodarczej”. Jest to pogląd wynikający z zachodniego, kretyńskiego oportunizmu i jego fałszywość została wielokrotnie przez wydarzenia ostatniego półwiecza udowodniona. Przytaczanie go w tekście firmowanym przez „Solidarności” zmierza do tego, żeby i nam wmówić tę bzdurę.

Jak wobec tego jest z ZSSR? Otóż w tej sprawie autorzy, już teraz od siebie, piszą (str. 56): „...nasze stosunki gospodarcze... z ZSSR są... ciągle jeszcze globalnie korzystne...” oraz „ZSSR może być zainteresowany politycznie rozwojem gospodarczym Polski, godząc się na określony stopień 'inności' stosunków społeczno-politycznych” (domyślne — w naszym kraju).

W świetle doświadczeń całego okresu powojennego, istniejącej dokumentacji na ten temat oraz aktualnego stanu rzeczy — powyższe twierdzenia są całkowicie fałszywe i jest to fałsz skandaliczny, gdyż wypowiedziany pod firmą „Solidarność”.

Ale autorzy „Gospodarki w kryzysie” są konsekwentni. Mówiąc o zamierzonej i realizowanej przez rząd reorientacji gospodarki polskiej na handel z ZSSR piszą, że „być może (znów ten ostrożny brak kategoryczności) nie istnieje (w stosunku do tej reorientacji) żadna rozsądna alternatywa” (str. 58).

Wprawdzie Związek Sowiecki chciałby nas przykuć gospodarczo do siebie i wmówić wszystkim Polakom nieuchronność takiego stanu — jest jednak kolejnym skandalem, że znajduje rzeczników tej polityki w „Solidarności” — ale my wiemy, że w warunkach suwerenności politycznej kraj nasz mógłby natychmiast dokonać zwrotu i znaleźć alternatywę dla swojej polityki w handlu zagranicznym. Alternatywą tą jest Europa: zbliżenie, a potem integracja z Europejską Wspólnotą Gospodarczą.

Mimo braku alternatywy w stosunku do orientacji na ZSSR dobrze byłoby mieć zachodnie kredyty. Autorzy postulują przyznanie PRL takich kredytów, początkowo uzależniając je od realizacji reformy ekonomicznej i takiego minimum zmian politycznych, które umożliwiłoby społeczną kontrolę efektywności użycia kredytów (str. 57). Ten słuszny warunek zostaje jednak w dalszym tekście uchylony. Na str. 59 czytamy bowiem: „Dla gospodarki polskiej byłoby też prawdopodobnie korzystne dysponowanie przychylnością państw-wierzycieli nawet wtedy, gdyby nie były realizowane reformy wewnętrzne”. Otóż nie byłoby to korzystne, a nawet byłoby wysoce szkodliwe, gdyż czerwoni znów dostaliby kredyty, które znów wydaliby w sposób marnotrawny, a zagraniczni wierzyciele, mimo swojej przychylności, obciążąliby naród polski nowymi długami. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że w interesie narodu polskiego jest, aby komuniści nie dostali ani jednego dolara nowego kredytu bez takich zmian politycznych, które zapewnią sensowne zużycie tego kredytu z korzyścią dla narodu.

Minimalizm reformatorski znajduje wyraz również i w innych miejscach opracowania. Autorzy zapewniają, że doceniają postulat „zmian częściowych, ewolucyjnych”. „Taki kierunek zmian jest zapewne jedynie możliwy” — stwierdzają (str. 59). Konkretnie ma to być taki kierunek, który pozwoliłby pogodzić rynek z władzą komunistyczną. Zdaniem autorów jest to możliwe, a zatem nawet urynkwienie gospodarki nie grozi czerwonym pozabawieniem władzy (str. 69). W ten sposób główny odbiorca opracowania zostaje uspokojony. Nas jednak musi to nie tylko zaniepokoić, ale nawet oburzyć. Rynkową reformę gospodarki uwa-

żamy za nieodłączną od zmian politycznych, które położą kres totalitarnej władzy komunistów.

Dla większej jasności autorzy eliminują z tego przyszłego rynku konkurencję, pisząc: „nie można liczyć na szybkie uruchomienie (jej) w szerszym zakresie” (str. 65), a „państwo musi zachować znaczne kompetencje decyzyjne w gospodarce” (str. 74). To też powinno uspokoić właścicieli tego państwa.

Ale dla społeczeństwa autorzy „Gospodarki w kryzysie” także mają uspokajające zapewnienia, mianowicie przepowiadają, że mimo grożącej nam stagnacji „nie będzie głodu i nędzy” (str. 56). Jest to jednak fałszywe uspokojenie. Nasza stagnacja nie jest bynajmniej stanem równowagi. Wystarczy jeden rok nieurodzaju zbóż i okopowych, aby płytki spokój na rynku żywnościowym został zburzony i pojawił się niedostatek żywności, który przy rosnącej liczbie ludności może lokalnie przybrać charakter głodu. Wtedy będziemy pokładać nadzieję tylko w pomocy zagranicznej, jak dziś Etiopia i Sudan. A co do nędzy, to już ją mamy, tyle że maskowaną zużyciem nagromadzonych zapasów. Zapasy te (np. infrastruktury) skończą się jednak i wtedy nędza wybuchnie w całej swej odrażającej jaskrawości. Przy istniejącej inwolucji gospodarki PRL jest to nieuniknione.

Chcąc zdobyć przychylność rządowo-partyjnego odbiorcy, autorzy tekstu zniekształcają pewne elementy z niedawnej przeszłości. Pisząc o postulatach „Solidarności” z okresu jej jawnego istnienia, zmierzających do demokratyzacji systemu, autorzy wymieniają żądanie demokratycznych wyborów do władz lokalnych (str. 74) oraz zapewniają, że zasada nadrzędnej pozycji partii komunistycznej nie była kwestionowana. To nieprawda. W drugiej połowie 1981 roku wysuwano coraz częściej żądanie przeprowadzenia wolnych wyborów do sejmu, a nie tylko do rad narodowych, a od października 1981 masy robotnicze zorganizowane w „Solidarności” rozpoczęły usuwanie PZPR z zakładów pracy, co było jawnym zakwestionowaniem kierowniczej roli partii. Przez pamięć tych działaczy naszego ruchu, którzy zginęli od czasu wprowadzenia stanu wojennego, trzeba w tych sprawach dać świadectwo prawdzie.

Ukoronowaniem tych wszystkich niejasności, zniekształceń, uników i ukłonów pod adresem państwowo-partyjnego czytelnika jest próba wyjaśnienia mechanizmu działania obecnego systemu gospodarczego PRL. Gdzie są sprężyny tego mechanizmu, co nadaje kierunek polityce gospodarczej i utrzymuje system nakazowo-rozdzielczy? Według autorów „Gospodarki w kryzysie” główną sprężyną i motorem systemu PRL są „nieformalne grupy polityczno-gospodarcze o potężnych wpływach i autonomicznych interesach, a szczególnie interesach ich liderów” (str. 72). A zatem to Gierek, Jaroszewicz, Szydłak, a przedtem Gomułka, Jaszczuk, jeszcze wcześniej Minc itd. W innym miejscu autorzy mówią o władzy „ważnych segmentów administracji partyjno-gospodarczej” (str. 62), gdzie indziej zaś schodzimy do tradycyjnej biurokracji. Podporządkowana tym sprzecznym naciskom „gospodarka... rozwija się w sposób żywiłowy (str. 72), co umożliwi naj-

bardziej absurdalne decyzje i ewidentne błędy polityki gospodarczej”.

Analiza powyższa jest fałszywa, słyca cały proces rozwoju gospodarki i kierowania nią, a przez to ukrywa prawdziwe mechanizmy sprawcze. Nieprawdą jest, że gospodarka PRL (a także innych krajów realnego socjalizmu) rozwija się żywiłowo. Oczywiście występują błędy, marnotrawstwo i nagłe zmiany kierunków działania w poszczególnych dziedzinach, co może niekiedy sprawiać wrażenie procesu żywiłowego i przypadkowego. Ale wszystkie te zjawiska występują na marginesie głównego kierunku rozwojowego gospodarki, który polega na wzroście przemysłu ciężkiego, a głównie hutnictwa i przemysłu maszynowego, jako bazy dla przemysłu zbrojeniowego. Ogólnie określa się to w ten sposób, że dział produkcji środków produkcji rośnie szybciej, niż dział produkcji przedmiotów konsumpcji. Zasada ta jest przestrzegana we wszystkich dziedzinach. Odstępstwa od niej są tylko krótkotrwałymi, taktycznymi ustępstwami, wymuszonymi przez chwilowe zrywy ludności, po których gospodarka wraca nieuchronnie do poprzedniego nurtu. Na taki rozwój gospodarki PRL wskazują wszystkie wskaźniki gospodarcze, a błędy i marnotrawstwo są tylko nieuniknionymi kosztami realizacji linii generalnej. Czy wobec tego można mówić o żywiłowości?

Ludzie, którzy biorą udział w tym procesie tworzą grupy związane wspólnym interesem, ale ich siła jest zbyt mała na spowodowanie czegoś więcej aniżeli incydentalne wahnięcia głównego nurtu rozwojowego. Owe „grupy nacisku” działają na marginesie głównego kierunku i pragną urwać coś dla siebie, ale w sumie powodują nieznaczne dewiacje, bez znaczenia dla głównej linii rozwoju. Kto widzi w „grupach nacisku” i biurokracji główną siłę sprawczą potwornego mechanizmu polityki i gospodarki realno-socjalistycznej, ten odwraca uwagę od istoty rzeczy i łączy się, że jeżeli uda się zrationalizować i opanować owe biurokratyczne i inne grupy nacisku, to gospodarka i polityka kraju zmienią kierunek, zaczną służyć człowiekowi, poddane zostaną procesom demokracji. Nic podobnego. Przyczyna leży głębiej, w samej istocie komunizmu, która polega na „historycznym zadaniu” opanowania świata i poddaniu całej ludzkości totalitarnej niewoli. Tak trzeba to widzieć i taką prawdę trzeba przekazywać w opracowaniach „Solidarności”.

Na tym nie kończą się wady omawianego opracowania. Istotnym jego mankamentem jest fakt, iż poprzestaje na opisie i (spłyconej na ogół) diagnozie obecnej sytuacji gospodarczej PRL, natomiast nie przedstawia żadnej usystematyzowanej prognozy rozwoju gospodarki. Takie prognozy, choć związane z pewnym ryzykiem, zwiększyłyby niewątpliwie walory opracowania.

Drugim, jeszcze większym niedostatkiem tekstu jest brak programu, i to zarówno programu wyprowadzenia gospodarki z kryzysu (a więc programu dla przyszłego, demokratycznego rządu), jak i programu dla „Solidarności” — dotyczącego obrony warunków życia ludzi pracy wobec pogłębiania się kryzysu i prób przetrwania na ludzi dalszych, rosnących kosztów tej sytuacji. Brak

takiego programu sprawia, że kończymy czytać tekst tego studium z uczuciem bezradności. Opracowanie „Gospodarka w kryzysie” nie mobilizuje ludzi, lecz rozbraja, usiłując ich przekonać, że na kryzys pod rządami komunistów nie ma żadnej rady. Skoro „nie istnieje żadna rozsądna alternatywa”, można mu się tylko biernie poddać. Z kart tego długiego opracowania stale wyziera serwilizm lewicowych klerków wobec „socjalistycznej władzy” i symetryczne odbicie tego serwilizmu — zdrada interesów ludzi pracy.

W tej sytuacji zalety fachowe tekstu, które podkreśliłoby na wstępie, stają się szkodliwe, gdyż zwiększają jego siłę oddziaływania, dezorientują czytelnika i prowadzą do kapitulancja.

W przedmowie do całego raportu Wałęsa buńczucznie zapowiada, że „jeżeli będzie potrzeba — to pomożemy im zrozumieć” (że „Solidarność” nie pójdzie na kolanach do porozumienia). Niestety z takim tekstem, jak „Gospodarka w kryzysie”, nikogo nie zmusimy do zrozumienia, gdyż sami nie będziemy rozumieć o co i jak powinniśmy walczyć.

RECENZENT

Warszawa, styczeń 1986 r.

Program Oświecenia Narodowego (II)

Mój artykuł „Program Oświecenia Narodowego”, zamieszczony w październikowej *Kulturze* z ub. roku (nr 10/457), wzbudził nie spodziewanie gwałtowną reakcję: w jednym z najlepszych podziemnych czasopism centralnych — w *KOS*-ie, jeden z najlepszych publicystów drugiego obiegu: Dawid Warszawski (nr 85 z 8 grudnia 1985 — a więc jak na drugi obieg niezwykle szybko) przypuścił szturm. Trzeba przyznać, że Warszawskiemu udało się tytuł: „PON się na naród obraził” — *penny for your thought!* Niestety poza tytułem zawartość o wiele słabsza. Dawid ujął się gwałtownie za narodem, który ponoć został obrażony (czy też stał się przedmiotem obrażenia się — PONU? Hm — dziwne). Dyskusowanie na poziomie obraźliwości nie ma sensu, bowiem chyba słuszną jest zasada, że obrażają się tylko kuchty. Oburzyło go też skrótove sformułowanie o twórcach ideologii komunistycznej. Można być pewnym, że Dawid Warszawski, jako człek uczony, doskonale zna wszystkich współtwórców i współfilozofów tej „jedynie naukowej metody”, że przewyższa w tym względzie ludzi w marksizmie nieuczonych. Ale jest jeszcze jeden prze-

pis życiowy obok tego o obrażaniu się: mądrej głowie dość dwie słowie. A co do honoru Polaków, to Dawid powinien zmienić imię na Pepi i razem z tym honorem skoczyć do jakiejś gustownej rzeczulki, na tyle wszelako płytkiej by się sam nie utopił.

Odłożyć więc wypadnie na bok polemikę, zwłaszcza że w tym konkretnym przypadku Warszawski parokrotnie sam sobie zaprzeczył, niechcący poparł tezy zwalczanego przez siebie artykułu i nie wniósł do sprawy — poza deklaratywnością mało konstruktywną — niczego nowego. Ale nawet i to trochę, co poza deklarację i deklamację wyszło, jest o tyle cenne, że może stanowić zarzewie przemyśleń. Właściwie byłoby rzeczą ważną, aby — właśnie w ramach PON — odbudować w społeczeństwie umiejętność polemiki, dokumentnie unicestwioną marksistowsko-leninowską szkołą nowomowy, która — chcąc nie chcąc — przenika do świadomości ludzi daleko stojących (lub odeszłych) od tej „ideologii”. Przede wszystkim należałoby z tej nauki wykluczyć zasadę polemiki *ad personam*, to znaczy zakładającej, że oponent jest durniem i ma jeszcze do tego złą wolę.

Raz jeszcze wypadnie postawić pytanie: jaki jest naród polski tym razem AD 1986? Otóż zakładając, że jest pewną całością, co wszelako nie jest wcale aksjomatem udowodnionym, wypadnie obstawać przy jego może nawet nie rozdwojeniu, ale rozdrobieniu. Z jednej strony są ludzie zdeterminowani, którzy postanowili nie poddawać się presji i opresji, którzy postanowili ryzykować, a nie ustępować. Frekwencja wyborcza, jakkolwiek byśmy ją oceniali, z punktu widzenia obliczeń „Solidarności”, czy na podstawie oficjalnych nawet statystyk, jest wyraźną wskazówką, że jednak bardzo znaczna część społeczeństwa jasno i wyraźnie wypowiedziała swoje „nie”. A należy pamiętać i o tym, że listy wyborcze były zarazem listami proskrypcyjnymi. To tak jakby kazano Polakom odpowiedzieć jawnie i indywidualnie, czy są za reżimem czy nie, z pełną odpowiedzialnością za taką wypowiedź. I kilka milionów, nie wahając się ryzykować późniejszych ewentualnych szykan, wypowiedziało dobitnie swoje „NIE”. Proszę to przeanalizować na chłodno, bowiem co innego manifestacja, gdzie rusza spontaniczny i w większości anonimowy tłum, a co innego ta próba odwagi cywilnej. Dlatego słuszne wydaje się określenie znacznej części społeczeństwa tym patetycznym i wyswiechtanym określeniem: bohaterzy.

Ale czy z samych bohaterów składa się naród Polaków AD 1985/1986? Z drugiej strony barykady mamy tych, którzy poszli na współpracę bezwiedną. To też nie są małe cyfry, jeśli tu wliczyć te dwa czy nawet więcej niż dwa miliony Parteigenosów. A przecież do tego grona dołączyć będzie trzeba również członków stronnictw „sprzymierzonych”, tych *sui generis Volksdeutsch*ów ustroju, ponadto „katolików funkcyjnych” i całą nie-

małą gromadę kolaborantów bezpartyjnych, tego najgorszego, bowiem tchórzliwego lokajstwa. Wreszcie i o tym nie należy zapominać, że w służbach specjalnych, zwłaszcza w ZOMO, a także w wojsku i to nawet w kadrcze zawodowej nie wszyscy są partyjni. A przecież owe służby specjalne to pierwsza pałka reżimu, a drugą jest wojsko — w przeważającej mierze złożone ze zwykłych poborowych, ale jednocześnie z żołnierzy, którymi kieruje najpierw rozkaz, a dopiero później samodzielna refleksja.

Zas pomiędzy opozycją a kolaboracją mieści się część najliczniejsza, owych kilkanaście milionów ludzi zastraszonej, albo od zawsze obojętnej na sprawy polityczne, nastawionych po prostu na przeżycie. Czy należy ową *silent majority* potępiać? Wydaje się to niesłuszne i niemoralne. Nie można wymagać od społeczeństwa, by wydawało ze siebie tylko bohaterów, albo tylko ową „swołocz”, o którą tak się Dawid Warszawski w imieniu narodu obraził. Ale on zapomniał jakby o tej ogromnej masie bezwolnej i szarej, nieaktywnej, przeczekującej, dla której należy mieć po części współczucie, a po części wyrozumienie.

Jest więc sprawa podstawowa: nie można o narodzie mówić globalnie, nie należy zachłystywać się wielkimi słowami, podhacowywać optymizmem (ale i nie truć nadmiarem pesymizmu). Nie należy mówić o narodzie jako o *sacrum*, bowiem jest zbiorem wszelakim i nikt nie ma prawa mówić w jego imieniu (bo nikt przezeń nie został wybrany czy desygnowany do tej roli), ani też występować w pancerzu obrońcy niewinności. Naród, jak jednostki które się nań składają, pełen jest zalet i wad, cnót i brudu, siły i słabości. Nie jest wszelako tabu i ani go obrażać się nie da, ani on sam obrazić się nie może. Pomimo bowiem takiej zróżnicowanej oceny należy przyjąć, że wyższy jest ponad doraźne ekspertyzy.

Ekspertyzy wszelako są ogromnie potrzebne. Naród to jeszcze coś takiego, co jest w stałym rozwoju, naród nigdy się nie zatrzymuje, być może czasem zawraca lub cofa się, ale nie stoi nigdy w miejscu. Naród, podobnie jak składające się nań jednostki, winien stale poddawać się badaniom lekarskim. Te badania przeprowadzają ci, którzy należą do elity, którzy są albo wyspecjalizowani w naukach społecznych, albo prezentują pewne programy światopoglądowe, albo — jak kler — winni dbać o „duszę narodu”. Spora część narodu chodzi do konfesjonałów. Dlaczego nie miałyby iść do takichże konfesjonałów świeckich, poddawać się świeckiemu duszpasterstwu i duchowemu opukiwaniu przez specjalistów. Jeżeli ktokolwiek zakłada, że zbiorowisko jest czymś stabilnym, a jeszcze — nie daj Boże — że jego funkcjonowanie i reakcje wyznaczone są przez określone i dające się naukowo wymierzyć uwarunkowania, to — jak powiada pewien nabożny partyjniak — „*Amen Deus*”.

Siła motoryczna zbiorowości, składającej się na naród, czy też — nieco szerzej i wężej zarazem — na społeczeństwo, to właśnie podstawowy element wegetatywny. Historia poucza (stara przemądrzańska), że zbiorowości stabilizujące się i petryfikujące są jakby z góry skazane na zagładę, wytracają bowiem wrodzoną siłę oporu, która w bytowaniu ludzkim jest niezbędna. To nie znaczy, aby niezbędnym elementem ludzkiej koegzystencji była agresja w postaci wojen. Są one trudne do uniknięcia, ale jednak, obok pożarów sztucznie podsycanych i organizowanych, obok wojennych fajerwerków inicjatyw „prywatnych”, mamy w ostatnich dziesięcioleciach przykłady powstrzymywania się od rozwiązań agresywno-wojennych.

Siła motoryczna zbiorowości wyraża się przede wszystkim we wszelkiej inicjatywności. W momencie kiedy zaczyna się tylko konsumpcja, możemy być przekonani o zamieraniu, o wytracaniu energii narodotwórczej. Dlatego uważać należałoby bardziej na objawy konsumpcjonizmu w Polsce niż wyłącznie na objawy złe ukierunkowanej inicjatywności. Dlatego, by wpływać na kierunki inicjatywności społecznej, niezbędne zdaje się tworzenie Programu Oświecenia Narodowego, ale potrzeba takiego Programu zakłada również i tę część społeczeństwa, która zaczyna się petryfikować w minimalnych warunkach egzystencjalnych, w malutkim konformizmie, w przewlekłym schorzeniu frustracji i beznadziei.

Oczywiście do realizowania Programu Oświecenia Narodowego są powołane w naturalny sposób wyższe uczelnie, wspierające się na dobrze postawionych szkołach podstawowych i średnich. Niestety w realnym socjalizmie szkolnictwo postawione jest „od zawsze” na bardzo niskim poziomie. Wynika to z równoległości dwu czynników: z oglupiania szkolnictwa programowym zakłamaniem i fałszerstwem, z drugiej z wrodzonego skąpstwa reżimów, które nie lubią wydawać pieniędzy ani na oświatę, ani na kulturę, a jeśli już wydają, to wymagają w zamian posłuszeństwa i propagandy. Zawód nauczyciela w PRL-u został już dawno zożydzony moralnie i spauperyzowany poborami należącymi z reguły do najniższych w skali krajowej. To aż dziw, że i tak mamy wciąż jeszcze tylu wspaniałych nauczycieli „z powołania”, bowiem inaczej jak tylko pewnym poczuciem społecznego postępowania nie da się wyjaśnić tego pedagogicznego judymostwa.

Niemniej, pomimo jednostek, młodzież wychodzi „w życie” — to znaczy do wyższych uczelni i do zawodów — przygotowana w większości bardzo źle. Elementem dodatkowym jest szczególnie zamieranie wychowania i kształcenia domowego. W minionych pokoleniach dom był ważnym elementem uzupełniania wiedzy nabytej i czynnikiem konstruującym w młodych

umysłach postawy światopoglądowe. Niestety w tej bardzo katolickiej Polsce jest ogromna wprost procentowo liczba małżeństw rozbitych, co już jest przeszkodą w harmonijnym budowaniu młodszej osobowości, a ponadto znaczna część rodzin jest zaharowana i — powiedzmy szczerze — sama też nie bardzo przygotowana do tego edukacyjno-rodzicielskiego obowiązku.

To nie oznacza wcale, że młodzież jest prymitywna, zbarbaryzowana, że jest nosicielem wszelakich złych cech dziedzicznych i nabytych. Ta młodzież jest wręcz bardzo dobra. W porównaniu z młodzieżą innych krajów, w tym również demokratycznych, jest chyba nawet lepsza w sensie chłonności i uformowania pewnych podstawowych ideałów. Niechże zacierzawionych starszków pozory nie mylą. Wiadomo: jest rzeczą denerwującą programowa inność tej młodzieży, ale czy my sami nie staraliśmy się też być inni, czyli w jakimś sensie lepsi? Że lepszość nie zwykle często przybiera kostium infantylny, to też należy do porządku rzeczy. Ale przy wszystkich pozach, manierycznościach, a nawet manifestowanych niechęciach do „wapniaków”, jest to młodzież, którą warto się zajmować i której warto poświęcić cokolwiek z siebie.

Można było zaobserwować ową niezwykle szybką przyswajalność tego, czego tej młodzieży odmówiono w domu i szkole, w okresach nasileń i przyspieszeń. Można się było radować przysłuchując się dyskusjom na wiecach, w czasie strajków, na zebraniach poświęconych różnorodnej tematyce, dotychczas zakazanej lub zakłamaniej. Od dadaistycznych, infantylnych początków, proces mentalnego dojrzewania dokonywał się tak szybko, że niemal dostrzegalnie (czy raczej: dosłyszalnie). Ta młodzież może się wiele nauczyć, ponieważ — pomimo wszelkich utrudnień i zożydzień — jeszcze ciągle po prostu chce się uczyć.

Ale znów uwaga otrzeźwiająca (i proszę Dawida raczyć pamiętać: nieobraźliwa, a tylko analityczna): uczyć można się bardzo rozmaitych rzeczy. Cynizmu, karierowiczostwa, lokajskiego wygodnictwa — też. Proszę pamiętać, że uniwersytety, a nie tylko szkoły specjalistyczne (różne partyjne itd.), dostarczają służbom specjalnym, cenzurze, nomenklaturze itd. kadr doskonale przysposobionych. Ta młodzież stoi bowiem wobec straszliwego dylematu: albo urządzić się jakoś w życiu, albo być aż do starości ofiarą wegetacyjności, borykanctwa, soc-pauperyzacji. Jakże trudny jest tu wybór, zwłaszcza gdy wielu młodych myśli, że stronę angażującą przechytrzy, że złapie mieszkanie, trochę forsy i wycofa się z interesu. Naiwni: nie wiedzą, że ten interes jest dobrze zabezpieczony, że się dobrze obwarowuje przed ewentualnymi próbami „dezercji”. BOWIEM kiedy się u „nich” podejmuje służbę, to jest to już służba szczególna i nie bierze się faworów

za dobrą minę, ale za realne usługi, egzekwowane w miarę wpływu czasu, to znaczy w miarę adaptacji jednostki lub jej ubezwłasnowolnienia, w coraz szerszym zakresie.

Hodowlami narybku do SB i czerwonej palestry są wydziały prawne. Te mają — i słusznie — złe imię na uniwersytetach. Ludzie mają jeszcze świeżo w pamięci rozmaite afery, rozmaitych przerażających kacyków, którzy stamtąd wyszli lub tam wrócili po odegraniu swej herodowskiej roli w PRL-owskiej szopce. Nie warto ich wymieniać po nazwisku, bo jeszcze są pamiętane, a im szybciej ulegną zapomnieniu tym lepiej wprawdzie dla nich, ale przede wszystkim dla nas — nie warto pamiętać brudu i śmiecia, choć trzeba go umieć widzieć i dziś i tu — wokół siebie. Językoznawstwo (zwłaszcza polonistyka), a także historia dostarcza partyjnych „intelektualistów” — to z tego narybku zbudowany jest gmach cenzury, dziennikarstwa słuźebnego, a także stąd wywodzą się kandydaci na przyszłych działaczy we wszelakich zakresach działania. Oczywiście są i mniejsze katedry czy instytuty (różne religioznawstwa czy socjologie) też przysparzające „kadry”. Stąd taki nacisk zwłaszcza na kierunki humanistyczne na obecnym etapie realizacji ustawy o szkolnictwie wyższym i owa haniebna czystka, której dokonano na przełomie listopada i grudnia pośród rektorów i dziekanów wielu uczelni.

Wbrew bowiem zawyżonej ocenie protestów w stosunku do tej ustawy, przeszła ona jak wiadomo gładko i już tylko jeden Osmańczyk wypowiedział słowa skierowane do sumień, których w owym gremium zabrakło.

Dwa słowa o Osmańczyku. Należał on od niemal samego początku do tych bezpartyjnych, którzy współpracowali z rządem, z kolejnymi ekipami, by późno, ale nie za późno nagle dojść do opamiętania i opamiętanie to w sposób piękny zmanifestować. Nie należy Osmańczykowi wypominać owej współpracy (bo nie kolaboracji), ponieważ starszy pan nigdy godności swej nie zwiknął. I zechce wybaczyć, że stanowi tu temat analizy, ale jest interesującym przykładem tej elity, która żyła jakby poza społeczeństwem, to znaczy w świecie izolowanym, w złudzeniu wycinka społecznego, który wytworzyła na własny użytek najwyższa nomenklatura i „elita” władzy. Kisielewsko-stalińskie akwarium, przez którego przezroczyste ściany niczego doprawdy nie widać, a już w żadnym wypadku nie słychać. Okrągłe, rybie paszczki mówców, którzy w „sejmie” recytują zadane wypracowania!

Ale jest to *casus* jednostkowy i — mimo owej okresowej izolacji — godny szacunku. Opamiętanie, nawrócenie — kiedykolwiek by nie przychodziło — jest zawsze powrotem do prawdy i dziwić się wypadnie tym chrześcijańskim jakoby niezłomnym, którzy innym wypominają ich nie zawsze ładną przeszłość.

A tymczasem należy mówić o terażniejszości i o tym, że w samym środowisku profesorskim słyszało się opinie, że ta ustawa to pozorne zagrożenie, że straszniej wygląda na papierze niż będzie wyglądać w praktyce, że poprzez różne malutkie serwytiki i manewry da się uratować autonomię. Były to zawstydzające przykłady uspokajania własnych sumień, rozgrzeszania własnego tchórzostwa. Nie, przecież nie będzie, nie może być tak źle, jak to malują publicyści drugiego obiegu. A tymczasem jest. Pijacek i dywersant (o plugawej przeszłości) — Nawrocki skutecznie demontuje IBL, Miśkiewicz usłużnie wymiata uniwersytety, a już szczególnie poznański, czyli niegdyś swój własny, bo to z grodu Lecha wyszedł, eheu, ten nieznany uczony.

Gorszymi od tych uspokajaczy są na uniwersytetach już tylko partyjni hunwejbini oraz bezpartyjni kolaboranci, którzy poszli w posły, publicznie namawiali do udziału w wyborach, motywując to kazuypierdialnymi argumentami, czy zanoszący swe namaszczone twarzyczki przed kamery TV. To nie mentorstwo, prośbę Dawida-Pepiego, to nie ubliżanie, to próba oceny sytuacji. Wiadomo bowiem do jakiej roli zredukowano uniwersytety sowieckie i innych państw satelitarnych. Mają one produkować „kadry”, to znaczy — magistrów „podaj-przynies”, doktorów nomenklatury, docentów egzekutywnych i telewizyjnych, profesorów komitetowych i rektorów Biura Politycznego. Nie ma na tych uczelniach miejsca dla inaczej myślących. Uniformizm jest podstawowym kanonem uczestnictwa, a uczestnictwo jest zarazem rękopięcią kariery: większej czy mniejszej, zależeć to będzie od szczególnych uzdolnień, sprytu i cynizmu. To dlatego w PRL naprodukowano w ostatnich dobrych latach tylu bezrobotnych absolwentów, ponieważ uniwersytety wymknęły się na jakiś czas spod kontroli reżimowej. Pohulały sobie, a za to zapłacić musieli młodzi, bowiem partia nie ma do nich zaufania i o karierze mowy być nie może, a nawet o godziwej pracy.

Można by zacząć rozważać problem: czy więc warto było dążyć do autonomizacji uniwersytetów, do ich wyzwolenia spod jarzma „ideowego”, skoro za te mrzonki, tak szybko zdławione, płacą dziś wychowankowie, których starsi wpuścili „w maliny”, naszeptując im niezdrowych idei? Oczywiście, że za odrobinę choćby wolności płacić trzeba w ustroju totalitarnym słono, ale chyba ta cena nie była aż tak wysoka. Jeśli społeczeństwo jest dojrzałe (a wszystko wskazuje, że w swym najzdrowszym rdzeniu jest zdrowe), to nie da tym „ludziom bezdomnym” PRL-u zginać wśród wszechobjmującego marazmu.

Powróćmy jednak do sowieckiego modelu uniwersyteckiego, o ile uniwersytetem można w ogóle nazwać te w sprzeczności z duchem uniwersalizmu organizowane instytucje produkcyjne.

Warto zacytować tu wstępny fragment komunikatu PAP o czystkach grudniowych:

„Oceny wyników pracy kadr kierowniczych różnych dziedzin są coraz szerzej stosowanym elementem doskonalenia pracy aparatu państwowego i społecznego. Dotyczy to również obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, w którym zgodnie z ustawą o szkolnictwie wyższym wszyscy pracownicy naukowo-dydaktyczni podlegają okresowym ocenom obejmującym wyniki pracy naukowej, dydaktycznej, wychowawczej i organizacyjnej oraz ich postawę obywatelską”.

Z tej nowomowy dają się wyłuskać następujące materiały do przemyśleń. Zasadą realnego socjalizmu jest działalność państwa i społeczna, przy czym jedna i druga jest totalnie sterowana. Działalność państwowa oznacza bowiem funkcjonowanie struktur administracyjnych, zarządzających, gospodarczych, produkcyjnych (w najszerszym rozumieniu słowa), które dublowane są z reguły przez „instancje partyjne” czyli ściśle kontrolowane i maksymalnie w efekcie zbiurokratyzowane. Działalność społeczna oznacza wszelkie inne zakresy działalności, którym tylko przypięto etykietkę społeczności, by pokryć fakt, że nie są społeczne, bowiem nie działają na rzecz społeczeństwa, jak też nie pochodzą ze społecznego wyboru tylko z nominacji. To właśnie odnosi się podwójnie do „obszaru nauki i szkolnictwa wyższego” (znanymi podział: nauka osobno, a szkolnictwo osobno, zgadza się — nie przekazywanie wiedzy ale produkcja kandydatów). Uniwersytety są bowiem instytucjami dotowanymi przez państwo, ale teoretycznie mają służyć społeczeństwu. Teraz już tylko o to chodzi, aby tę służebność maksymalnie zneutralizować, mają bowiem służyć przede wszystkim państwu, a nie społeczeństwu. Dlatego w przeglądzie problemów i zagadnień poddawanych kontroli (czyjej? Społecznej? A skądże — partyjnej!) na miejsce ostatnie (czyli *de facto* najważniejsze, bowiem ma charakter pointy) wysunięto „postawę obywatelską”. Właściwie nie powinno się tłumaczyć spraw oczywistych, ale skądinąd wiadomo, jak bardzo nieświadomi mechanizmów totalitarnych i „finezji” nowomowy są czytelnicy rozbisurmanieni życiem w demokracji. To dla nich więc komentarz. „Postawa obywatelska” oznacza postawę godną obywatela czyli podmiotu i przedmiotu znajdującego się w posiadaniu państwa. Określenie to nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek sensem społecznym. Zresztą „obywatel” we współczesnej Polsce, to albo bezpartyjny dla partyjnego funkcjonariusza, albo pojęcie abstrakcyjne. Każdy z normalnych Polaków nie tylko nie uważa się za obywatela, ale co więcej gotów jest obrazić się na tego, kto by go takim przezwiskiem nazwał.

Jest nadal, jak za praszczurów I i II Rzeczypospolitej „panem”. Ergo postawa obywatelska, to postawa zgodności z wytycznymi partyjno-rządowymi, z modelem realizowanego obecnie ustroju stalinowsko-bierutowsko-jaruzelskiego. Oznacza to w rzeczywistości — pełne podporządkowanie się władzy, ślepe posłuszeństwo, aż do realizacji czynów antyspołecznych włącznie.

Ostatnia czystka przyniosła „mocne uderzenie”: z 15 uczelni usunięto około 70 osób, w tym 6 rektorów. A to dopiero początek. Można przewidzieć, że obecnie ma charakter zastraszający, ale to nie znaczy, by się do tego ograniczono. Przede wszystkim uderzenie nie mogło być jednak zbyt mocne, bowiem mogłoby wywołać zbyt ostre protesty, których władze jednak się boją (chodzi o protesty czynne, a nie tylko o podpisy — te się ostatnio znacznie zdewaluowały). Akcja represyjna nie może ustać, bowiem — po pierwsze: daleko jest wciąż jeszcze do pełnego zastraszenia tych naukowców, którzy łękli, a czasem nawet zachłysłni się wolnością błyskawicznej epoki „Solidarności”, a po drugie: ponieważ nieposkromione i niespacyfikowane uczelnie trzeba będzie długo jeszcze trzymać w szachu represyjnym. Wszelako założenia są przeciwstawne: partii się zdaje, że stosując elastyczne, a nie tylko brutalne represje, doprowadzi w końcu do tego pożądanego stopnia pacyfikacji, w której będzie się czuła bezpieczna. Opozycji się zdaje, że nic jej nie załamię, że będzie umiała odparować każdy cios. Która ze stron ma rację? Sądzę, że żadna: przepychanka może trwać bardzo długo, a ustabilizowana forma zarządzania jakoś w warunkach polskich nigdy nie trwa zbyt długo. Ponieważ zaś opozycja odrzuciła „jedyną naukową metodę”, więc przewidzieć nie może tego nieobliczalnego fatora przemian ogólnej sytuacji politycznej.

Jedno wszelako jest pewne: władze PRL przeprowadzają rozmaite akcje pacyfikacyjne nie dlatego, że im je przeprowadzać kazał sąsiad ze Wschodu. To jedna z pomyłek w opozycyjnych analizach sytuacji. Ci władcy pacyfikują naród, bowiem sami chcą tego, bo jest to w ich przekonaniu jedyny nie tyle *modus vivendi* co *modus regnandi*. Sąsiad może przynaglać, dopingować, ale taktyka jest planowana i realizowana na miejscu. Bo to nie patriotyzm, nie miłość do rodaków, do bliźnich powstrzymuje gwałtowność i brutalność, ale zwyczajny strach, aby nadmiernym dociśnięciem śruby nie sprowokować narodu. Jaruzelski by z pewnością, tak samo jak niegdyś Kadar, a później Husak, stalową bronią przejechał po Polakach, gdyby się ich nie bał. A jedyną właściwie różnicą między jego metodami, a metodami tych oberpolicmajstrów, to jego mentalność wojskowa. On chciał rozegrać przewrót wojskowo, uważał że swymi kohortami WP spacyfikuje Polaków i dopiero kiedy to mu się nie udało sięgnął po „pomocną dłoń” SB, ZOMO itd. przy czym postarał się o obsadzenie

kluczowych stanowisk i w tym resorcie swoimi, czyli „kiszczakowcami”. Nie miało to głębszego znaczenia — kadra wyższych szczebli wojskowych doskonale — jak się okazuje w praktyce — poddaje się symbiozie z esbecją. Toć to przecież rodzina.

Proszę też pamiętać, że ten naród, na barykady którego tak dzielnie wstąpił Dawid Warszawski z Marsylianką i Mazurkiem Dąbrowskiego na ustach, wykazał ogromną dojrzałość. Nie stworzył okazji do pacyfikacji brutalnej a masowej. Proszę sobie uświadomić, że od czasów egzekucji Targowiczan i nie licząc działań konspiracyjno-powstańczych nie wieszano u nas zdrajców, że od Poznania polało się niezwykle mało krwi ubeckiej czy esbeckiej, że pociekło jej kilka kropel w porównaniu z wcale obfitym upustem krwi „obywatelskiej”, przelanej zarówno w wyniku „zakłóceń porządku publicznego”, jak też, a może zwłaszcza, w wyniku skrytobójczej działalności jaruzelskich „batalionów śmierci”.

Władze PRL wcale nie musiały być skłaniane do pacyfikowania własnego społeczeństwa: one same o niczym innym nie marzyły, bowiem tylko pacyfikacja gwarantuje im obsiadanie stołków władzy. To jest walka o władzę, a nie o zasady. To jest walka jemioloży z drzewem, wirusa z organizmem, czy może — manichejsko — zła z dobrem. Bajki o „wielkim bracie”, który zmusza rodzimych partyjnych „liberałów” do naciskania na naród, należą do tych bajeczek wytwarzanych odgórnie na potrzeby politycznych kandydów opozycji. Nie sakralizujmy narodu, nie osądzajmy go, bowiem osądzić nie sposób wielości i różnorodności, ale analizujmy na chłodno wszelkie objawy, wszelkie symptomy. Trzeba wiedzieć w porę gdzie i dla kogo bije dzwon.

I żeby już zamknąć te dociekania nad rolą i losem wykształcenia i Oświecenia (z szacunku przez dużą literę!). Można, choć z niejakim wysiłkiem, zrozumieć opór przeciwko akcji oświeceniowej w społeczeństwie. Zawsze bowiem znajdują się ludzie, najlepszej nawet woli, którzy uważają oświecenie za element raczej szkodliwy niż korzystny w rządzeniu. A rządzenie społeczeństwem nie jest, niestety, wyłączną cechą czerwonego. Różowi, biali i zieloni też chcieliby porządzić, przekonani o swej wszechwiedzy i nieomylności. Dlatego niezbędne, tym bardziej niezbędne jest przygotowywanie i ostrzeganie społeczeństwa poprzez jego stałe edukowanie, by wystrzegało się proroków i dogmatyków, by samo się przygotowywało do stanowienia o sobie. Naród bowiem musi się bronić i musi wyładowywać nagromadzoną energię. Nie wolno mu się poddawać ziemniaczanym snom o małej stabilizacji, monopolowym marzeniom o drobnych sukcesach i fuchach. Nie żeby naród bez przerwy tylko manifestował, deklarował, maszerował itd. On ma sobie spokojnie żyć, ale zarazem żyć czujnie, by wówczas, gdy powstaje zagrożenie, móc mu skutecznie prze-

ciwdziałać. Nic na to nie można poradzić, że nasz naród od półwiecza, a w gruncie rzeczy od znacznie dawniej musi mieć się stale na baczność, ponieważ zagrożenie jest stałe.

Więc jednak Program Oświecenia Narodowego. Bowiem trzeba dzielić się własnymi doświadczeniami (dzielić, a nie udzielać, panie Dawidzie!) i starać przewidzieć doświadczenia przyszłości. Po prostu nie ma innego wyjścia, jeśli nie chcemy pozostać gdzieś w połowie drogi pomiędzy stygnącym zapałem i wzbierającą frustracją. Czy w takiej sytuacji mamy się spierać o słowa, o imiona marzeń, o znaki oporu?

Józef SZRETT

Wokół dwu procesów

NOTATKI Z POLSKI — LUTY 1986

Luty musiał być niezbyt przyjemnym miesiącem dla generała Jaruzelskiego, przyszło mu bowiem podejmować ważne decyzje w sytuacji, którą zwykło się nazywać „między młotem a kowadłem”. Proces Lecha Wałęsy oraz rewizja wyroku Frasnyniuka, Lisa i Michnika interesowały przecież nie tylko polską opinię publiczną, lecz również Kreml i Zachód. Nie wiemy, jakie naciski wywierała Moskwa, która nie zwykła ujawniać, czego domaga się od swych wasali, możemy jednak przyjąć bez specjalnego ryzyka, że przed Zjazdem musiała czegoś żądać. Zachód ze swej strony jasno dawał do zrozumienia — w prasie, przez związki zawodowe i kanałami dyplomatycznymi — jakie postępowanie polskich władz spotkałoby się z aprobatą. I z tymi opiniami muszą się one liczyć, jeśli zależy im na dolarowych pożyczkach.

Pod wpływem tak sprzecznych presji władza dała popis prawdziwej ekwilibrystyki, w swych szczegółach równie zajmującej co bezsensownej. Gdy Lech Wałęsa nagle został z urlopu wezwany do gdańskiego sądu, wciąż jeszcze nie wiadomo było, czym to się skończy. Ale na rozprawie 11 lutego, nim w ogóle doszło do odczytania aktu oskarżenia, padła propozycja polubownego rozwiązania. Wałęsa oświadczył, że nie zamierzał nikogo obrazić, po czym sąd ogłosił godzinną przerwę, by następnie zapytać go, czy gotów jest dać satysfakcję członkom komisji wyborczych. Gdy ten ponowił tylko swoje oświadczenie, znów zarządzono przerwę, tym razem czterogodzinną. W kraju, gdzie nikt nie wierzy w niezawisłość sądów, przerwa w rozprawie daje wiele do myślenia. Widać do ostatniej chwili nie było decyzji. W końcu stanęło na tym, że prokurator uznał oświadczenie Wałęsy za wystarczające i — nie pytając zresztą o zdanie oskarżycieli prywatnych — wycofał skargę.

Pozostaje pytanie, czy przestraszone się międzynarodowego rozgłosu wokół sprawy, czy też połapano się w porę, że na sali sądowej musiałyby ujawnić się różne wstydlive dane z wyborów. Dość na tym, że zrezygnowano z przewodniczącego NSZZ „Solidarności” w roli oskarżonego.

Takie zakończenie procesu Wałęsy mogło budzić nadzieje, że władza zechce pokazać swe „ludzkie oblicze” również w sprawie Frasyniuka, Lisa i Michnika. Tym bardziej, że niemal od momentu ich skazania dawała do zrozumienia, że wyrok nie jest ostateczny i można spodziewać się jego złagodzenia w II instancji. *Expresis verbis* powiedział to Olszowski podczas swego pobytu w Rzymie latem ubiegłego roku; można również przypuszczać, że to samo miał na myśli Willy Brandt mówiąc na zakończenie swej wizyty w Polsce przedstawicielom Klubu Inteligencji Katolickiej, że jej efekty widoczne będą niebawem — żeby pozostać tylko na tych dwóch przykładach.

Tymczasem Sąd Najwyższy utrzymał wyrok Frasyniuka, zaś Michnikowi i Lisowi zdjął zaledwie po pół roku. Nikt chyba ani za granicą, ani tym bardziej w Polsce nie uznał tego za ustępstwo. Można natomiast się domyślać, że generał Jaruzelski żywił jednak nadzieje, iż łagodniejsze potraktowanie Michnika i Lisa zostanie odebrane na Zachodzie jako gest dobrej woli, zaś surowość wobec Frasyniuka — spodoba się w Moskwie.

Niemniej wahania musiały trwać do ostatniej chwili. Jeśli założyć, że atmosfera na sali rozpraw o czymś świadczy, to po pierwszym dniu nastroje były optymistyczne: sędzia ani razu nie przerwał obrońcom, mimo że dziewięciu adwokatów kolejno odsądzało od czci i wiary Zieniuka i mówiło o oskarżonych w słowach pełnych podziwu i szacunku. Drugi dzień przyniósł jednak radykalną zmianę: prokuratorzy za milczącą aprobatą sądu przypuścili tak ostry atak na adwokatów, że w kularach ktoś powiedział: „Po wysłuchaniu tego dziwię się, że nie zwolniono oskarżonych, by zamknąć ich obrońców”. Wreszcie, gdy 19 lutego przyszło do ogłoszenia wyroku, okazało się, że jeden z sędziów jest niedysponowany i zarządono dwudniową przerwę. Powszechnie uznano to za chorobę dyplomatyczną, a wieść gminna łączyła przesunięcie rozprawy z oczekiwaniem na powrót premiera Messnera z Moskwy.

Sam przewod sądowy charakteryzował się tym, że argumenty obrony padały w kompletną próżnię, prokuratorzy bagatelizowali wszystkie uchybienia I instancji podnoszone przez adwokatów, zaś Sąd Najwyższy w swym uzasadnieniu usankcjonował nowy model procesu politycznego, w którym skazuje się bez dowodów, oskarżeni nie mają możliwości obrony, a sędziowie nie ukrywają stronniczości.

Adwokaci bronili nie tylko swoich klientów, ale — jak mówili w mowach obrończych — również praworządności i godności sądów. Dawali do zrozumienia, że ten proces jest narzędziem nacisku politycznego i służy doraźnym, koniunkturalnym celom aktualnej ekipy, porównywali go do procesów z czasów stalinowskich, które były hańbą polskiego sądownictwa. Dlatego żaden

z nich nie prosił o mniejszy wymiar kary, lecz wszyscy żądali skierowania sprawy do ponownego rozpatrzenia bądź przewinienia oskarżonych. Ich zdaniem gdański sąd pod przewodnictwem Zieniuka w rażący sposób naruszył niemal wszystkie obowiązujące reguły proceduralne i szereg reguł postępowania dowodowego. I tak:

— uznano za koronnego świadka funkcjonariusza SB, który zastaniając się tajemnicą służbową nie ujawnił przed sądem źródeł swych rewelacji, np. absurdałnego stwierdzenia, że Adam Michnik jest członkiem TKK;

— dopuszczono jako dowód spreparowaną taśmę z wypowiedziami Bogdana Lisa;

— permanentnie uchylano wyjaśnienia oskarżonych, gdy procedura procesowa w ogóle nie przewiduje takiej możliwości;

— uniemożliwiono oskarżonym kontakt z obrońcami w czasie rozprawy i dostęp do akt.

Wyliczanie wszystkich uchybień sądu I instancji zajęło adwokatowi parę godzin. Prokurator w swoim przemówieniu skwitował je tak: „Szeroki zakres zarzutów obrony świadczy o tym, że nie dysponowała ona dostatecznie silnym argumentem mogącym podważyć wywody Sądu Wojewódzkiego”. W ogóle poziom argumentacji prokuratury był pożałowania godny. Dla przykładu, jeden z oskarżycieli mówił: „Adam Michnik aresztowany został 13 lutego, a już 7 lutego dał pełnomocnictwo adwokatowi, co świadczy o tym, że zamierzał popełnić przestępstwo”; drugi wtórował mu: „Adamowi Michnikowi w końcu stycznia przedstawiono zarzut, a mimo to 13 lutego udał się na konspiracyjne spotkanie”. Obaj domagali się utrzymania wyroków w mocy. Sąd jednak zatwierdził tylko wyrok Frasyniuka — trzy i pół roku, zmniejszenie kary Michnikowi do dwa i pół roku, a Lisowi do dwu lat uzasadniając tym, że w I instancji niesłusznie uznano ich za recydywistów.

Szczególny niepokój budzą losy Frasyniuka. Od października 1982 przebywał na wolności zaledwie 4 miesiące, od odsiedzenia zostało mu jeszcze dwa i pół roku, a co gorsza wisi nad nim realna groźba odwieszenia dodatkowych czterech i pół lat poprzedniego wyroku, złagodzonego przez amnestię. We Wrocławiu po ogłoszeniu decyzji Sądu Najwyższego wszystkie regionalne struktury podziemne, po raz pierwszy zjednoczone we wspólnym działaniu wezwały do walki o uwolnienie przewodniczącego dolnośląskiej „Solidarności”.

Kiedy 19 lutego odłożono na 2 dni ogłoszenie wyroku w sprawie Frasyniuka, Lisa i Michnika, zdania co do aktualnej linii władzy były jeszcze podzielone. Ale gdy tego samego dnia wieczorem rozeszła się wiadomość, że aresztowano dwóch czołowych działaczy Ruchu „Wolność i Pokój”, Jacka Czaputowicza i Piotra Niemczyka, zostało to odczytane jako znak, że zwolennicy twardego kursu wzięli górę. Nim jeszcze okazało się, że są w tej

sprawie sankcje, nikt właściwie nie miał nadziei, że skończy się na 48 godzinach.

Na nakazie rewizji u Czaputowicza widniał artykuł 282 §1, czyli próba wywołania niepokoju, a u Niemczyka ponadto art. 271 §1 i 2, tj. rozpowszechnianie fałszywych informacji w kraju i za granicą, skąd niedawno wrócił. Zrezygnowano z tych zarzutów najprawdopodobniej w chwili, gdy okazało się, że sprawa stała się głośna na Zachodzie. Uznano chyba, że niezręcznie byłoby bronić wersji, iż działacze polskiego ruchu pokojowego zmierzali do wywołania niepokoju i że nawet Urban nie potrafiłby na konferencji prasowej zgrabnie wywinąć się z odpowiedzi na pytanie, dlaczego deklarowanie pacyfizmu w zachodnioeuropejskiej prasie czy radiu ma być powodem uwięzienia. Ostatecznie zdecydowano się więc na art. 278 kk, tj. przynależność do organizacji nielegalnej lub takiej, której odmówiono legalizacji (rzeczywiście krakowski WiP jeszcze wiosną 1985, tuż po powstaniu, próbował się zarejestrować i uzyskał odmowę władz administracyjnych) z zagrożeniem do 3 lat więzienia.

Przez blisko rok — od chwili powstania zaczątków polskiego ruchu pokojowego podczas marcowej głódówki w Leśnej Podkowie — władza zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała zagrożenia z tej strony. Być może uważała, że jest to ugrupowanie elitarne, bez zaplecza społecznego i szans na masowość. Zarazem niewątpliwie obawiała się reakcji pacyfistów na Zachodzie, którzy od samego początku z uwagą i życzliwością obserwowali działalność „WiP”. Dość na tym, że zdecydowano się na aresztowania tylko wówczas, gdy w grę wchodziło „naruszanie ustawy o obronności PRL”, tj. odmowa służby wojskowej lub złożenia przysięgi. Ostatni taki przypadek, to skazanie 11 marca na półtora roku więzienia Tomasza Wacko z Wrocławia, który odmówił przysięgania na wierność soюзom.

Natomiast decyzja o aresztowaniu 19 lutego czołowych działaczy „WiP” miała inny wymiar — była to decyzja polityczna, sygnał, że tolerancja się skończyła. Już od paru miesięcy obawiano się, że atakowanie tak newralgicznego dla władzy punktu jak wojsko spowoduje represję, choćby dla odstraszenia ewentualnych naśladowców. Tak więc uderzenie w „Wolność i Pokój” nie było zaskoczeniem. Łączono je też z przeprowadzonym nieco wcześniej atakiem na moskiewskich pacyfistów. Czyżby oznaczało to, że państwu komunistycznemu przestało zależeć na zachodnich ruchach pokojowych, które jeszcze do niedawna uważano za sojuszników w walce o nieinstalowanie Pershingów w Europie?



W sumie luty nie był też dobrym miesiącem i dla nas. Dość szybko bowiem okazało się, że ustępstwo w sprawie Wałęsy nie oznacza bynajmniej zmiany kursu, a świadczy jedynie o swego rodzaju nietykalności laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Proces Frasyniuka, Lisa i Michnika oraz aresztowanie „WiP”-owców pokazało, że dla nikogo poza Wałęsą nie udaje się wywalczyć takiego immunitetu.

APELE I KOMUNIKATY

APEL

Gdańsk, 11 stycznia 1986 r.

My, byli więźniowie polityczni i internowani, zwracamy się z apelem do społeczeństwa o moralne i materialne wsparcie niewinnie pozbawionych wolności i ich rodzin.

Od 4 lat, tj. od wprowadzenia stanu wojennego więźniowie polityczni są stałym elementem polskiej rzeczywistości. Niewiele zmieniły kolejne amnestie i akty ulaskawień. Obecnie w zakładach karnych i aresztach śledczych PRL przebywa ok. 260 osób — działacze związkowych i politycznych. Postulat ich uwolnienia jest podstawowym żądaniem społecznym, warunkiem wstępnym jakiegokolwiek dialogu między władzą a społeczeństwem.

Uważamy, że bez zasadniczych zmian w sposobie sprawowania władzy, bez uznania suwerenności Narodu oraz bez poszanowania niezbywalnych praw człowieka — pokój społeczny w Polsce jest nieosiągalny.

Osobnym problemem są warunki panujące w zakładach karnych i aresztach śledczych. Mają one charakter wybitnie represyjny. Osadzani za przestępstwa popolite zamiast poprawie ulegają dalszej deprawacji, uniemożliwiającej powrót do normalnego życia. Niezbędne jest przeprowadzenie głębokiej reformy systemu penitencjarnego i polityki karnej.

Dla więźniów politycznych sytuacja ta jest szczególnie dokuczliwa. Zdani są oni na samowolę funkcjonariuszy służby więziennej, którzy traktują ich koniunkturalnie. Nierzadkie są przypadki ciężkich pobić. Zmusza to więźniów do częstego sięgania po drastyczną formę protestu — głódówkę. Dlatego też konieczne staje się uzyskanie prawnych gwarancji — statusu więźnia politycznego. Najskuteczniejszą jednak obroną przed represjami i szykanami jest nacisk krajowej i zagranicznej opinii publicznej. Uwężenie stanowi zawsze ciężki cios dla najbliższych. Często skutkiem jest pozbawienie rodziny środków do życia.

Wiedząc z własnego doświadczenia jak bezcenna jest okazywana troska i wsparcie — wzywamy wszystkich, w tym: załogi zakładów pracy, wspólnoty parafialne i sąsiedzkie do niesienia pomocy więźniom politycznym i ich rodzinom. Nie pozostawiajmy ich własnemu losowi!

Twórzmy fundusze na rzecz represjonowanych. Pomagajmy w adaptacji opuszczających zakłady karne. W tej sprawie bowiem przede wszystkim sprawdza się nasza solidarność.

W imieniu internowanych i więzionych

Lech WAŁĘSA

Do wiadomości:

- Sekretariat Episkopatu Polski,
- Ks. bp Ordynariusz gdański dr Tadeusz Gocłowski.

Solidarność Walcząca nr 3/133, 1986.

A LUDZIE SIEDZĄ

Trzeba uczciwie powiedzieć, że sprawa KPN jest zadziwiająca i nie przynosi zaszczytu demokratycznej opozycji. Moczulski wraz z Szeremietiewem i Jendziszakiem przesiedział praktycznie całą „Odnowę”, posadzony zaraz po Sierpniu. To prawda, że „Solidarność” występowała w ich obronie, lecz dziesięciomilionowemu związkowi nie udało się osiągnąć wypuszczenia więźniów politycznych, których było podówczas w PRL tylko trzech. Tymczasem KPN stawiał się poważną siłą polityczną, związaną z „Solidarnością” i został po grudniu spacyfikowany policyjnymi metodami razem ze związkami.

KPN-owcy siedzieli potem w tym samym czasie co „jedenastka”, teraz siedzą równolegle z „trójką”, a mimo to o ich sprawie jest bez porównania ciszej. Nie dopomina się o nich w porównywalnym stopniu światowa opinia publiczna, dlatego chyba, że informacje i inspiracje czerpie ona z polskiej opozycji. Dawne różnice zdań i nawet animozje między KPN a działaczami b. KOR-u nie mogą nikomu służyć jako usprawiedliwienie. Zresztą ludzie ci osobiście pojednali się w piękny sposób za sprawą ks. Popiełuszki w kościele św. Stanisława Kostki, po wyjściu na wolność w 1984 roku.

Cel wszystkich nurtów opozycyjnych jest taki sam, nawet jeśli inaczej widzą one drogi dojścia do niego. Różnice zdań powinny zaś skłaniać do tym gorliwszego dopominania się o wolność i prawa oponentów.

Przegląd Wiadomości Agencyjnych nr 3 z 19 stycznia 1986.

ARESztOWANIE DRA JANA BOROWCA

30 października 1986 aresztowany został doc. dr hab. Jan Borowiec, kierownik zakładu w Instytucie Podstaw Informatyki PAN w Warszawie, wybitny specjalista w zakresie teorii kompilacji komputerowej, twórca systemu metakompilatorów służących w informatyce do przekładu z jednego języka komputerowego na inny. Aresztowanie nastąpiło na dwa tygodnie przed wyjazdem na 2-letni kontrakt do Karlsruhe na zaproszenie prof. Goosa.

W garażu doc. Borowca Służba Bezpieczeństwa znalazła off-set Romayor, znajdujący się w remoncie. W chwili aresztowania postawiono docentowi zarzut z §§ 201 i 208 kk, tj. o zabór mienia społecznego znacznej wartości w związku z włamaniem, które to paragrafy zagrożone są w PRL więzieniem od lat 5 do 25.

Postawienie zarzutu kryminalnego w związku z działalnością polityczną zdarza się czasami w PRL, nigdy jednak jeszcze nie dotyczyło osoby wybitnego naukowca i nigdy również nie sięgnięto po paragrafy zagrożone tak drakońskimi karami.

Zapewne jedną z przyczyn postawienia uczonemu zarzutu o charakterze kryminalnym było zbiegnięcie się jego aresztowania w czasie z przewidywanym ogłoszeniem amnestii obejmującej więźniów politycznych, która rzeczywistość ogłoszona została w kilka dni po jego aresztowaniu.

Poreczenia społeczne domagające się uwolnienia doc. Borowca złożyli natychmiast najwybitniejsi uczeni polscy z branży, w której pracował, w tym prof. Łoś i prof. Blikle, jak również Polskie Towarzystwo Informatyczne, niemniej decyzję aresztowania utrzymano w mocy.

Docent Borowiec ma 50 lat i jeszcze przed aresztowaniem był poważnie chory na serce (stan przedzawałowy), przy czym należy podkreślić, że fakt ten nie jest kwestionowany przez więzienną służbę zdrowia.

Władze polskie zachowują się w tej sprawie ze szczególnym cynizmem — prokurator Białek przyjmując obrońcę doc. Borowca, mec. Johanna, pozwolił sobie wyrazić radość, że ten znany obrońca w sprawach politycznych nareszcie zajął się sprawą kryminalną, i to taką zwyczajną, bowiem prokurator Białek spraw politycznych bardzo nie lubi.

Zona doc. Borowca, Maryla, zabiegała przez dłuższy czas o audiencję u ministra spraw wewnętrznych Kiszczaka. Po parotygodniowym oczekiwaniu przeprowadził z nią rozmowę telefoniczną jego zastępca, generał Ciastoń, który z kolei skierował ją do płk. Jedynaka w Stołecznej Komendzie Milicji (Pałac Mostowskich). Płk Jedynak wysłuchawszy relacji p. Maryli Borowcowej przyznał, że jej mąż nie może być uznawany za więźnia kryminalnego i w związku z obowiązującymi wytycznymi realizowanej właśnie amnestii obiecał zwolnienie doc. Borowca w ciągu 2 do 4 dni. Docent jednak nie został zwolniony, a po upływie ośmiu dni do domu p. Borowcowej zjechał radiowóz milicyjny z wezwaniem na natychmiastową rozmowę do ministra Kiszczaka.

Generał Kiszczak oświadczył p. Borowcowej, że sprawa jest mu dobrze znana, że wie o chorobie docenta, a także zdaje sobie sprawę z absurdalności zarzutów natury kryminalnej. Oświadczył również, że znaleziona w garażu państwa Borowców maszyna poligraficzna została skradziona z jakiegoś państwowego zakładu (nie jest to ściśle — numery fabryczne maszyny znalezionej w garażu Borowców były skutecznie, bo przy pomocy wiertarki, zlikwidowane, nie można więc mówić o jej rzeczywistej identyfikacji) i jest wprawdzie wiadome, kto tej kradzieży dokonał, sprawcy zostali aresztowani i przyznali się do winy, w związku z czym obciążanie odpowiedzialnością za tę kradzież docenta Borowca jest zupełnie nieuzasadnione, jednak areszt będzie utrzymany, bowiem docent nie chce z funkcjonariuszami SB rozmawiać.

W tej sytuacji gen. Kiszczak zaproponował pani Borowcowej, aby podała mu, kto wstawił maszynę do ich garażu: za podanie jednego nazwiska obiecał docenta wypuścić, zastrzegając się tylko, że nie chodzi mu o nazwiska drukarzy, mechaników ani innych plotek. Wręczył również p. Borowcowej numer telefonu czynnego całą dobę, gdzie może ona w każdej chwili nazwisko takie podać, jeśli będzie chciała, aby mąż został zwolniony. W przeciwnym wypadku docent przez lata pozostanie w więzieniu. Pani Borowcowa oparła się temu szantażowi.

Państwo Borowcowie mają dwoje dzieci, 13-letniego Piotra i 9-letnią Agatę. Adres: Maria Borowiec, ul. Myśliwska 23, 05-807 Podkowa Leśna.

APEL W OBRONIE ARESztOWANYCH DWÓCH UCZESTNIKÓW RUCHU „WOLNOŚĆ I POKÓJ”

Ruch „Wolność i Pokój”

Warszawa - Kraków - Wrocław

23 lutego 1986.

Do wszystkich zainteresowanych, a w szczególności do:
— przyjaznych nam europejskich ruchów i organizacji pacyfistycznych (CODENE, END, IKV, MOC itd.),
— Amnesty International w Londynie i innych organizacji obrony praw człowieka,



- „Partii Zielonych” w RFN, organizacji i ruchów ekologicznych,
- Polskich ośrodków emigracyjnych.

19 lutego 1986 władze warszawskie aresztowały dwóch uczestników ruchu „Wolność i pokój”, Jacka Czapotowicza i Piotra Niemczyka, oskarżając ich o udział w organizacji przestępczej. Liczba aresztowanych członków ruchu wzrosła w ten sposób do pięciu. Obydwu aresztowanym grożą trzy lata więzienia.

Proces Jacka Czapotowicza i Piotra Niemczyka ma dowiedzieć, że działania pacyfistyczne mają w Polsce charakter kryminalny. Tylko natychmiastowa reakcja naszych przyjaciół i zwolenników idei wolności i pokoju, tylko Wasza solidarność może uratować uczestników ruchu „Wolność i pokój” w Polsce od aresztowań i wyroków za przestępstwo kryminalne.

W tej krytycznej chwili apelujemy do Was o pomoc. Przyszłość wolności i pokoju w Europie zależy od naszej wspólnej postawy.

Niech żyje pokojowa i wolna Europa!

Leszek BUDREWICZ (Wrocław), Marek KRUKOWSKI (Wrocław),
Konstanty MIODOWICZ (Kraków), Jan Maria ROKITA (Kraków),
Radosław HUGET (Kraków).

KOMUNIKAT

Chicago-Wrocław, 1 lutego 1986 r.

Uznając konieczność zintegrowania polskich inicjatyw niepodległościowych, w dniu 1 lutego 1986 roku została nawiązana współpraca między RSP Pomost i Solidarnością Walczącą.

Celem jej jest działanie na rzecz:

- odzyskania niepodległości Kraju;
- aktywizacji polskich środowisk emigracyjnych;
- wymiany informacji na temat aktualnej sytuacji politycznej w Kraju i na emigracji.

Współpraca RSP Pomost i Solidarności Walczącej jest ważną próbą podjęcia regularnych kontaktów między polską organizacją emigracyjną i krajową i powinna przybliżyć nam cel ostateczny — Wolną Polskę.

Krzysztof RAC,
Koordynator Ruchu
Społeczno-Politycznego POMOST

Kornel MORAWIECKI,
Przewodniczący
Solidarności Walczącej

Solidarność Walcząca nr 3/133, 1986.

Tygodnik Mazowsze nr 157.

LUBMY HOMKÓW

W numerze 153 pisaliśmy o wrocławskim piśmie młodzieży „Zero”. Teraz leży przede mną gdański „Homek” ze stycznia 1986, cztery strony formatu A 4 drukowane na ramce. Pisemko wychodzi już czwarty rok. Obok tytułu

mandala z wpisanym skrótem RSA — Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Czyli ci punkowie w kominiarkach, którzy bili się z ZOMO 1 maja.

Piszą ostro, zjadliwie. O rocznicy grudnia: „Po pierwszym ruchu ZOMO (bo trudno to nazwać atakiem) większość wycofała się. Dla nich udział w mszy stanowił szczyt odwagi, wyżyli się patriotycznie ku pokrzepieniu serc i uspieniu sumień. (...) Ksiądz (biskup?) wezwał, abysmy radośnie wracali do domów, nie ulegali prowokacjom i byli czujni (skąd my to znamy?) (...). Osobiście jestem optymistą i chcę wierzyć, że osiągnęliśmy dno, że nie będzie już gorzej. Obym rację miał ja, a nie pesymiści, którzy uważają, że było dobrze i lepiej już być nie może”.

O harcerstwie: „Wszyscy z harcerzem czują się dobrze — punkt prawa harcerskiego. Ten przymus czucia się dobrze obnaża całą głupotę harcerstwa, a pomimo to (...) źle się mówi tylko o tym, co Polska Ludowa z nim zrobiła. (...) Ruch harcerski, pionierski czy skautowy jest nieczym innym niż militaryzacją młodzieży, próbą jej ujednoczenia i wyrównania. Odnowa harcerstwa? A w jakim celu?”.

W „Homku” nie znajdziemy teoretycznych rozważań o wielkiej polityce, oświadczeń TKK, martyrologii. Pismo zwraca się do ludzi młodych, namawia ich do aktywności, do konkretnych działań — w myśl zasady, że bez ryzyka nie ma życia.

Nie przemaluję sobie włosów na różowo — lata już nie te. Na manifestacjach też będę raczej uciekał. Ale myślę, że to, co robią „Homki”, ma sens — także i dla nas.

BUKA

ZAGŁADA CERKWI*

Poruszamy ten temat w *Wydarzeniach* już nie pierwszy raz. Świat chrześcijański obchodzi rok świętych Cyryla i Metodego; także w Polsce odbyły się uroczystości pod auspicjami zarówno Kościoła prawosławnego, jak i katolickiego, na sesjach naukowych omówiono zamierzenie i żywe do dziś tradycje działalności misjonarskiej świętych braci, zaliczonych do patronów Europy. W tym samym roku w środku Europy, w kraju chłubiącym się pietyzmem dla zabytków przeszłości, postępuje dzieło zniszczenia pomników wielowiekowej tradycji. Dewastacja cerkwi w Teniatskach, Lubyczy, Majdanie Sieniawskim, Babicach, Bruśnie Nowym, Kotowie, Zagórzanach i Chyrowej postąpiła tak daleko, że prawdopodobnie nie da się ich już uratować przed kompletnym zniszczeniem. Takiemu zniszczeniu uległo w okresie powojennym 50% zabytków cerkiewnych.

Gdzie zatem przetrwają, jeśli niszczeją w Polsce? Przecież nie w Rosji i nie w Czechosłowacji lub Rumunii, gdzie państwowa ateizacja jeszcze gorliwiej patronuje zagładzie. Nie zdajemy sobie na ogół sprawy z tego, że cięży na nas wyjątkowy obowiązek ocalenia śladów istnienia Kościoła wschodniego. Parafie prawosławne dzierżą niewielki procent cerkwi, a i tak — na przykład w Radrużu, gdzie jest zespół cerkiewny klasy zerowej — cały swój wysiłek obracają na utrzymanie nowych świątyń, zaniedbując zabytkowe. Parafie katolickie, które również posiadają niewielki procent budynków cerkiewnych, przystosowują je do własnych potrzeb, często nie dbając o ich zabytkową wartość. Przedsiębiorstwa używające budynków cerkiewnych jako magazynów eksploatują je bez litości. Większość cerkwi nie ma żadnego

* *Kultura Niezależna* nr 14, miesięcznik Komitetu Kultury Niezależnej, Warszawa, listopad 1985, Wyd. Przedświt.

gospodarza. W takich przypadkach obowiązek opieki ciąży na władzach terenowych (naczelnicy gmin, gminne rady) i na konserwatorach wojewódzkich. O „opiece” gmin nie ma co wspominać, praktycznie nie istnieje. Co do konserwatorów... W województwie nowosądeckim 30 cerkwi (na 74) nie wpisano do rejestru zabytków. W krośnieńskim 30 wpisano; poza rejestrem pozostało 80. W zamojskim wpisano 24 z 62 cerkwi. Krótszy rejestr — mniejszy kłopot... W stanie bliskim zagłady są w nowosądeckim 3 budynki, w zamojskim 11, w krośnieńskim 15, w przemyskim 34!

Cerkwiom zagrażają nie tylko wiek, niszczące działanie czynników atmosferycznych, zaniedbania, brak remontów. Na wyposażenie cerkwi i ementarzy, na krzyże przydrożne, kapliczki, rzeźby dybią rabusie i szabrownicy. Na budynki — potrzebujący budulca, w starych świątyniach znajdujący łatwy i bezpłatny łup. Zdarzają się przypadki, że opiekunowie (z łaski ustawy o ochronie dóbr kultury) cerkiewek sami przyczyniają się do zniszczenia kłopotliwego dziedzictwa, czynnie lub przez zaniedbanie. Z braku urządzeń przeciwpożarowych (szumna nazwa dla np. piorunochronu, czyli kawałka blachy i paru metrów drutu) w 1971 roku spłonęły zabytkowe cerkwie w Czyżach (woj. białostockie) i w Załużu (woj. przemyskie).

Czy jest zatem jakakolwiek szansa na uratowanie cerkwi? Konserwatorzy wojewódzcy nie mają środków na choćby najprostsze prace ochronne. Komisja Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej działająca przy Towarzystwie Opieki nad Zabytkami ma tych środków jeszcze mniej, musi poprzestać właściwie na rejestracji strat. A są to jedyne instytucje zobowiązane do ochrony i poczuwające się (konserwatorzy w mniejszym, komisja w większym stopniu) do tych zobowiązań. W tej beznadziejnie wyglądającej sytuacji przychodzi nam na myśl jeszcze jedna, może nie taka wątpliwa szansa. Może opieki podjęłyby się parafie katolickie? Właściwie tylko Kościół dysponuje — skoro na władze państwowe nie można w tej sprawie liczyć, co zostało dowiedzione — potencjałem organizacyjnym zdolnym sprostać potrzebie. Diecezja przemyska i jej ordynariusz bp Tokarczuk — a na Jego terenie zagrożen jest najwięcej — poradzi sobie z zakazami budowy kościołów, wykazując nadzwyczajne talenty organizacyjne. Może zechcieliby choć cząstkę tego potencjału zaangażować w tej dobrej sprawie? A za nią diecezja lubelska i archidiecezja w Lubaczowie? Czy nie byłby to godny sposób uczczenia roku Cyryla i Metodego?

NOWY ADRES KSIĘGARNI WYSYŁKOWEJ VERITAS

Posiadamy na składzie wszystkie książki wydawców zachodnich oraz wybrane tytuły publikacji krajowych.

W celu otrzymania katalogu prosimy pisać pod adresem:

63 Jeddo Road, London W12 9EE, England.

O JAKOŚCI NASZYCH USŁUG ŚWIADCZĄ
TYSIĄCE KLIENTÓW Z CAŁEGO ŚWIATA —
ZOSTAŃ JEDNYM Z NICH!

Kronika kulturalna

Picasso, Pirandello i teatr czystej formy Witkacego

I

Setna rocznica urodzin Stanisława Ignacego Witkiewicza, którego uporczywa walka o „czystą formę w teatrze” była i jest przedmiotem tyłu dyskusji, sporów i nieporozumień, wydaje się dobrą okazją do próby zrewidowania niektórych utartych sądów krytyki polskiej i obcej o źródłach jego estetyki i wysunięcia propozycji nieco odmiennego spojrzenia na te sprawy.

Aczkolwiek Witkacy brał niezwykle czynny udział w polskim ruchu artystycznym burzliwego okresu lat dwudziestych, niełatwo jest ustalić jego pozycję wśród rozlicznych prądów awangardowych owego czasu: ekspresjonizmu, kubizmu, futuryzmu, dadaizmu, surrealizmu etc. Już z samej natury swego intelektu, charakteru i temperamentu Witkacy nie potrafił siebie widzieć jako przynależnego do tej czy innej „szkoły”; jego indywidualizm sprzeciwiał się wszelkiej klasyfikacji jego sztuki. Przeciwnie, widział siebie jako twórcę własnych idei artystycznych, wyprzedzających swój czas. Ta jego świadomość i uparte przekonanie o wartości jego koncepcji, wbrew kwestionowaniu a nawet ośmieszeniu jej przez ówczesną krytykę okazały się — po latach, z perspektywy innego już, powojennego świata — nie bez podstaw. Jego głęboko pesymistyczna charakterystyka własnego społeczeństwa i katastroficzna wizja współczesnego świata, przyjęte przez większość jako ekscentryzm lub nawet intelektualna arogancja, okazały się w dużej mierze prorocze.

W krytyce literackiej estetyka Witkiewicza przedstawiana jest najczęściej jako zjawisko przede wszystkim oryginalne, a gdy idzie o związki i pokrewieństwa, najczęściej wymieniany jest ekspresjo-

nizm. Powodem tego jest oczywiście fakt, że Witkacy przez kilka lat był związany z grupą formistów, którzy swój program artystyczny sami uważali za bliski ekspresjonizmowi. Trzeba jednak pamiętać, że cechy formizmu bliskie ekspresjonizmowi, takie jak antyimimizm, walka z tradycją i skłonność do eksperymentu, właściwe były większości ówczesnych prądów awangardowych.

Witkacy od początku zajął odmienne od innych formistów stanowisko w punkcie bardzo istotnym dla rozwoju jego teorii artystycznej, mianowicie dotyczącym stosunku do rzeczywistości. Podczas gdy inni formiści, np. Tytus Czyżewski, byli bliżej pozycji futurizmu, który w swych najbardziej nawet radykalnych eksperymentach nie wychodził poza granice realnego świata, Witkacy już w tym okresie zajął stanowisko zdecydowanie antyrealistyczne.

W swoim „Bilansie formizmu” ogłoszonym w *Głosie Plastyków* w roku 1938 Witkacy twierdził, że był formistą od roku 1902. Wiemy, że nie należy tych „zwierzeń osobistych” brać zbyt dosłownie, jednakże zapowiedzi jego predylekcji do „czystej formy” znajdują się istotnie już we wczesnych latach przedwojennych zarówno we wzmiankach o głośnych paryskich wystawach „niezależnych”, które oglądał w roku 1908 i 1911, jak i w zbeletryzowanej formie w 622 *upadkach Bunga*, nie mówiąc już o skąpych lecz charakterystycznych wzmiankach o tymże awangardowym malarstwie oglądanym w czasie wojny w bogatych galeriach moskiewskich, gdzie w samej tylko galerii Szczukina znalazło się przeszło czterdzieści obrazów Picassa, z których „przemówiła czysta forma”.

Witkacy tylko najzupełniej fragmentarycznie wspomina swoje przeżycia wojenne i rewolucyjne. Wspominając o tym zaledwie w kilku zdaniach w *Niemyłych duszach* i poczuwając się jakby do potrzeby usprawiedliwienia swego milczenia, Witkacy zapowiada obszerniejszą opowieść o swoich ówczesnych przygodach i przemyśleniach, odsyłając czytelnika do tomu 14-go pośmiertnego wydania „Pism zebranych”, który ma się ukazać w roku 1978. Jak wiemy, mniej więcej w zapowiedzianym czasie wyszły istotnie „niemal zebrane” pisma Witkacego, a więc i prace teoretyczne i wszystkie zachowane dramaty; niestety co do owego krytycznego okresu to ukazało się jedynie ponowne wydanie *Niemyłych dusz*.

Jak wiadomo, w opinii krytyki teoria i praktyka „czystej formy w teatrze” Witkacego nie da się umieścić w żadnym z ówczesnych kierunków artystycznych. Taki jest tenor zarówno wcześniejszych jak i ostatnich, polskich i obcych studiów o Witkacym. Konstancy Puzyna, który zebrał i wydał cały zachowany korpus dramatów Witkacego (*Dramaty I-II*, Warszawa 1971) najbliższe

związki widzi z ekspresjonizmem i surrealizmem. Nazywając Witkacego „krypto-ekspresjonistą”, gdyż jego zdaniem, mimo iż Witkacy się do tego nie przyznawał, sztuka jego jest wyrazem podobnych celów, Puzyna zdaje się zapominać, że podczas gdy ekspresjonizm, podobnie zresztą jak poprzednio symbolizm a potem surrealizm, odwoływał się do niekontrolowanych stanów emocjonalnych i zgoła do podświadomości, o tyle Witkacy kładzie nacisk na świadomą organizację artystyczną, mimo iż jest ona wyrazem „niepokojącej metafizycznej”. Puzyna poświęca również dużo uwagi związkowi Witkacego z modernizmem. Poglądy dość zbliżone do sądów Puzyny wyrażają inni krytycy współcześni, np. Alain van Cruyten w swojej dysertacji: *S. I. Witkiewicz: aux sources d'un théâtre nouveau* (Lozanna 1971), który sporo uwagi poświęca oryginalności i nowatorstwu Witkacego.

Element niezależności sztuki Witkacego od współczesnych prądów jest szczególnie silnie podkreślony w najnowszym i chyba najbardziej wyczerpującym studium sztuki pisarskiej Witkacego, mianowicie w książce Daniela Geroulda: *Witkacy: Stanisław Ignacy Witkiewicz as an Imaginative Writer* (University of Washington Press, 1981). Na podstawie bardzo szczegółowej analizy strukturalnej obejmującej całość twórczości Witkacego, Gerould stara się uwydatnić samorodność jego koncepcji teatralnej (a także powieściowej). Oczywiście nie podlega dziś kwestii, że siła intelektu i artystycznej intuicji pisarza pozwoliły mu stworzyć dzieło wykraczające poza granice doświadczeń jego pokolenia, wyprzedzając w sposób zgoła wizjonerski wiele z tego, co stało się udziałem naszej epoki. Jednakże Gerould w swojej prekursor-skiej ocenie roli Witkacego ujmuje ją w formie niewątpliwie zbyt absolutnej, przedstawiając pisarza jako artystę, który „żył i tworzył w całkowitej izolacji... poza normalną chronologią, wpływami, kategoriami i ugrupowaniami historii literatury” itd. Wiemy przecie, że w rzeczywistości nie brak bynajmniej dowodów na to, że estetyka Witkiewicza nie tylko nie powstała w izolacji, ale przeciwnie, wyrosła w bliskich kontaktach z tym wszystkim, co się działo w Polsce i za granicą w świecie umysłowym i artystycznym, jeśli nawet istotnie jego znajomość literatury obcej, na przykład — jak twierdził — zachodniego dramatu ekspresjonistycznego, była ograniczona.

Jednym z kierunków awangardowych na ogół pomijanych przez krytykę, a w pewnych wypadkach wymienianych jako Witkacemu zgoła „antypatyczny”, jest kubizm i temu to zagadnieniu poświęcone są poniższe uwagi.

Teżą moją jest mianowicie, że właśnie kubizm, w jego wczesnej, najbardziej ambitnej fazie, jest jednym z najbliższych Witkacemu prądów artystycznych, a nawet w pewnym stopniu źródłem inspiracji artystycznej jego teorii i praktyki „czystej formy”. Nie

mam oczywiście na myśli jakiegoś bezpośredniego, mechanicznego wpływu. Jednakże analogie między kubistyczną koncepcją „czystego malarstwa”, jak to określił Apollinaire, a „czystą formą” Witkacego są w moim przekonaniu zbyt uderzające, aby nie brać ich pod uwagę jako jednego z najbardziej istotnych czynników w formowaniu się estetyki Witkacego.

II

Witkiewicz jako młody malarz, który od dzieciństwa szukał swej drogi w świecie sztuki, nie mógł pozostać obojętny wobec różnych kierunków awangardy i nie zareagować niezmiernie żywo na to, co oglądał i o czym było głośno w czasie jego pobytów w Paryżu w latach 1908 i 1911. Obrazy kubistyczne z tego okresu wywarły na artyście niezatarte wrażenie, o czym wspomina m.in. przesyłając ojcu katalog wystawy roku 1911. O sile tego wrażenia, pogłębionego konfrontacją z kolekcją obrazów Picassa w dramatycznym okresie jego pobytu w Rosji może świadczyć fakt, że wzmianki o takich czy innych właściwościach malarstwa Picassa są częstsze niż o jakimkolwiek innym artyście. Znajdujemy je nie tylko w tekstach teoretycznych, lecz także w poszczególnych utworach artystycznych. Przy tym, niezależnie od kontekstu, są one zazwyczaj symptomatyczne dla własnej postawy autora — czy to będzie „kwadratowa łydka Picassa” cytowana przy różnych okazjach (tam, gdzie idzie o argument, że takie czy inne zdeformowane kształty nie powinny być widziane jako „przedmioty”, lecz jako elementy czysto formalnej, artystycznej kompozycji), czy „szalejące kuby Picassa” przeciwstawione „naturalistycznej wodzie Thaulowa” w dramacie *Oni*, gdzie w ogóle „ostatni obraz Picassa” jest elementem strukturalnym całego utworu.

Zasada deformacji była ideą, która od owych wczesnych kontaktów z kubizmem znalazła szczególnie żywy oddźwięk w wyobraźni artysty. Sama zasada deformacji była podjęta i przez inne kierunki, zwłaszcza przez futurizm. Futuryści wykazali daleko idące możliwości artystyczne tej koncepcji. Jednakże u futurystów była ona w dalszym ciągu związana z wizją realnego świata i szło tu głównie o znalezienie bardziej bezpośrednich form przedstawienia nowej rzeczywistości, która nie dawała się ująć w tradycyjnych „więzach” opisowości. Idea kubizmu była bardziej ambitna. Ostatecznym celem deformacji było stworzenie nowej, ściśle artystycznej rzeczywistości.

Witkiewicz mógł nawet nie śledzić wszystkich dyskusji i polemik artystycznych, jakie miały wówczas miejsce na Zachodzie, zwłaszcza między kubistami i futurystami, ale jest to właściwie

mało istotne. Jako artysta, który od dzieciństwa żył, oddychał problemami malarstwa, nie mógł nie „odczytać” oglądanych obrazów i nie wyciągnąć z nich swoich artystycznych wniosków. Jego koncepcja czystej formy najbliższa jest osiągnięciom takich artystów jak przede wszystkim Picasso, Braque czy Metzinger z lat bezpośrednio przedwojennych, wywodzących się z pozycji antyrealistycznych. Właśnie na punkcie realizmu, na punkcie stosunku do rzeczywistości rysowała się zasadnicza różnica między Witkacem a głównym teoretykiem formizmu, Leonem Chwistkiem. Koncepcja filozoficzna Chwistka, rozwinięta w książce pt. *Wielość rzeczywistości*, była w tej kwestii właściwie bliższa materialistycznemu w zasadzie programowi futuryzmu, dążeniu do uchwycenia zdeformowanej wprawdzie, ale w założeniu wciąż realistycznej wizji świata. Wprawdzie w pojęciu dynamizmu, lansowanym przez futurystów, zwłaszcza przez Boccioniego, mowa jest o „przenikaniu się napięć i sił”, co stoi już na pograniczu metafizyki, jednakże program i praktyka futurystów nie wychodzi przeważnie poza ramy rzeczywistości¹.

Chwistek widzi rolę deformacji jako środek przedstawiania „przedmiotów” z różnych punktów widzenia, w zmiennej perspektywie, odzwierciedlającej „wielość rzeczywistości”. Natomiast koncepcja Witkacego zgodna jest z ambicją kubizmu, aby drogą deformacji stworzyć nie realistyczną, lecz ściśle artystyczną, integralną kompozycję, której poszczególne elementy nie reprezentują przedmiotów czy osób, lecz jedynie części składowe formalnej całości.

Jeśli idzie o wypowiedzi Witkacego o takich czy innych kierunkach artystycznych to mogą się one wydawać nie zawsze jednoznaczne i konsekwentne. Często pochodzi to jednak nie ze zmienności czy kaprysu, lecz po prostu stąd, że jest on zawsze gotów przyznać indywidualnym utworom malarstwa czy literatury wartość artystyczną niezależnie od epoki czy kierunku, do którego przynależą. Jednakże gdy idzie o zasadnicze cele poszczególnych kierunków artystycznych, to jest na ogół konsekwentny w swojej postawie. Wyraźnie negatywny jest więc jego stosunek do futuryzmu jako „barbarzyńskiej teorii realistycznego nonsensu”. Znacznie bliższy jest mu ekspresjonizm, ale oddziela go od ekspresjonizmu potrzeba celowej organizacji. To samo zresztą dotyczy surrealizmu czy dadaizmu, mimo iż wiele jest podobieństw, zwłaszcza stylistycznych.

Zgoła inaczej przedstawia się sprawa stosunku do kubizmu.

1. Mówiąc w swoim czasie, w książce o futuryzmie, o polemice na ten temat między Boccionim i Apollinaiem, byłem raczej po stronie tego pierwszego, zafascynowany takimi jego obrazami jak „Siły ulicy” czy „Ulica wchodzi w dom”, ale dziś nieco inaczej to widzę.

Jak wspominałem, w krytyce temat ten był jak dotąd albo pomijany, albo wspominany w sensie negatywnym. Świeżo ugruntował tę negatywną opinię — zwłaszcza na forum międzynarodowym — sąd tak autorytatywnego historyka sztuki jak Mieczysław Porębski (który widzi w Witkacym zrewoltowanego wprawdzie, ale przede wszystkim modernistę), sąd wypowiedziany na konferencji międzynarodowej poświęconej symbolizmowi i surrealizmowi we Francji i w Polsce, zorganizowanej przez Instytut Studiów Romańskich Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1973. W swoim referacie poświęconym stosunkowi Witkiewicza do modernizmu i do awangardy prof. Porębski określił stosunek Witkacego do kubizmu jako „całkiem oczywistą” (*assez évidente*) „antypatię”. (Por. M. Porębski: „S. I. Witkiewicz” w tomie *Poésie et peinture du symbolisme au surréalisme en France et en Pologne*, wydany jako tom V *Cahiers de Varsovie*, str. 229).

Otóż bliższe przyjrzenie się teorii i praktyce „czystej formy” Witkacego nie wydaje się potwierdzać sądu o jego antypatii do kubizmu. Wprost przeciwnie, wyraźne są dowody nie tylko „sympatii” ale poczucia wspólnych celów i środków z estetyką, jaką reprezentowało malarstwo Picassa i innych kubistów z ich najbardziej ambitnego, „heroicznego” okresu.

Szczególnie silne jest to poczucie wspólnoty celów i środków w kardynalnym w estetyce Witkacego punkcie artystycznej deformacji jako procesu, dzięki któremu poszczególne składniki utworu artystycznego przestają reprezentować świat realny i stają się organicznymi elementami czysto formalnej struktury, znajdując się we współzależności z innymi jej elementami. Ta współzależność oparta na zasadzie „napięć kierunkowych” czyli, jak to Witkacy później określi, „napięć dynamicznych”, jest wyraźnie bliska pojęciu dynamizmu w estetyce malarstwa kubistycznego.

Właśnie w eseju „O tzw. deformacji we współczesnym malarstwie” Witkacy wyraził w sposób bodaj najbardziej bezpośredni i niedwuznaczny swój stosunek do kubizmu:

Weźmy dla przykładu teorii napięć dzieła Picassa. Jakim szalonym wzbogaceniem form o różnych napięciach jest tzw. „kubistyczne traktowanie figur”. Forma prostokąta czy inna jakaś, zbliżona do dowolnej formy geometrycznej, obojętna co do swego napięcia a posiadająca w prostocie swej jakby potencjalną potęgę działania, staje się aktualnie działającą przez to, że jako część np. nogi jakiejś postaci dostaje odpowiednie, jednoznacznie określone kierunkowe napięcie. Czy na tych właśnie pierwiastkach nie polega niesłychanie potężne działanie obrazów Picassa z jego trzeciej, *par excellence* kubistycznej epoki? To samo może się odnosić również do „przecięć przedmiotów” praktykowanych przez kubistów, do tych, podobnych do geologicznych uskoku, przesunięć części przedmiotowych całości (ciała, twa-

rzy lub przedmiotów martwych). Wszystko to są środki dla stworzenia kompozycji o pewnym charakterze, a nie — jak to chcą obznajomieni z „kierunkami na Zachodzie” krytycy — różne sposoby „widzenia natury” i jej odtwarzania.

(Por. *Nowe formy w malarstwie i inne pisma estetyczne*, Warszawa 1959, str. 213).

Nietrudno zrozumieć, dlaczego inspiracja kubizmu w twórczości Witkacego znalazła wyraz nie w malarstwie, a w teatrze. Czynnikiem „niepokoju metafizycznego” Witkacego zajmował zbyt ważne miejsce zarówno w jego filozofii i historiozofii, jak i w jego estetyce, aby mógł znaleźć pełny wyraz w granicach „czystej formy w malarstwie”, która nieuniknienie prowadziła ku abstrakcji. Tak więc artysta skierował swój wysiłek twórczy ku teatrowi, który jako „sztuka złożona” przedstawiał większe możliwości wyrażenia owych mniej „czystych” niepokojów. W miarę jak „nienasylenie formą” ustępuje coraz bardziej miejsca niepokojom już nie tylko metafizycznym, ale historycznym i ideowym, prowadzą one pisarza ku jeszcze mniej czystej formie powieści. I tutaj jednak ważną rolę gra w dalszym ciągu dewiza deformacji.

III

W okresie „burzy i naporu” kubizmu jednym z głównych uczestników a zarazem propagatorów tego kierunku był Guillaume Apollinaire, żartobliwie lecz nie bez powodu nazwany „papięciem kubizmu”. Niektóre z jego interpretacji, zawarte w wydanym w roku 1913 zbiorze pt. *Les peintres cubistes* nie różnią się zbyt od rozważań Witkacego o „czystej formie”. Oto kilka z nich: „Kubizm różni się od dawniejszego malarstwa tym, że nie jest sztuką imitacji lecz sztuką koncepcji”; „Kubizm polega na poszukiwaniu nowych zasad komponowania dzieła sztuki z elementów reprezentujących nie rzeczywistość widzianą lecz konceptualną”; „Młodzi artyści... porzucają coraz bardziej sztukę optycznej iluzji i ustalonej proporcji na rzecz wyrażenia ogotmu form metafizycznych”.

Stanowisko Witkacego, zwłaszcza jego postulat antyrealizmu, hasło deformacji i traktowania wszystkich elementów sztuki nie jako elementów realnego świata, lecz jako integralnych składników artystycznej całości, jest zgodne, aczkolwiek ujęte w mniej „poetyckim” stylu, z wypowiedziami Apollinaire’a.

Mówiąc o „nowym typie sztuki teatralnej” podkreśla Witkacy, że w sztuce takiej „chodzi o możliwość *zupełnie swobodnego deformowania życia lub świata fantazji dla celu stworzenia całości, której sens byłby określony tylko wewnętrzną, czysto sceniczną*

konstrukcją..." (podkr. S.I.W.). Postulat ten jest na ogół konsekwentnie realizowany w utworach dramatycznych Witkacego, w których stara się on zburzyć wszelkie konwencje teatru realistycznego dotyczące akcji, aktorów, ich gestu, stylu i języka ich wypowiedzi i ich związku z sytuacją, kostiumów, kolorów, dekoracji itd.

Porównując funkcję aktora w sztuce teatralnej do funkcji koloru w obrazie, Witkacy jeszcze dobitniej ilustruje tezę, że wszystkie składniki w sztuce mają służyć li-tylko celom artystycznym. To co się dzieje na scenie nie jest oparte na związku z logiką czy psychologią życiową. Układ i następstwo poszczególnych wypadków czy wypowiedzi nie ma związku z czynnikiem realnego czasu i przestrzeni. Te wszystkie „reguły” koncepcji teatralnej Witkacego, ta totalna „deformacja” wszystkich konwencji, dają w rezultacie całość stojącą często na pograniczu nonsensu, absurdu. Witkacy zastrzega jednak, że „nie chodzi nam tu o to, aby sztuka teatralna koniecznie była bezsensowna, tylko aby raz przestać się kępować dotąd istniejącym szablonem, opartym jedynie na życiowym sensie...”

Jest rzeczą naturalną, że podobnie jak wszystkie inne czynniki składowe, zasadzie deformacji podlega również język utworów Witkacego. Wydaje mi się, że Konstanty Puzyna, który widzi w nim głównie cechy surrealizmu, mówiąc, że jest to na ogół język „zupełnie zwyczajny”, że w dialogu nie ma szczególniejszego „braku sensu pojęciowych połączeń”, a wrażenie stylu surrealistycznego powoduje głównie fakt, że tym samym językiem mówią wszystkie postacie. „W rezultacie dialog ma stać tonacją... Poniważ tonacja ta nie zmienia się, choć w bieg akcji wplątują się postacie historyczne i fantastyczne... pogłębia się uczucie niesamowitości z gatunku *l'humour noir*”. Istotnie język dialogów w dramatach Witkacego jest w znacznej mierze „zwyczajny”, jednak element deformacji jest zbyt widoczny i zbyt konsekwentnie używany, aby można się zgodzić z twierdzeniem Puzyny, że „wszystkie postacie mówią zresztą tym samym niedbałym, a wcale wyrazistym językiem — językiem autora”. Przeciwnie, w wypowiedziach poszczególnych postaci przemieszane są z wyraźnie celową swobodą elementy różnych, często radykalnie sprzecznych kategorii słownictwa i stylu, nie zgoła nie mających wspólnego z socjalną i intelektualną pozycją mówiącego; książęta, hrabiowie, uczeni, artyści mogą posługiwać się językiem proletariatu, a czeladnicy szewscy językiem rozpraw naukowych, dyskusje o sztuce, metafizyce, polityce pełne są jakichś makabrycznych wyrażań, wulgaryzmów, sens przeplata się z nonsensem, patos z najtańszego rodzaju wygłupianiem się, monologi i połajanki pełne są wtrętów z języków obcych, z aktualnych artykułów i polemik artystycznych i naukowych a także neologizmów, nieraz wcale

udanych, tak że zasługiwałyby na włączenie do specjalnych słowników poświęconych zagadnieniu *mots à la mode*. Oczywiście nikt nie przeczy, że w stylu samego „autora” podobne zjawiska miały swoje miejsce, ale przecie w stopniu nie o wiele większym niż styl wielu jego rówieśników. W dramatach wszystkie te zabiegi językowo-stylistyczne są wyraźnie jednym z wielu sposobów deformacji artystycznej, która potęguje efekt „nierealności”, będący jedną z głównych cech „teatru czystej formy” w odróżnieniu od realistycznego „teatru życia”.

IV

Wspomniany poprzednio Daniel Gerould jest właściwie pierwszym krytykiem, który w swojej książce przedstawił pełny i wyczerpujący obraz twórczości oryginalnej Witkacego w świetle porównawczym i w oparciu o wnikliwą analizę strukturalną. Analiza ta prowadzi go do wniosku, że współzależność teorii i praktyki Witkacego jest na ogół bardziej bliska, niż to wielu krytyków uważa. Równocześnie widzi Gerould sztukę Witkacego jako z gruntu samorodną, niezależną od wszelkich prądów artystycznych. Ciekawe, że doszukując się sam w kilku sztukach pewnych dramaturgicznych zasad związanych z kubizmem, takich jak swoboda w traktowaniu czasu i przestrzeni, wieloplanowa perspektywa itd., pozostawia te obserwacje jako nie mające ogólniejszego znaczenia w estetyce Witkiewicza. Powołuje się w tym na autorytet sądu M. Porębskiego o negatywnym stosunku Witkacego do kubizmu. W swoich uwagach o elementach kubistycznych opiera się Gerould na pracy *Rococo to Cubism in Art and Literature*, której autor, Wylie Sypher, jako przedmiot analizy mającej ilustrować kubizm w dramacie wybrał głośną sztukę Pirandello: *Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora*. Otóż w moim przekonaniu Pirandello jako „model” teatru kubistycznego nie jest najszcześniejszym wyborem i to może być jednym z powodów, dlaczego zastosowanie analizy Syphera w rozbiore dramatów Witkacego nie skłania do ogólniejszych wniosków na temat jego stosunku do kubizmu. Wprawdzie obaj twórcy (w tym samym mniej więcej czasie) dążyli do stworzenia nowej koncepcji artystycznej, do „teatralizacji teatru”, ale Pirandello posługuje się w swoich transformacjach życiowo-teatralnych elementem iluzji i mistyfikacji, czemu prawdopodobnie zawdzięcza w pewnej mierze większą akceptację ogółu, a co obce jest koncepcji czystej formy Witkacego, polegającej na konsekwentnej deformacji, odrealnieniu wizji teatralnej.

Trudno powiedzieć, czy porzucenie przez Witkacego twórczości dramatycznej w połowie lat dwudziestych (wrócił do niej tylko

w *Szewcach*) było wyrazem uznania utopijności jego koncepcji. Dziś, po latach, w świetle współczesnych doświadczeń teatralnych i renesansu Witkacego, inaczej te sprawy wyglądają. Co zaś do podstaw jego teatru, to kto wie, czy nie można by zaryzykować twierdzenia, że przy wszystkich sprzecznościach, dziwactwach, oscylując między nonsensem a tragizmem jego wizji zagłady wszystkich indywidualnych wartości kultury, nie zrealizował Witkacy bardziej konsekwentnie niż inni artyści przynajmniej niektórych z najbardziej ambitnych celów estetyki kubizmu.

Zbigniew FOLEJEWSKI

Przygodne notatki o mowie

JĘZYK MÓWIONY I JĘZYK PISANY

Dwie daty można uważać za przełomowe w dziejach człowieka i jego języka. Pierwsza to powstanie języka mówionego, druga, wynalazek języka pisanego. O pierwszej z tych dat nie możemy wnioskować nic poza tym, że jest ona niewątpliwie równoczesna z datą pojawienia się człowieka „jako takiego”, czyli gatunku który nosi nazwę *homo sapiens*. Jeszcze w siedemnastym stuleciu wierzono, że powstanie człowieka (i mowy) nastąpiło w roku 4004 przed Chr. (Końcówą cyfry 4 wprowadził Kepler jako poprawkę na podstawie cyklu zaćmień słońca). Dziś, po wielu kolejnych odkryciach geologicznych i archeologicznych, odsuwano stopniowo tę datę coraz dalej i teraz sądzimy, że to przełomowe wydarzenie miało miejsce przed (co najmniej) trzema tysiącami latami.

Druga data — powstanie języka pisanego — jest w zasadzie łatwiejsza do ustalenia. Musiała bowiem pozostawić materialne ślady, które wystarczy odnaleźć (a także poznać).

Do najstarszych znalezionych (w Uruku) zapisów należą sumeryjskie teksty pisma „klinowego” na tabliczkach glinianych, z których najdawniejsze pochodzą z końca czwartego tysiąclecia przed Chr. Znalezione całe ich archiwa, łącznie wiele dziesiątków tysięcy tabliczek, zawierających co najmniej półtora tysiąca znaków, zarówno piktograficznych, przedstawiających uproszczone kształty opisywanych przedmiotów, jak ideograficznych, oznaczających brzmienie wyrazu lub morfemu. Co wskazuje, że jest to system języka pisanego już stosunkowo wysoko rozwinięty, wobec czego musiały istnieć wcześniejsze, bardziej prymitywne zapisy.

Ślady takich zapisów znajdowano na terenach, z których ple-

miona sumeryjskie przybywały do Mezopotamii, a więc w pierwotnych siedzibach ludów indoeuropejskich i na szlakach ich migracji. Istniejące wcale obficie i od wielu dziesięcioleci gromadzone w wielu muzeach świata, ślady takie rozpoznała prof. Denise Schmandt-Besserat. Najwcześniejsze z nich pochodzą z dziewiątego tysiąclecia przed Chr., co znaczy że od owego czasu do tabliczek z klinowym pismem w Uruku okres rozwoju był długi. Ponad pięć tysięcy lat. Prawie tyle samo czasu minęło od chwili, kiedy w Uruku pisano owe tabliczki do dnia dzisiejszego.

Owe ślady to licznie znajdowane (w tysiącach egzemplarzy) małe bryłki wykonane z gliny i wypalone, mające wymiar 1-2 cm. Znajdowane masowo na wykopaliskach w dolinach Eufratu i Indusu (i wielu innych miejscach) pochodzące z okresów od dziewiątego do drugiego tysiąclecia i mające rozmaite kształty: kuliste, stożkowate, sześciennie, cylindryczne, piramidalne itp. Naliczono dwadzieścia kilka różnych kształtów. Niektóre przekłute jak paciorki, inne poznaczone na powierzchni liniami prostymi, falistymi itd. W muzeach oznaczano je rozmaicie: „amulety”, „zabawki dla dzieci”, „pionki do gry”, „pociski do procy”.

Prof. Schmandt-Besserat (w roku 1973) zwróciła uwagę na gliniane kuliste naczynia o średnicy 8-12 cm, szczelnie zalepione, które zawierają wewnątrz całe grupy takich bryłek. Niektóre z nich mają na powierzchni odciski w liczbie i kształtach, odpowiadających dokładnie zawartym wewnątrz bryłkom. Poza tym wśród setek tabliczek sumeryjskich (od lat w znacznej części jeszcze nie skatalogowanych i nie odczytanych w składach muzeów) odnalazła egzemplarze, na których symbole powtarzają dokładnie kształty bryłek glinianych, a z kontekstu można stwierdzić, że oznaczają zarówno liczebniki (od 1 aż do 36.000) jak rzeczowniki i przymiotniki. Owe bryłki gliniane stanowią zatem jakby pozycje w spisach przedmiotów dostarczonych do składu administracji grodu czy dworu władcy.

Jest to więc materialna reprezentacja wyrazów, a zatem prekursor języka pisanego. Dalszy rozwój oznaczeń potwierdza ten domysł. Znak bryłki staje się w piśmie klinowym najpierw symbolem *quasi*-piktograficznym, który niebawem upraszcza się w symbol oderwany, aby w dalszym rozwoju oznaczać dźwięk pierwszej sylaby wyrazu, dając się teraz używać do zapisywania imion i nazw. A w ostatecznym rozwoju liczba znaków sylabowych redukuje się do pojedynczych fonemów — powstają alfabety.

Tu można by wtrącić, że tym sposobem ze znaków piktograficznych, które jednakowo zapisują wyrazy o tym samym znaczeniu, choć różnie brzmiące w różnych językach, powstają znaki dźwięków, sylab i wyrazów różne dla różnych języków — i oto jest już „wieża Babel” — pomieszanie języków.

Każde z plemion indoeuropejskich posiadało wspólną znajomość rudymetów języka pisanego, rozwijającego się zapewne w stadium sylab, już w okresie powtarzających się (od szóstego tysiąclecia) fal wielkich migracji do i poprzez Mezopotamię i Anatolię na tereny Afryki i Europy. Różne plemiona (proto)hel-

leńskie, etruskie, łatyńskie, celtyckie, słowiańskie, i germańskie przechodzą kolejno poprzez tereny zajęte już przez Mittaninów, Ariów, Sumeryjczyków, Chaldecyjków i in. w Azji Mniejszej, kierując się na tereny europejskie. Z tych różne zapóźnione grupy neandertalów, które się wycofywały wraz z ustępującymi lodowcami, tak samo jak nieliczne grupy ludów paleolitu z rasy *homo sapiens*, nie wytrzymując konkurencji gospodarczej z przybyszami, powoli ginęły lub hybrydyzowały się, stapiając się ze szczepami przybyszów. (Początkowo zapewne jako późniewolnicza siła robocza). Indoeuropejskie szczepy górowały nad nimi wyłącznie doskonale rozwiniętym językiem, który decydował o nieosiągalnej dla kultur paleolitu sprawności gospodarczej i organizacyjnej wraz z przyspieszonym tempem rozwoju technik hodowlanych, rolniczych i przemysłowych.

Zarówno trasy jak terminy wędrówek tych plemion w Europie są wciąż jeszcze różnie przedstawiane przez archeologów. Dane na których się opierają są skąpe, niekiedy sprzeczne lub wiodące do kontrowersyjnych wniosków, pozostawiając obszernie pole do domysłów i hipotez. Jednak ostatnio przyczynkowe dane, choć wciąż jeszcze ułamkowe, zdają się zdecydowanie odsuwać daty pierwszych migracji ludów indoeuropejskiego pochodzenia na okresy sprzed tysiącleci, a szlaki wędrówek poprzez Anatolię i cieśniny Dardaneelskie. Można też sądzić, że w tym okresie integracja plemienna była jeszcze stosunkowo luźna i dużo mniejsza niż szczepowa, zaś zróżnicowanie tych szczepów było znacznie mniejsze kulturalnie i językowo niż gospodarczo i społecznie. Tu zakres różnic był duży, nawet w granicach tego samego plemienia istnieć zdają się gradacje od szczepów wciąż jeszcze zasadniczo koczowniczych (myśliwskich i szperekich) i półkoczowniczych (pasterskich i wojowniczych), po szczepy osiadłe (rolnicze, rolniczo-hodowlane i rzemieślniczo-przemysłowe).

Przybysze zajmowali tereny stosunkowo dość puste, zaludniając głównie doliny rzek i bezleśne tereny podgórskie w liczbach nie przekraczających ułamka „osoby statystycznej” na kilometr kwadratowy przestrzeni dostępny dla osadnictwa. Skupiska były niewielkie, przejściowe, powstałe, lub stałe i nie obejmowały zazwyczaj dużo więcej niż kilkanaście rodzin.

Szczepy bałto-słowiańskie, niezróżnicowane bodaj do ostatnich stuleci przed naszą erą, wędrowały poprzez Bałkany i wzdłuż dolin Prutu i Donu oraz Dźwiny aż do wybrzeży Bałtyku. Szczepy słowiańskie z wcześniejszych migracji osiadały wśród plemion greckich na północnych krańcach ich zasięgu, oraz obok szczepów etruskich, łatyńskich i celtyckich w dolinach między podgórzami Apeninów i Alp. Liczne i w dużym stopniu zróżnicowane szczepy celtyckie z innej, może najwcześniejszej fali migracyjnej, zaludniały wraz ze szczepami słowiańskimi obszerną dolinę Dunaju, a same rozprzestrzeniały się także na daleki Zachód, po wybrzeża Oceanu zarówno w Galii, jak na półwysep Iberyjski oraz na wyspy Brytyjskie (gdzie znajdują się już w drugim tysiącleciu przed Chr.).

Szczepy germańskie, głównie myśliwskie i rybackie, zajęły tereny południowych i zachodnich wybrzeży Bałtyku z półwyspem Jutlandii i wyspami Zelandii, skąd szybko przedostały się do Skandynawii.

W okresie ostatniego tysiąclecia przed Chr. i pierwszych wieków naszej ery niektóre plemiona germańskie wracają na południe wzdłuż dolin Renu i Odry, a plemiona Gotów wędrują wzdłuż Wisły i Bugu do brzegów Morza Czarnego, gdzie niebawem ich masa rozpadnie się na dwie grupy plemienne: Wizygotów i Ostrogotów (tj. Gotów Zachodnich i Wschodnich).

Międzyplemienne rywalizacje i nieporozumienia między szczepami celtyckimi i słowiańskimi oraz powracającymi z północy Germanami nasilają się w drugiej połowie ostatniego tysiąclecia przed Chr., w okresie zagęszczającego się zaludnienia i narastających trudności gospodarczych związanych z cyklem zmian klimatycznych. Ale przede wszystkim kiedy ostre i ze zmiennym powodzeniem prowadzone walki między plemionami celtyckimi i łatyńskimi na półwyspie Apenińskim przedostają się na tereny zaalpejskie, a rozbudowujący się imperialny organizm Latynów usiłuje wyzyskać gospodarczo plemiona osiadłe w dolinie Dunaju, korzystając przy tym na zmianę z pomocy Germanów przeciwko Celtom i Słowianom lub z pomocy tychże przeciwko Germanom. W tym okresie rozwiniętej już tzw. kultury Tisza, plemiona słowiańskie i celtyckie z Pannonii zaczynają organizowanie mniej lub więcej obronnych osiedli na podgórzach Karpatów i Sudeatów.

Wreszcie najazd szczepów tursko-tatarskich i ugrofińskich pod wodzą Hunów (w IV stuleciu naszej ery), a potem Awarów (w 6 stuleciu) spowodował zasadnicze przewroty. Mieszkańcy Pannonii zostali częściowo wymordowani, lub byli jako niewolnicy używani do ciężkich posług gospodarczych i wojennych oraz sprzedawani w krajach bliskiego i dalekiego Wschodu, a częściowo ratowali się ucieczką. Celtowie na Zachód, a Słowianie na południe do Ilirii i Dalmacji oraz na północ poza łańcuchy gór karpaccich i sudeckich. Wprawdzie i tam sporadycznie sięgali Awarowie (tzw. po polsku Obrzy) rabując, ściągając haracze i chwytając niewolników, ale ich władza będzie trwać już stosunkowo niedługo. W południowych częściach dolin Bugu, Wisły i Odry nie więcej niż 50-60 lat, w północnych częściach tylko jakieś 20-25 lat. W tym też okresie różne szczepy słowiańskie, zwłaszcza wzdłuż wybrzeży bałtyckich i w dolinach dopływów Wisły, Nysy i Łaby, łączyły się w większe organizmy obronne, częściowo bodaj pod wpływem przedsiębiorczych witezów ze szczepu duńskich Wikingów. Wreszcie w VIII wieku armie Karola Wielkiego, z udziałem różnych plemiennych grup (był tam także jakiś słowiański książę Wojnimir) zadały tak decydującą klęskę hordom Awarów, że w istocie od tego czasu znikają oni z widowni historii.

Na terenie Bałkanów z niedobitków słowiańskich oraz resztek szczepów tatarskich i chazarskich powstają różne organizmy państwowe pod patronatem Bizancjum. W Pannonii Frankowie po-

parli organizacyjne wysiłki Madziarów, a równocześnie, na północ od Węgier powstają zaczątkowe organizmy państwowe różnych plemion pra-polskich i pra-czeskich.

Grupy kapłańskie (pogańskie) Słowian i Celtów, które przynajmniej do najazdu Hunów blisko się z sobą kontaktowały i współpracowały, utrzymywały tradycję przekazywania ważnych tekstów kultowych i historyczno-dziejowych wyłącznie w żywej mowie. Tematy mitologizowane dziejów i „bohaterskie” opowiedane były przez bardów, których dziedziczne klany zazdrośnie strzegły swych przywilejów. Tematy kultowe były przechowywane wyłącznie w pamięci dziedzicznych grup kapłańskich. Ale na terenach zamieszkałych przez plemiona proto-słowiańskie znajdowano przedmioty z napisami. Są to stylizowane figurki ludzkie, być może wota dziękczynne lub błagalne. Napisy na nich są zbyt krótkie, a okazy zbyt nieliczne, aby umożliwić próby odcyfrowania. Znaki przypominają zarówno sylabowe pismo babilońskie jak nieodczytane dotychczas napisy na pieczęciach „osobistych”, znajdujących wcale licznie w dolinach Indusu i Eufratu, w Sumerii, Babilonie, Dilmunie i innych miejscach pobytu plemion pochodzenia indoeuropejskiego.

Klany kapłańskie nie tylko znały pismo, ale miały dla niego co najmniej trzy alfabety. Każdy z nich zawiera znaki w grupach po pięć symboli. Jeden z nich, alfabet „palcowy” służył nie do pisania, ale do bezgłośnego porozumiewania się kapłanów w obecności osób, które nie miały znać treści ich rozmów. Poszczególne dźwięki wskazywane były palcem jednej ręki (albo nosem, brodą, łaską itp.) na jednym z czterech miejsc każdego z pięciu palców drugiej ręki (tj. na trzech stawach i czubku palca). W pewnym stopniu przypomina to dzisiejsze alfabety głuchoniemych.

Drugi alfabet (nazywany obecnie „Ogam” od imienia celtyckiego boga wymowy, Ogma) składał się z kresiek krótkich i długich, nacinanych prostopadłe i ukośnie do podłużnej rysy wzdłuż drewnianego pręta. Znajomość tego alfabetu u Słowian można wnosić stąd, że czcili oni tego samego boga wymowy, którego słowiańskie imię brzmiało zapewne „Gorma”, zanotowane przez kronikarzy bizantyjskich u plemion serbskich i macedońskich w postaci „Gorman”. W sprawie pochodzenia trzeciego, najlepiej znanego alfabetu „runicznego”, istnieją liczne a kontrowersyjne teorie. Są jednak dane, że alfabet ten mógł być skonstruowany w tym samym okresie, co alfabety starogreckie (chalcedyjski i sabellicki) oraz etruski. Późne teksty ryte tym alfabetem na kamieniach są najliczniej zastawione (lub zachowane) na terenach skandynawskich plemion germańskich. Według ułamkowych danych można wnosić, że istniały jeszcze inne odmiany alfabetów. Brak danych aby stwierdzić, czy były to alfabety różnych klanów, czy też służyły do specjalnych tematów lub celów.

Pismo było stosowane przez grupy kapłańskie (a może i bardów) różnych ośrodków kultowych do porozumiewania się w sprawach międzyplemiennych, administracyjnych, osobistych itd. Jako materiału pisemnego używano płyty kory brzozonej albo

płytki drewniane, gonty. (Wyraz „gont” może pochodzić z *ie. nom-, nem-*, sanskr. *nadi* „rozszczepiać” poprzez celtycki wyraz *go-nadd* złożony z *go* „część” i *nadd* „szczapa”, a znaczący „wiór” albo „cienki ciosany płat drzewa”). Pisano zaś „pisidłem” (nazwa przetrwała do końca XV wieku) sporządzanym z sadzy rozartanej z „sokiem drzewnym” (albo ciemnym sokiem owoców chebdu).

Należałoby przypuszczać, że teksty, przynajmniej z okresu ostatnich stuleci przed Chr. i pierwszych stuleci naszej ery, mogły się zachować i dałyby się odnaleźć. W Anglii znajdowano liczne płytki drewniane z okresu okupacji rzymskiej, które po prostu wyrzucano jako „odpadki snycerskie”. Dopiero w 1973 roku na wykopalisku Vindolandy (na murze Hadriana) na jednej z takich płytek drewnianych zauważono jakieś ślady barwnika i przy uważniejszym zbadaniu okazało się, że jest to ślad pisma. Stwierdzono też, że po wystawieniu na działanie powietrza takie ślady szybko „wietrzeją” i po godzinie czy dwu są całkowicie stracone. Ale na świeżo odkopanej płytce, wyglądającej często jak nieco grubszy wiór, ślady pisma można chemicznie wzmocnić i utrwalić. Z takich płytek odcyfrowano już sporo prywatnych listów o dużej wartości historyczno-społecznej. (Alan K. Bowman, „The Roman Writing Tablets from Vindolanda”, wyd. British Muzeum, 1983). Przez brak rozpoznania mnóstwo podobnego materiału zmarnowano na wcześniejszych wykopaliskach. Czy taki sam materiał nie był w ten sam sposób utracony i w Polsce? Na przykład na wykopaliskach prawdopodobnych osiedli kapłańskich przy zabudowaniach kultowych w okolicy Kruszwicy, w górach Świętokrzyskich i innych miejscach? Niejednokrotnie znajdowano tam gonty, wióry i płyty kory brzozonej. Czy za przykładem Vindolandy nie dałoby się w nowych wykopaliskach archeologicznych w Polsce odnaleźć i zachować podobny materiał, który może pozwoliłby wskazać system dźwiękowy i gramatyczny pra-polskich dialektów języka pisanego? Nawet ułamkowe dane tego rodzaju stanowiłyby cenny wkład dla wypełnienia luki w znajomości dziejów naszego języka od czasów sanskrytu do okresu historycznego.

Naturalnie nie ulega wątpliwości, że nawet we wczesnym okresie język pisany musiał się różnić od języka mówionego. Tak samo jak różni się i dziś.

Jedną z funkcji języka mówionego jest akt porozumienia, zarówno relacjonowania jak rozkazywania, w którym cechą wypowiedzi jest celowość, a narzędziem słownik i gramatyka. Drugą funkcją mowy jest spontaniczne (albo zamierzone) wyrażanie stanu emocji, do czego służą pozasłownikowe elementy mowy. W procesach mówienia i pisania żadna z tych funkcji nie jest wyłączna. Występują one wspólnie, ale w zmiennym stosunku. W języku pisanim funkcja celowości wypowiedzi ma decydującą przewagę, często niemal graniczącą z wyłącznością (z wyjątkiem poezji, która w istocie jest zapisanym językiem mówionym).

W języku mówionym wyrażanie emocji gra dużą rolę, a przy tym język ten operuje większym bogactwem środków znaczeniowych. Obejmuje duży zakres gestykulacji, zarówno ruchowej,

jak ważniejszej jeszcze, dźwiękowej, w postaci zmian tonacji, natężenia głosu oraz rytmu. Rytm, tak samo jak tonacja (i łącznie z nią) może modyfikować semantyczną wartość wypowiedzi w bardzo szerokim zakresie. A nadto działa na czynniki psychofizyczne, np. na tempo pulsu oraz ogólny poziom procesów biochemicznych (hormonalnych) związanych ze stanem emocjonalnym słuchacza (zwłaszcza zmasowanego). Wreszcie artykulacja wypowiedzi, szczególnie mówionych z emfazą, zawiera również ultradźwiękowe pasmo fal akustycznych. Te zaś, choć nie spostrzegane świadomie, podobnie jak dźwięki harmoniczne tonów muzycznych, zmieniają barwę wypowiedzi, działając bezpośrednio na układ sympatyczny systemu nerwowego, przez co wpływają na nateżenie stanów emocjonalnych aż do objawów patologicznych. Stwierdzono na przykład, że u ludzi mających zwiększoną wrażliwość na fale ultradźwiękowe, np. u astmatyków, osób z gorączką sienną czy innymi objawami alergii, emocjonalnie naładowane wypowiedzi (zwłaszcza rodziców lub przełożonych) mogą spowodować wybuch ataku choroby.

Te zasadnicze cechy języka mówionego sprawiają, że stosowanie słownictwa i gramatyki jest w nim zarówno swobodniejsze, jak różne gatunkowo. W słownictwie języka mówionego, a więc w swobodnej wymianie zdań, rozmowie towarzyskiej, rodzinnej itp. nie spotyka się wyrazów „książkowych”, ograniczone jest użycie rzeczowników abstrakcyjnych, natomiast w szerokim zakresie występują wyrażenia idiomatyczne, kalki, przysłówia i porzekadła. Także wyrazy regionalne i gwarowe. Jest też w nim statystycznie znaczące większe użycie czasowników z imiesłowami i przymiotnikami. Stosowane są przeważnie zdania proste, ale równocześnie zaciera się granica między zdaniami i powstają „łańcuchy” wypowiedzi, tym bardziej charakterystyczne, że składowe zdania są częstokroć niepełne, eliptyczne, pozbawione podmiotu lub orzeczenia, które wyznacza sytuacja, kontekst środowiskowy lub znak gestykulacyjny. Wypowiedzi są przetykane wyrażeniami fatycznymi, jak „proszę pana”, „widzicie”, „słucham”, „a właśnie”, „co znowu” itp. Ostatnio językoznawcy zwrócili uwagę na szczególną odmianę języka mówionego, jaką stanowi komunikacja telefoniczna. Charakteryzuje ją swoista struktura, semantyka i frazeologia, zastępująca brak wizualnego kontaktu i kompensująca mechaniczne zniekształcenia głosu.

W zakresie ogólnonarodowym język mówiony cechuje obfitość dialektów, narzeczy i gwar, a także mniej lub więcej rozwiniętych hybrydnych żargonów (np. polsko-rosyjski, polsko-żydowski itd. w Kraju, polsko-francuski, polsko-amerykański, polsko-portugalski itp. w grupach emigracyjnych). Język pisany nie rejestruje większości tych odmian mowy.

Giną w nim bez śladu liczne dialekty i gwary, których cechy charakterystyczne znajdują się w zakresie fonologii i wyrażają się głównie akcentem tonalnym i wyrazowym, artykulacją i intonacją. W piśmie te różnice wyrównywane są ortografią. W języku pisanym (literackim) dialekty i gwary pojawiają się wyjątkowo jako np. „cytowane” wypowiedzi w utworach beletry-

tycznych, albo jako eksperymentalne teksty konstruowane np. w narzeczu góralskim, kaszubskim itd. lub nawet w „gwarach” syntezowanych, czy wręcz sztucznych („wiechy”).

Język pisany przedstawia dialekt kulturalny, jedną z najważniejszych odmian języka potocznego (czyli ogólnonarodowego lub etnicznego). Dialekt kulturalny jest dialektem elity społeczeństwa, jego grupy przywódczej zarówno w zakresie działalności gospodarczej i społecznej jak (może przede wszystkim) kulturalnej i artystycznej. Nie tylko aktualnej ale i historycznej, co nadaje mu cechę ciągłości dziejowej i w znacznym stopniu hamuje procesy zmian, jakie w języku zachodzą, a które można uważać za ewolucję, albo za objawy rozkładu i zepsucia — co zresztą, zgodnie z poglądem Jana Jakuba Rousseau (aby nie wspomnieć Platona) może być równocześnie i jednym i drugim.

Spośród bogactwa dialektów, narzeczy i gwar języka mówionego tylko trzy dialekty, których cechy charakterystyczne ograniczają się do zakresu leksyki, występują stale w języku piśmym. Są to mianowicie: dialekt naukowo techniczny, dialekt kancelaryjny, który ma dwie odmiany — prawniczą i urzędniczą, oraz gwara partyjno-polityczna. Te odmiany dialektyczne mają sporo cech wspólnych, a nabierają coraz większego znaczenia z wzrostem centralizowania się i biurokratyzowania ustrojów gospodarczo-społecznych. Zaś gwara partyjno-polityczna nabiera nieproporcjonalnie wielkich wpływów w ustrojach tzw. „autorytarnych” czy jawnie totalitarnych i bywa opisywana (na wprost ironicznie, a głównie wrogo) jako „nowo-mowa”, co jest terminem kalkowo spolszczonym z orwellowskiego *Newspeak*.

Zwraca uwagę, że ludzie, którzy przy dzisiejszym układzie społecznym w wielogodzinnej pracy zawodowej stale stosują język pisany, częstokroć wydają się „gubić” swój język mówiony i nawet poza środowiskiem zawodowym nie „mówią” swych wypowiedzi, ale je „wygłaszają” czy „wykładają”, jakby czytali tekst pisany. Coraz częściej też mówcy w organizacjach społecznych, na zebraniach zrzeszeń zawodowych, sportowych czy konferencjach prasowych po prostu odczytują przemówienia z kartki. Nawet nie z pół-ukrywanej wstydliwie „ściągaczki”, ale z jawnie przekładanych arkuszy. (Choć ostatnio rozpowszechnia się zwyczaj, np. w wystąpieniach telewizyjnych, korzystania z tablicy ustawionej niewidocznie dla widzów oglądających i słuchających mówcę na ekranie. Wtedy przemawiający zdaje się patrzeć prosto na słuchaczy i przemawiać „językiem mówionym”, i coraz częściej z wyraźnym zabarwieniem dialektycznym). Natomiast rzeczywiste tradycyjne elementy języka mówionego w dialekcie (czy narzeczu) kulturalnym, sięgające tradycji bardów, czyli inaczej guślników-gęślarzy, w mniej lub więcej wyrafinowanej postaci przechowują się w prawdziwych utworach poetyckich (choć i tu rozpanoszyła się moda zawikłanych intelektualnych „gier”, rozpowszechnianych niegdyś przez francuską grupę „Oulipa” czy petersburskich „formalistów”).

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Michaił Gorbaczow przekonał wszystkich, że jest gospodarzem. W dniu otwarcia XXVII Zjazdu KPZS — 25 lutego 1986 — wygłosił nieskończone długie, pięcio i półgodzinne przemówienie. W dniu zamknięcia Zjazdu — 6 marca — odczytał listę wybranych przezeń osobiście współpracowników, z którymi poprowadzi do celu Związek Sowiecki, obóz socjalistyczny i wszystkich, których uda się złapać po drodze.

Studwudziestonicowe przemówienie Gorbaczowa jest jednym z najbardziej drętowych i jałowych tekstów, jakie kiedykolwiek wygłosili przywódcy sowieccy. Zdają sobie sprawę, że jest to wysokie wyróżnienie i zaraz mogą się posypać sprostowania: a Breżniew? A Czernienko? Przeczytawszy jednak co do jednego pięćset tysięcy składających się na przemówienie słów (podliczyli je Amerykanie), obstają przy swojej ocenie.

W przemówieniu Gorbaczowa łatwo wyodrębnić stałe składniki wszystkich przemówień zjazdowych wszystkich generalnych sekretarzy od jego osobistego wkładu. Nietykalna od czasów Stalina tradycja wymaga, aby przemówienie składało się z trzech części: sprawy międzynarodowe, polityka wewnętrzna, zagadnienia partyjne. Gorbaczow nie odstąpił od reguły, ale w odróżnieniu od Breżniewa w 1981 roku poświęcił znacznie więcej miejsca sprawom wewnętrznym aniżeli polityce zagranicznej. Wynika to z dwóch powodów.

Pierwszy dotyczy polityki zagranicznej. Na XXV Zjeździe w 1976 roku Breżniew z dumą obwieścił „zwycięstwo rewolucyjnej walki ludów” w Wietnamie, Laosie, Kambodży i Angoli. Na XXVI Zjeździe w 1981 ponownie wyliczył „zwycięstwa rewolucji w Etiopii, Afganistanie i Nikaragui, obalenie antynarodowego, monarchicznego reżymu w Iranie”. Generalny sekretarz chwalił się: „Zwężała się sfera imperialistycznych rządów na świecie”. Gorbaczow nie ma się czym pochwalić. Nie tylko dlatego, że sprawuje władzę dopiero od roku i nie zdążył „zwezić sfery im-

perializmu”, ale i dlatego, że od 1981 roku nie tylko nie odnotowano ani jednego „zwycięstwa rewolucji”, ale zwężyła się nieco — o Grenadę — sfera rządów socjalistycznych.

Drugi powód uprzywilejowania polityki wewnętrznej jest innej natury. Dla zaznaczenia prawomocności swych rządów Gorbaczow musi (wzorem wszystkich swoich poprzedników) surowo osądzić działalność swojego poprzednika i ogłosić się bezpośrednim następcą Lenina. Gorbaczow tak właśnie zrobił: z poprzedników wymienił wyłącznie Lenina i bezlitośnie potępił wewnętrzną politykę Breżniewa.

Przemówienie swe rozpoczął jak mowę pogrzebową: „Inercja, zastępte formy i metody rządzenia, spadek dynamizmu pracy, narastająca biurokracja... W życiu społeczeństwa zaczęły występować zjawiska przestoju”. Zdaniem mówcy — a w ślad za nim wszystkich pozostałych — zastój zaczął się w latach 70-tych i objął pierwszy okres lat 80-tych, tzn. lata rządów Breżniewa. Niektórzy mówcy poszli jeszcze dalej. Pierwszy sekretarz KC Uzbekistanu rąbał bez ogródek: „Rdza rozkładu i wyrodnienia przeżarła liczne, obdarzone najwyższymi pełnomocnictwami kadry”. Mowa była przede wszystkim o Uzbekistanie, ale 4.993 zgromadzonych delegatów (7-miu nie stawilo się z ważnych powodów) wiedziało doskonale, że to samo można powiedzieć o wszystkich pozostałych republikach sowieckich, a także o nieboszczykach — poprzednikach Gorbaczowa.

Zaczawszy więc w żałobnym tonie, Gorbaczow przeszedł następnie do zapowiedzi nadejścia Zbawiciela. Powtórzył mianowicie (zapewne nieświadomie) słynny monolog Piotra Stiepanowicza Wierchowienieńskiego, jednego z głównych biesów z powieści Dostojewskiego. Po zabójstwie Szatowa Wierchowienieński oznajmia mordercom: „Waszym powołaniem jest tchnąć życie w zmurszałą i zaśmierzdłą od zastoju sprawę”. Taką wersję znalazłem w sowieckim wydaniu „Biesów” z 1957 roku. W przedrewolucyjnych wydaniach zdanie to brzmi: „Waszym powołaniem jest tchnąć życie w zmurszałą i zaśmierzdłą od zastoju partię”.

Gorbaczow zaczyna od odważnej krytyki przeszłości: „Sytuacja wymagała zmian, ale w centralnych organach, a nawet w terenowych, zaczęła brać górę szczególna psychologia: jak by tu poprawić sytuację niczego nie zmieniając”. Po przeczytaniu ostatniego zdania przemówienia trzeba przyznać, że nikt nigdy lepiej nie zdefiniuje wystąpienia Gorbaczowa: na stu dwudziestu stronicach wyłożył program naprawy sytuacji bez zmieniania czegokolwiek. W 1981 Breżniew żądał intensyfikacji, kompleksyzacji, planifikacji, centralizacji, przybliżenia nauki do życia. Gorbaczow żąda centralizacji, planifikacji, a na dodatek przyspieszenia, szczególnej uwagi wobec czynnika ludzkiego i nowej technologii.

Sekretarz moskiewskiego komitetu partii, Borys Jelcyn, pozwolił sobie zapytać, ile razy można popełniać te same błędy i ignorować nauki przeszłości. Odpowiedzi nie uzyskał, bowiem przywódcy „dojrzałego socjalizmu” o naukach przeszłości mówią tylko wtedy, kiedy uznają za konieczne wspomnieć o błędach przeszłości.

Sądząc po wystąpieniach głównych tenorów i szeregowych mówców, z nauk przeszłości szczególnie interesują Gorbaczowa nauki profesora Stalina. Wskazywały na to już jego pierwsze wystąpienia po objęciu władzy, przemówienie zjazdowe tylko potwierdziło, skąd nowy generalny sekretarz czerpie natchnienie. Wskazują na to stale wplatywane cytaty (bez podania autora), otwarcie podejmowane hasła, zapowiedź stosowania wiadomych metod.

Dość przytoczyć kilka przykładów. W ubiegłym roku tylko w czterech republikach czystka w aparacie partyjnym sięgnęła najwyższych sfer — tzn. zmieniono pierwszych sekretarzy. Jeśli nie liczyć Szewardnadze, którego z Gruzji posłano do Moskwy na stanowisko ministra spraw zagranicznych, sekretarzy KC Uzbekistanu, Turkmenii i Kirgizji zdjęto z hukiem (uzbecki sekretarz zdążył w porę umrzeć, zdemaskowano go pośmiertnie).

Rozkład azjatyckich kompartii aż do samego szczytu przypisuje się temu, że Moskwa utraciła kontrolę, a także zbyt ufała dożywootnym lokalnym przywódcom, którym udało się przekupić drugich sekretarzy (pochodzenia słowiańskiego). Nowi pierwsi sekretarze republik środkowo-azjatyckich prosili na Zjeździe o jedną jedyną rzecz — uważniejszą kontrolę Moskwy. Jegor Ligaczow obiecał w imieniu KC KPZS zwiększyć kontrolę, podkreślając, że nikt i nic nie powinno wymykać się kontroli, nadzorowi i krytyce.

Na zawsze chyba pozostanie tajemnicą, czy dzień wystąpienia przewodniczącego KGB Czebrikowa wybrano przypadkowo. W dniu 3 marca 1986 Czebrikow oświadczył niespodziewanie, że ostatnimi czasy zdemaskowano w wielu ministerstwach agentów imperialistycznych wywiadów, a także renegatów, sprzedających zachodnim służbom specjalnym ważne tajemnice. Ponieśli oni zasłużoną surową karę. Oświadczenie to jest zaskakujące nie tylko dlatego, że agenci wśliznęli się „do wielu ministerstw”, ale także dlatego, że równo czterdzieści dziewięć lat wcześniej, 3 marca 1937 roku, towarzysz Stalin powiedział dosłownie to samo: „roboty agentów zagranicznych wywiadów... przeniknęła w mniejszym lub większym stopniu do niemal wszystkich naszych organizacji, zarówno gospodarczych, jak i administracyjnych i partyjnych”. Jak tu nie przypomnieć, że wspomniany wyżej Piotr Wierchowienieński, apelując o „tchnięcie nowego ducha w sprawę (partię)” zapowiedział: „Zostało jeszcze wiele tysięcy Szatowych”.

Monolog Wierchowienieńskiego pasowałby jak ulał do XXVII Zjazdu, tym bardziej, że Gorbaczow pochwalił organy bezpieczeństwa za „dobrą pracę” i wyraził przekonanie, że „zawsze staną na wysokości stawianych im wymagań...”.

I wreszcie należy zwrócić uwagę na przemówienie Jegora Ligaczowa, zajmującego stanowisko Głównego Ideologa. Tylko Ligaczow rozliczył się — jednym zdaniem — z przeszłością: „W przeszłości... bywały u nas i 'mrozy', i 'odwilże', a nam potrzebna jest stale po prostu ładna pogoda”.

Ligaczow podkreślił „szczególne znaczenie postępu naukowo-technicznego” zwłaszcza dla „wyposażenia organizacji ideologicznych”. Partię oczekuje „trudne zadanie stworzenia w naszym kraju nowoczesnej, potężnej bazy technicznej dla ideologii...”. Informatyka i elektronika mają pomóc w nasileniu pracy ideologicznej, ale jej treść pozostaje bez zmian. Ligaczow zażądał powrotu do podstaw „nauki historii KPZS”.

Nieprzypadkowo, jak lubił mawiać towarzysz Stalin, dokładnie w przeddzień Zjazdu *Prawda* i *Izwestia* opublikowały artykuły poświęcone poprzednikowi Ligaczowa, którego ten ostatni wybrał sobie najwidoczniej za patrona, mianowicie Andriejowi Żdanowowi. Artykuły o działaczach epoki stalinowskiej ukazują się zazwyczaj albo w *Prawdzie*, albo w *Izwestiach*. Tym razem dziewięćdziesięciolecie urodzin akuszerza realizmu socjalistycznego odnotowały oba centralne organy, chwając Żdanowa za działalność w dziedzinie kultury sowieckiej, za „nowy impuls dla propagandy i nauczania marksizmu-leninizmu” oraz za „teoretyczne uzasadnienie dalszego pogłębiania się ogólnego kryzysu kapitalizmu”. Żdanowowi gazety przypisują też „niezwykłe uzdolnienia, szczególnie dar przywództwa politycznego”, co nie pozostawia dla czytelników najmniejszych wątpliwości, że w osobie najwierniejszego z wiernych opiewa się samego Wodza — Stalina.

Część przemówienia Gorbaczowa poświęcona polityce zagranicznej różni się od odpowiedniego rozdziału Breżniewa nie tylko tym, że Leonid Iljicz poświęcił polityce zagranicznej znacznie więcej miejsca. W 1981 roku generalny sekretarz szczegółowo mówił o sytuacji w poszczególnych rejonach świata oraz wystawił świadectwa wszystkim krajom socjalistycznym (o Polsce powiedział, że „zostały [w niej] zagrożone podstawy państwa socjalistycznego” i zapewnił, że „socjalistycznej, bratniej Polski nie opuścimy w biedzie...”).

Gorbaczow zaczął od teorii. Oświadczywszy, że „marksowska analiza poraża... trafnością i głębią”, zwłaszcza w XX wieku, wyliczył trzy grupy sprzeczności w świecie, dosłownie cytując (bez podania źródła oczywiście) Stalina. W 1924 roku Stalin w książce „Podstawy leninizmu” wymienił sprzeczności między państwami obu systemów (sześćdziesiąt lat temu nie było jeszcze systemu, ale był już ZSSR), wewnątrz obozu kapitalistycznego, między imperializmem a krajami i narodami rozwijającymi się (sześćdziesiąt lat temu nazywało się je krajami kolonialnymi i zależnymi). Wychodząc z teoretycznego założenia, że kapitalizm „bezustannie rodzi agresywną, awanturniczą politykę”, Gorbaczow poświęcił główną część rozdziału o polityce zagranicznej stosunkom sowiecko-amerykańskim, tj. stosunkom z głównym wrogiem. Krajem europejskim przypadł zaledwie jeden akapit, w którym nazwano je „ruchem europejskim”, a krajem socjalistycznym trzy akapity pod wspólnym tytułem „Pakt Warszawski” i „Kraje RWPG”. Mają one za zadanie zwiększyć integrację. Oddzielny akapit przypadł „socjalistycznym Chinom”, nazwanym „wielkim sąsiadem”.

Przez cały rok, a szczególnie od szczytu w Genewie, Zachód czekał na „krok” Gorbaczowa w Afganistanie. Generalny sekretarz powtórzył na XXVII Zjeździe dosłownie to, co zostało powiedziane na XXVI: wojska sowieckie wyjdą z Afganistanu „kiedy tylko zostanie osiągnięte polityczne porozumienie, które zapewni i odpowiednio zagwarantuje rzeczywiste zaprzestanie zbrojnej interwencji z zewnątrz w wewnętrzne sprawy Demokratycznej Republiki Afganistan”.

Drugie główne przemówienie wygłosił na Zjeździe prezes Rady Ministrów ZSSR Nikołaj Ryżkow. Czytelnik znajdzie w nim znane mu od dawna fakty: plan pięcioletni nie został wykonany, tempo wzrostu spada itp. Nikołaj Ryżkow — jak wszyscy — doskonale wie, dlaczego: „W swoim czasie nie uwzględniono zmienionej sytuacji ekonomicznej, związanej z wyczerpaniem się możliwości ekstensywnego rozwoju”. Ryżkow wie wszystko, ale krytykować wolno mu — podkreślając, że to nie my, to kolega — tylko poprzedników.

Dwie główne wady systemu sowieckiego ilustrują dwa fakty. Na jeden powołał się w przemówieniu zjazdowym pierwszy sekretarz KC Łotwy, B. Pugo. Łotewscy konstruktorzy „opracowali... komplet sztuców”. Przed oddaniem do produkcji sztucce posłano do zatwierdzenia do Swierdłowska. Tam mieści się centralny urząd zajmujący się między innymi sztucami. Urząd ryskich tyżek nie zatwierdził: niezgodne ze standardami.

Drugie wydarzenie zrelacjonowała *Literaturnaja gazeta* z 5 lutego 1986. Naczelnny inżynier przedsiębiorstwa transportowego A. B. Szigajew potrzebował pompy — bez pompy ani rusz nie mógł wykonać planu. Straciwszy nadzieję na zdobycie jej legalnie, Szigajew kupił pompę za 500 rubli w innym przedsiębiorstwie. Sąd w Moskwie skazał go na sześć lat łagru o obustronnym rygorze.

Pierwsze zdarzenie jest przykładem centralizacji. Drugie — planowania. Gorbaczow i Ryżkow z naciskiem domagali się zwiększenia centralizacji i planowania. Zarazem zaproponowali drobne poprawki, w niczym nie zmieniające stalinowskiego modelu gospodarki.

Odpowiedź na pytanie „jak poprawić sytuację, niczego nie zmieniając?” pozostaje ta sama co zawsze. Nie ruszać niczego, co mogłoby zachwiać podstawami władzy partii, a konieczną (głównie dla przemysłu wojskowego) technikę sprowadzać z Zachodu. Ryżkow oznajmił, że „niepohamowana pogoń za importowaną techniką i technologią, jaka ogarnęła licznych dyrektorów przedsiębiorstw, wpływa demoralizująco na kolektywy ‘opracowujący’”. „Opracowujące”, tzn. konstruktorzy, „pasują przed trudnościami” i nie chcą niczego opracowywać: zresztą w sowieckich warunkach (np. braku pomp) jest to bardzo trudne, a ponadto po co się starać, skoro tam gdzie należy i tak przysła importowaną technikę. Ryżkow przyznaje, że „daleko nam do tego, by nie wykorzystywać owoców międzynarodowego podziału pracy i wymiany naukowo-technicznej...”.

Jest oczywiste, że sowieccy konstruktorzy nie mają Zachodowi niczego do zaferowania. Potwierdził to i Czebrikow. Mówiąc o tajemnicach, na które polują bez chwili wytchnienia „amerykańskie spec-służby”, przewodniczący KGB wyliczył tajemnice polityczne, wojskowe, gospodarcze, a na ostatnich miejscach naukowe i techniczne.

Zjazd zakończył się jak zawsze wyborami organów kierowniczych. Słowa „wybory” używam w rozumieniu sowieckim: delegaci na Zjazd jednomyślnie przegłosowali przedstawione im propozycje. W drugiej połowie lat 20-tych Stalina nazywano „wielkim dozwolniczym”. To samo można powiedzieć o Gorbaczowie: tam, gdzie wchodzi prawdziwa władza, rozprawia się z konkurentami bezlitośnie, tam gdzie chodzi o stanowiska dekoracyjne, jest pełen łaskawości. Na przykład do KC wybrano ponownie wielu „weteranów”, którzy stracili już wszelkie znaczenie. Gorbaczow pokazuje w ten sposób, że jest „ludzki” i że KC nie odgrywa decydującej roli w polityce. Do Biura Politycznego natomiast wprowadził trzeciego „super-sekretarza”, Lwa Zajkowa, od czerwca 1985 sekretarza KC. Od marca 1986 stanowi on wespół z Gorbaczowem i Ligaczowem kierowniczą trójkę. Generalny sekretarz jest w niej pierwszym wśród równych, tzn. znacznie „równiejszym” od pozostałych.

Jedyną niespodzianką było w „wyborach” wprowadzenie do sekretariatu KC Anatola Dobrynina. Dobrynin był od 1962 roku ambasadorem w Stanach Zjednoczonych, a i przedtem spędził około dziesięciu lat w rozmaitych misjach dyplomatycznych, także w USA. W skład sekretariatu KC po raz pierwszy wszedł dyplomata, który niemal ćwierć wieku spędził za granicą.

Podział funkcji w sekretariacie KC nie jest jeszcze znany. Na emeryturę posłano Konstantyna Rusakowa, który zajmował się partiami komunistycznymi u władzy, i Borysa Ponomariowa, który był w 1937 roku członkiem Komitetu Wykonawczego Kominternu, a od 1952 roku kierował międzynarodowym ruchem komunistycznym. Pora już była najwyższa, żeby ich zmienić — w przeciwnym razie partie komunistyczne (u władzy i rwące się do niej) zupełnie straciłyby orientację. Na razie wiadomo tylko jedno — że Gorbaczow w kwestiach polityki zagranicznej będzie mógł wybierać między ministrem spraw zagranicznych i członkiem Biura Szewardnadze, który nie ma zielonego pojęcia o dyplomacji, oraz sekretarzem KC Dobryninem, zawodowym dyplomata. Towarzysz Stalin też lubił zlecać tę samą sprawę kilku wykonawcom.

W 1981 roku na XXVI Zjeździe wszyscy mówcy wychwalali geniusz, mądrość, umiłowanie pokoju itp. Breżniewa. W 1986 roku uczestnikom XXVII Zjazdu wydano instrukcję: generalny sekretarz życzy sobie być skromnym. Jednak dawne przyzwyczajenia trudno wykorzystać: chwalili i Gorbaczowa, często wspominając „pierwszy dzień nowej ery” — kwietniowe plenum z 1985 roku, na którym ukoronowano nowego *genseka*. Przewodniczący Związku Filmowców, Lew Kulidżanow, w twórczym porywie bezustannie powtarzał: tow. Gorbaczow nas uczy, tow. Gorbaczow wskazuje nam drogę... Wreszcie generalny sekretarz nie wytrzymał

i przerwał mówcy: „Przestańcie odmieniać nazwisko generalnego sekretarza we wszystkich przypadkach”. Niezrażony Lew Kulidzanow podchwycił: oto kolejna nauczka towarzysza Gorbaczowa...

Towarzysz Gorbaczow na serio zamierza dać nauczkę Związkowi Sowieckiemu, obozowi socjalistycznemu i całej ludzkości.

Adam KRUCZEK

10 marca 1986

Kronika niemiecka

W roku 1985 wysłano z RFN do Polski mniej paczek niż w roku poprzednim. Centralna placówka poczty w Hanowerze podaje, iż w roku ubiegłym wysłano 1.249.870 paczek, podczas gdy w roku 1984 było ich o 169.077 więcej. ■ *I Zjazd Stowarzyszenia „Wisła-Odra”* jako jeden z trzech głównych kierunków działalności wyznaczył stowarzyszeniu: „Upowszechnianie problematyki niemieckojęzycznej w dwóch aspektach: przyjaźni z NRD i kontaktów z postępowymi siłami RFN w kształtowaniu współistnienia i współpracy”. Oczywiście na czele tego Stowarzyszenia stanął Edmund Męcłowski [„Dziś niestety takie czasy, że jesteśmy bardzo zaniepokojeni stanem świadomości Polaków (chodzi o problematykę zachodniemiecką — przypisek A.J.Ch.) i chcemy coś zdziałać, by ten stan naprawić. (...) Z jednej strony nasza propaganda przedstawia te sprawy prymitywnie, z drugiej strony zeszyły one jakby z pola czujności narodowej. To groźne”]. ■ W Autonomicznej Republice Komi żyje 13 tys. Niemców (w 1939 — 2,6 tys.); Tatarów jest tam 18 tys. (w 1939 — zaledwie 600); Rosjan aż 634 tys.; „inne narodowości” — 51 tys. ■ W Düsseldorfie otwarta została wielka retrospektywna wystawa dzieł malarskich Jankiela Adlera (1895-1949), artysty pochodzącego z Polski (z Tuszyna). Zmarły w Anglii Adler był ekspresjonistą. ■ Z okazji odznaczenia kustosa Muzeum Oświęcimskiego Tadeusza Szymańskiego (b. więźnia Oświęcimia) medalem *Fundacji im. Theodora Heussa*, prezydent RFN Richard von Weizsäcker wystosował do niego list, w którym wyraził mu wdzięczność za upowszechnianie prawdy o hitlerowskim ludobójstwie. ■ W Berlinie Zachodnim odbył się wieczór autorski Leszka Szarugi, zorganizowany staraniem *Neue Gesellschaft für Literatur* w *DAAD-Galerie*. Autor czytał swe wiersze, następnie zaś odpowiadał na pytania dotyczące m.in. „drugiego obiegu” literatury w Polsce. ■ W lutym przebywała w Berlinie Zachodnim znana tłumaczka literatury niemieckiej, Małgorzata Łukasiewicz, która w czasie kilku spotkań autorskich urządzonych przez *Neue Gesellschaft für Literatur* omówiła sytuację literatury w kraju, przedstawiając m.in. poezję Zbigniewa Herberta oraz dorobek „drugiego obiegu”. ■ Film Agnieszki Holland *Gorzkie żniwa*, produkcji zachodniemieckiej, otrzymał nominację do *Oscara*. Obrazy do filmu kręcone były w Berlinie Zachodnim (zaledwie 3 tygodnie i za bardzo małe pieniądze). ■ NRD-owska wielka firma *Carl Zeiss (Jena)* otworzy w Poznaniu nowoczesny zakład optyczny, wyposażony w urządzenia do wykonywania okularów, szlifowania szkieł oraz gabinet lekarski do badania wzroku. Podobny zakład otwarto wcześniej w Moskwie (dostępny jedynie dla *nomenklatury!*). ■ *Medale Zasługi NRD* otrzymali PRL-owscy propagandyści Eugeniusz Guz, Daniel Lu-

liński, Edmund Męcłowski i Marian Podkowiński. ■ „Książka ta jest cennym wzbogaceniem naszej biblioteki polonistycznej, a jej lektura dostarcza dużej satysfakcji intelektualnej” — napisała Sigrid Mosser w zamieszczonej we wschodniobierlińskim tygodniku *Sonntag* obszernej recenzji poświęconej *Ferdydurke*. Powieść Witolda Gombrowicza ukazała się niedawno w NRD nakładem wydawnictwa *Volk und Welt* (przekład Waltera Tiela). ■ Jak podaje prasa zachodniemiecka, podpisany w 1985 roku kontrakt z *Polską Żegluga Bałtycką* na budowę przez stocznię *Kockums* w Malmö promu kolejowego (20 tys. BRT) został zerwany przez Szwedów. Polacy nie mieli czym zapłacić rat zaliczkowych; bezpośrednie straty, jakie poniesie stocznia *Kockums* oblicza się na ponad 1,3 mln dolarów. Teraz Szwedzi budują promy dla RFN-owskiej firmy *Malmö-Trave Line*. Promy podejmą pracę na linii Malmö-Travemünde. ■ Zachodniemiecki *CARITAS* przekazał do Polski w 1985 roku 2.548 ton różnego rodzaju darów o łącznej wartości 12 mln marek. Cała pomoc przekazana została do dyspozycji *Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski*. *CARITAS* pragnie w bież. roku zwiększyć dostawy lekarstw i sprzętu medycznego dla Polski. ■ Wymiana handlowa PRL - NRD wyniosła w 1985 roku 2.015,4 mln rubli i była wyższa o 9,7% w stosunku do 1984 roku. Nie nastąpiło jeszcze zrównoważenie obrotów. Dostawy z Polski wyniosły 928,4 mln rubli, a import z NRD — 1.087 mln rubli. ■ W NRD buduje się 12-13 mieszkań rocznie na 1.000 mieszkańców. Natomiast w Polsce budowało się, od końca lat 60-tych do grudnia 1981, ledwie 5-7, a w ostatnim 5-leciu — 4-5 lokali na 1.000 mieszkańców rocznie. ■ W Berlinie Zachodnim odbyła się premiera prasowa 60-minutowego filmu dokumentalnego *Wyzwolenie Oświęcimia (Die Befreiung von Auschwitz)* zachodniobierlińskich producentów Irmgardy i Bengta von zur Mühlen. ■ Według *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* ok. 100 tys. Niemców czeka na wyjazd ze Związku Sowieckiego. W 1985 roku przybyło stamtąd do RFN zaledwie 460 Niemców. ■ Polscy celnicy odkryli na przejściu granicznym w Olsztynie (woj. zielonogórskie) w transporcie darów przeznaczonych dla parafii św. Jana Bosko w Poznaniu a wysłanych przez niemiecką parafię katolicką w Kressbronn (nad Jeziorem Bodeńskim), nie wpisane do dokumentów przewozowych „materiały zagrożające bezpieczeństwu PRL”: powielacz, papier, kalkę i farbę do powielania. Ks. Arno Baur z Kressbronn: „Włączyliśmy w ostatniej chwili do transportu podręczny powielacz, aby w polskiej parafii mogli na nim powielać materiały dydaktyczne do nauki religii”. ■ *Powiedziane po niemiecku* — to tytuł radiowego kursu języka niemieckiego rozgłośni *Deutschlandfunk* (Kolonja). Lekcje nadawane są w niedziele na falach krótkich w pasmach 25 i 31 m (godz. 20.00 - 20.30) oraz w czwartki na falach średnich w paśmie 195 m o godz. 19.45. *Deutschlandfunk* wysyła bezpłatnie podręczniki do kursu (*DLF*, Postfach 51 06 40, D-5 Köln 51). Łączny czas audycji *DLF* w języku polskim wynosi 2 godziny 35 minut. Ostatnio rozgłośnia podaje informacje o działalności polskich skupisk emigracyjnych w krajach zachodnioeuropejskich (*DLF* rozgląda się za korespondentem — od spraw polskich — w Londynie). ■ Według danych zachodniobierlińskiego urzędu statystycznego dostawy z PRL osiągnęły w 1985 roku poziom w granicach 480-490 mln marek. Stanowi to ok. 6% ogólnej wartości importu towarów do Berlina Zachodniego, bez dostaw z RFN i NRD. Udział firm polonijnych w eksporcie odzieży do Berlina Zachodniego sięga 10%. Euforia jednak opada, ponieważ nie wszystkie firmy okazały się rzetelnymi partnerami. ■ Ambasada RFN w Warszawie udzieliła w ub. roku obywatelom polskim łącznie 375.554 wiz (pobytowych i tranzytowych), tj. o 50 tys. więcej niż w 1984 roku. Na miejscu, w RFN, obywatele polscy napotykają obecnie na ogromne trudności z przedłużeniem wizy pobytovej. Pozostaje albo wracać w wyznaczonym terminie, albo prosić o azyl. Skończyły się taryfy ulgowe wobec Polaków. ■ *Pobył*, ostatnia książka Hermanna Kanta, znanego pisa-

rza NRD, napisana w 1978, a w Polsce wydana dwa lata temu, ciągle wzbudza wśród krajowych krytyków znaczne kontrowersje. Kant jako młody żołnierz *Wehrmachtu* trafił do niewoli i jako jeńiec wojenny spędził cztery lata w Polsce. Posadzony omyłkowo o morderstwo, przebywał dwa i pół roku w polskim więzieniu śledczym. ■ Przeciwno czystce na wyższych uczelniach w Polsce zaprottestowała niemiecka organizacja studencka *RCDS*, związana z *Chrześcijańskimi Demokratami (CDU)*: „Trzeba wykorzystywać wszelkie kontakty z polskimi uczelniami dla wspomagania prześladowanych studentów i pracowników naukowych”. ■ Wiceprzewodniczącym *Komisji Praw Człowieka ONZ* został delegat NRD, Hermann Klenner, którego kandydaturę zgłosił delegat sowieckiej Białorusi. Klenner jest b. członkiem *NSDAP* (w roku 1944, dokładnie 20 kwietnia, w dniu urodzin Hitlera — otrzymał legitymację partyjną noszącą nr 945/6141. Po wojnie wstąpił do *SED* i zrobił karierę jako profesor prawa międzynarodowego). ■ Na moście Glienicke (Berlin-Wansee) wymieniono trzech agentów wywiadów zachodnich i 37-letniego rosyjskiego działacza na rzecz obrony praw człowieka, Anatolija Szczańskiego, na pięciu szpiegów wschodnich wywiadów (*Trybuna Ludu*: „wywiadowców z państw socjalistycznych”). Do Polski powrócił 34-letni Jerzy Kaczmarek alias Heinz Peter Arnold (przebywał w RFN od 1978 roku i pracował w bremeńskim *Biurowie d/s Przesiedleńców i Obco krajowców*; aresztowany pod zarzutem szpiegostwa w marcu 1985 roku), którego wartość przetargową podniosła PRL, nadając mu stopień podpułkownika polskiego wywiadu. Dalsze niuanse z komunikatu *PAP-u*: szpieczy zachodni „odsadywali wyroki w państwach socjalistycznych” a „wywiadowcy” z tych państw byli „więźni w krajach kapitalistycznych”... ■ W miejscowości Wunsiedel (Bawaria) doszło z inicjatywy miejscowych działaczy *Centrum Młodzieżowego* i monachijskiego oddziału związków zawodowych (*DGB*) do spotkania, którego głównymi tematami były: historia powstania *Solidarności*, obecna sytuacja tego związku oraz położenie więźniów politycznych w PRL. Prelegentami byli redaktor Wiesław Wawrzyniak i b. stoczniowiec ze *Stoczni Gdańskiej*, Bogdan Żurek. Spotkanie, na które licznie przybyła niemiecka młodzież, połączone z wystawą plakatu solidarnościowego. Trzy i półgodzinny polski wieczór w Wunsiedel zakończył się wyświetleniem filmu *Robotnicy '80*. ■ Dr Geri Nasarski, młoda dziennikarka (ur. w Polsce), autorka kilku książek o naszym kraju, obejmie obowiązki korespondentki II programu zachodniemieckiej TV w Warszawie. ■ W 1985 roku ogólna wartość wymiany handlowej RFN-PRL zamknęła się sumą 5,9 mld marek (1984 — 5,1 mld DM). Zachodniemiecki eksport do Polski wzrósł o 28 %, natomiast dostawy polskich towarów do RFN zaledwie o 3 %. 80 % towarów Niemcy sprzedają Polsce wyłącznie za gotówkę. Republika Federalna jest największym zachodnim wierzycielem Polski. ■ Spórą frekwencją cieszy się otwarta w bibliotece *Uniwersytetu Katolickiego* w Eichstätt (Bawaria) wystawa *Prawo do wolnego słowa*, która prezentuje książki wydane w podziemiu, prasę niezależną, znaczki *Poczty Podziemnej*, plakaty i kartki pocztowe (obejmuje okres od grudnia 1981 do grudnia 1985). Starannie wydany w języku niemieckim katalog ułatwia zwiedzającym zapoznanie się z celami i sensem walki polskiej opozycji demokratycznej. Po otwarciu wystawy przez dyrektora Biblioteki, dr. Hermanną Holzbauer, zebrani wysłuchali referatu prof. Władysława Bartoszewskiego pt. *Rola wydawnictwa podziemnych w najnowszej historii Polski*. Po wykładzie zwiedzano wystawę, a rolę cicerone pełniła Nina Kozłowska, która obok Anatola Kobylńskiego i Witolda Pronobisa była głównym inicjatorem i organizatorem ważnej ze względów politycznych wystawy. ■ Dalsze odczyty i wykłady prof. W. Bartoszewskiego: w *Haus der Begegnung* w Ratybonie — *Die polnische Tradition des Widerstandes (Polskie tradycje ruchu oporu)*; na *Wydziale Historii i Nauk Społecznych Uniwersytetu Katolickiego* w Eichstätt — *Der polnische Untergrundstaat 1939-1945 (Polskie*

Państwo Podziemne 1939-1945). ■ Delegacja warszawskiego *Komitetu d/s Radia i Telewizji* (Miroslaw Wojciechowski, prezes, oraz dyrektorzy Aleksander Perczyński i Zbigniew Napierała) nawiązała w Moguncji kontakty z siecią telewizyjną *ZDF* (II program), które w przyszłości mają przybrać taką samą formę współpracy, jaka już istnieje z kolońską rozgłośnią *Westdeutscher Rundfunk*. Polska TV zakupiła przed laty od *ZDF* i nadaje seriale kryminalne *Derrick*, *Alte (Stary)* i *Fall für zwei (Sprawa dla dwóch)* oraz pokażną ilość filmów przyrodniczych. Wkrótce widzowie polscy zobaczą na szklanych ekranach kiepowaty serial *Schwarzwald-Klinik (Klinika z Czarnego Lasu)*. Już wkrótce ekipa ekspertów *ZDF-u* uda się do Warszawy dla ostatecznego ustalenia form i zasięgu przyszłej współpracy. ■ Artykuły ukraińskich i polskich autorów zostały zamieszczone w specjalnym zeszycie ukraińskiego kwartalnika *Sučasnist'* (Monachium - Nowy Jork), wydanym w języku polskim przez *Ukraińskie Towarzystwo Badania Spraw Zagranicznych*, a poświęconym najnowszej historii stosunków ukraińsko-polskich. Starannie przygotowany zeszyc redagowali: Stanisław Barańczak, Piotr Naimski, Frank Sysyn i Roman Szporluk (Müllerstr. 33, Rgb. D-8000 München 5). ■ Frankfurcka *CV-Akademie* urządziła w Goslar trzydniowe seminarium poświęcone sprawom polskim. Referaty Polaków: Andrzej Wirga (Moguncja) — *Powstanie, oddziaływanie i przyszłość Solidarności*; Kazimierz Wóycicki (Kolonia) — *Zmiany w Polsce i ich wpływ na stosunki z Niemcami*. ■ Nakładem *Westkreuz-Verlag* (Berlin - Bonn) ukazała się bogato ilustrowana książka Eugena Oskara Kossmanna pt. *Deutsche mitten in Polen. Unsere Vorfahren am Webstuhl der Geschichte (Niemcy w centrum Polski. Nasi przodkowie przy krosnach historii)*. Kossmann jest łodzianinem. Na początku lat 60-tych był *attaché* kulturalnym w wiedeńskiej ambasadzie RFN. Utrzymał w tym czasie bardzo bliskie kontakty z polskimi pisarzami, publicystami i politykami ze środowisk katolickich. Mówiło się nawet o „polskim salonie dr. Kossmanna”. ■ Obecnie przygotowywane jest polsko-zachodniemieckie *II Forum Młodzieży*. W związku z tym do Kolonii przybyła 10-osobowa delegacja przedstawicieli *ZMS*, *ZMW*, *ZHP* i *ZSP*. Ze strony niemieckiej partnerami Polaków byli delegaci *Młodzieży Niemieckiego Czerwonego Krzyża*, socjalistycznej organizacji *Die Falken (Sokoły)* oraz związków młodzieżowych skupionych wokół *Kościola Ewangelickiego*. Mimo prawie zbieżnej ideologii niczego konkretnego nie uzgodniono, poza tym że dojdzie do następnego, 21-go spotkania. I chyba tylko o to chodzi. ■ W Polsce przebywała z wizytą wiceprzewodnicząca frakcji parlamentarnej *SPD* w *Bundestagu*, Anke Fuchs. Towarzyszył jej Helmuth Becker, członek tej samej frakcji. Niemiecy socjaldemokraci zostali przyjęci m.in. przez Alfreda Miodowicza, przewodniczącego nowych związków zawodowych (*OPPZ*). Anke Fuchs sondowała możliwość nawiązania kontaktów przez *Niemieckie Związki Zawodowe (DGB)* z *OPPZ*. Z komunikatu wynika, iż posłanka do *Bundestagu* była „pod wrażeniem działających w PRL nowych oficjalnych związków zawodowych”. Anke Fuchs stwierdziła, że chociaż działalność zakazanej *Solidarności* „pozostawiła niezniszczalne ślady”, to jednak jej rozmówcy z *OPPZ* „wykazali wiele rozsądku i posiadają rozległe horyzonty polityczne”. ■ Mało kto wie, że w nazistowskim *Reichu* 14 polskich seminarzystów mogło studiować w *Seminarium Duchownym* w Fuldzie, dzięki odwadze ówczesnego ordynariusza abpa Johanna Dietza i rektora *Seminarium*, bpa Eduarda Schicka. Polacy zostali przyjęci na studia w 1940 roku na prośbę bpa Adamskiego, ordynariusza diecezji katowickiej. Gestapo wielokrotnie domagało się ich wydania.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Litewska prasa emigracyjna zaczęła poświęcać dużo uwagi polskim opiniom na temat wzajemnych stosunków. Krajowy *Znak* zamieścił kilka artykułów w oparciu o prace litewskich historyków. W artykułach tych nie ma często spotykanych w innych opracowaniach sformułowań, w których „Jagiello jest przedstawiany jako pół-dziki poganin, biskup Matulaitis nazywany jest 'Litwomaniem', a św. Kazimierz polskim królewiczem. Zastuga chrztu Litwy jest przypisywana w równej mierze Jagielle i Witoldowi, przy udziale polskiego kleru”. Cytowane jest krajowe podziemne wydawnictwo *Nasze Wiadomości*, wykazujące, że Polska nie może odzyskać prawdziwej niepodległości, póki nie będą wyzwolone Litwa, Białoruś i Ukraina. Tylko wspólna walka narodów uciemnionych może dać pozytywne wyniki. Inne polskie wydawnictwo, *My i nasi sąsiedzi*, uspakaja litewską emigrację, że niepotrzebnie obawia się polskich żądań obalenia Jałty, co miałyby uprawniać do odzyskania Wilna. W polskim ruchu podziemnym nie ma żadnej poważnej organizacji domagającej się zwrotu Wilna i Lwowa. Przeciwnie, polskie podziemie żąda dostosowania granicy prowincji kościelnych do obecnych granic państwowych. Komentarz litewski: należałoby przypomnieć polskiemu podziemiu, że polski rząd w Londynie żąda unieważnienia nie tylko Jałty, ale układu litewsko-sowieckiego z roku 1939, przekazującego Wilno Litwie. Wydawana w Krakowie *Arka* podała w tłumaczeniu artykuł litewsko-amerykańskiego sowietologa S. Vardysa z *Problems of Communism*. Ponadto sprawy polsko-litewskie omawiane są w kraju w np. w piśmie *Krytyka* oraz na emigracji w *Zeszytach Historycznych* (Siemaszki i Olity), *Kulturze*, *Zeszytach Literackich* i *Związkowcu*. Cytowane są tam wrażenia z Wileńszczyzny dominikana Hanka-Ligowskiego, który stwierdza, że stosunek władz do polskich księży jest nieco lepszy niż do litewskich, gdyż zezwalają na istnienie chóru i biblioteki parafialnej. Przy kościołach wileńskich są napisy w trzech językach, przy czym tekst rosyjski jest uzupełniony ostrzeżeniem, że do kościołów nie można wchodzić w czapce, hałasować, jeść ani pić. Do grobów królewskich w podziemiach katedry mogą wchodzić tylko zagraniczni turyści, ale nie tubylcy. W Wilnie jest dużo nielegalnych zakonnic. Największy ucisk katolickiego kościoła istnieje w Republice Białoruskiej. Na Litwie jest 10 % Polaków, 60 % Litwinów, reszta Rosjanie i Białorusini. Polsko-kanadyjski dominikanin twierdzi, że w Wilnie łatwiej można się rozmówić po polsku niż po rosyjsku, bo Litwini niechętnie mówią po rosyjsku. W Ostrej Bramie nadal widać liczne składane vota, wciąż jeszcze najliczniejsze polskie. Najobszerniej Litwini omawiają książkę K. Podlaskiego pt. „Białorusini, Litwini, Ukraińcy — nasi wrogowie czy przyjaciele”, rzucającą światło na polski punkt widzenia stosunków polsko-litewskich, przedstawiany zdaniem Litwinów obiektywnie, bez przemilczania popełnionych błędów. (Dodajmy, że o ile zdarzają się polskie głosy „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”, to takich głosów litewskich nie było).

Wobec zainteresowania tym tematem ogłoszono relację pewnego naocznego świadka, który po zesłaniu do Rosji w 1962 roku powrócił do Wilna, a w 1976 roku wyjechał do Polski, a potem do USA. Powiada on, że w Wilnie jest sporo polskiej inteligencji, zwłaszcza nauczycielstwa w czterech polskich szkołach średnich. Dobrze przedstawiają się zespoły estradowe. Polacy w Wilnie stanowią hermetycznie zamkniętą grupę. Np. z okazji przyjazdu artystów z Polski wielkie sale są pełne publiczności, lecz Litwini nie są

tam zapraszani, toteż mało są zorientowani w wewnętrznych stosunkach polskiej grupy.

Tygodnik litewsko-kanadyjski *Teviskes Žiburiai* z 8 października 1985 zamieścił artykuł J. Prunskisa pt. „Wrogowie przyszłości to nie Polacy”. Znamienna jest data ukazania się artykułu — 65-ta rocznica układu suwalskiego i zajęcia przez gen. Żeligowskiego Wilna, co dorocznie dawało okazję do zapewnień, że Polacy byli, są i będą wrogami Litwy. Autor nawiązuje do tej rocznicy przypominając, że Wilno przeżywało później jeszcze inne okupacje, ale żadna nie była tak okrutna, jak obecna sowiecka. Rząd sowiecki w 1945 roku poćwiartkował Wileńszczyznę, większą jej część przydzielając Białorusi, a „trójkąt suwalski” Polsce. Reszta przypadła Litwie, ale sowieckiej. Najgorzej Litwinom jest w Republice Białoruskiej. Nie mają swojej prasy, nie mogą nawet prenumerować pism z Litwy, nie mają szkół, a dyplomy z Republiki Litewskiej nie są uznawane; nie mają też nabożeństw litewskich. Z Republiki Białoruskiej najtrudniej jest wyjechać za granicę. Tamtejsi Litwini są zapomniani i przemilczani przez emigrację. Wydaje się, że litewskość tam ginie i że ziemię tę są już nie do odzyskania.

W „trójkącie suwalskim” i w Polsce Litwini lepiej żyją niż w Republice Litewskiej. Ani jeden Litwin z Polski nie chce repatriować się na Litwę. W polskiej części Litwy Litwini mają swoje szkoły, nawet gimnazjum, organizacje, nabożeństwa, Domy Litewskie, w których odbywają się uroczystości i zabawy. Redaktorka litewskiej gazety jeździła na Litwę, by ukończyć studia lituanistyki. Litwini w Polsce mogą otrzymywać prasę z zagranicy. ■ Jeśli idzie o obcokrajowców, to obecnie na Wileńszczyźnie najwięcej jest Rosjan, potem idą Białorusini i Polacy. Ilość Rosjan i Białorusinów wciąż wzrasta wskutek napływu ze wschodu, a ilość Polaków zmniejsza się wskutek wynarodowiania, głównie przez mieszane małżeństwa, wymieranie starych, repatriację do Polski, która legalnie i nielegalnie wciąż się odbywa. Polacy nie mają żadnego dopływu, ani ze wschodu ani z zachodu.

To nie Polacy mogą zagrażać Litwie, gdy w przyszłości odzyska niepodległość, lecz Białorusini. Nacjonalizm Białorusinów wzrasta, jak również ich apetyty terytorialne nie tylko na Wilno, ale i znacznie dalej. ■ Wśród liczących polskich wydawnictw nielegalnych zaczęły pojawiać się polskie tłumaczenia „Kroniki Kościoła katolickiego Litwy”, wydaje się, że robione z pewną znajomością polskich odpowiedników nazw litewskich używanych w oryginale. Kronika przynosi też tekst raportu pełnomocnika do spraw religii o sytuacji w republice litewskiej na dzień 1 stycznia 1984 roku, obejmując również inne wyznania, o czym dotychczas było mało wiadomości. W republice zarejestrowane są 764 grupy dziesięciu rejestrowanych wyznań i dwunastu nierejestrowanych grup. Grupy te obsługuje 767 pracowników kultu. W 1983 roku mniej więcej 35 % ludności korzystało z obrządków religijnych, chrztów i pogrzebów. Śluby w kościołach brało 22 % młodocześców. Katechizacja objęła 18.325 dzieci, a bierzmowano 20.366.

Staroobrzędowcy. Istnieją 52 grupy. Na czele ich stoją komisja duchowna i rada naczelna. Obsługują 23 duchowni (43 % w wieku ponad 80 lat). Większość parafii jest pozbawiona obsługi. Niekiedy zastępują kobiety znające pismo staro-słowiańskie. Przeważnie są to małe skupiska. Większe są jedynie w Wilnie, Kownie i Kłajpedzie, gdzie na większe święta zbiera się do tysiąca osób. Ślubów było 8, pogrzebów 289, chrztów 398.

Rosyjski kościół prawosławny. Biskupstwo wileńskie ma 41 parafii, 33 duchownych, z których jedna trzecia w wieku poniżej 40 lat. Arcybiskup Wiktoryn. Do cerkwi wileńskich przychodzi w większe święta 600 osób. W klasztorze św. Ducha mieszka 10 zakonników i 13 zakonnic. Ślubów 37, pogrzebów 579, chrztów 627.

Kościół luterancki, 25 wspólnot i dwie nierejestrowane grupy, 9 pasto-

rów. Konsystorz w Taurogach, biskup Kalvanas, 50 ślubów, 97 pogrzebów, 145 chrztów, przy tendencji zmniejszającej się.

Kościół reformowany. 5 grup, jeden pastor. Konsystorz w Birzach. 10 ślubów, 35 pogrzebów, 5 chrztów.

Muzułmanie. Są trzy wspólnoty mało aktywne, sędziwi duchowni bez specjalnego wykształcenia. W meczetach „ochrzczono” 14 dzieci, 7 ślubów, 21 pogrzebów. Zbiera się na święta 50-150 osób.

Judaizm. W Wilnie i Kownie są dwie gminy wyznaniowe. Rabina nie ma. Obrzędy odprawiane są przez samych wiernych. W synagodze wileńskiej w czasie tzw. „jesiennych świąt” zbiera się 350 wierzących. Wypiek macy 19.300 kilogramów.

Inne wyznania. Grupa religijna karaimów w Trokach praktycznie przestała istnieć. Nie ma nabożeństw ani obrządków.

Sekty. Rejestrowane są 4 grupy baptystów i jedna „pięćdziesiątników”.

O Kościele katolickim jest najobszerniej, ale o tym była już mowa nie raz w *Kronice Litewskiej*, więc poprzestańmy na głównych zarysach i ciekawostkach. Parafii było 630, a księży 639, ale 144 kościoły były bez księdza. Kleryków było 104, organistów 195, zakrystianów 145, sprzątaczy 190, stróżów 35, dzwonników 31 i palaczy sześciu.

Uczęszczenie do kościołów było liczniejsze niż w poprzednim roku. Na wielkie święta zbierało się w kościołach około 300 tysięcy, a na odpuszcie w Szydłowie — 37 tysięcy.

Działalność duchowieństwa jest uzależniona od dyrektyw Watykanu, toteż dużo jest o wypowiedziach papieża, czasem są szczegóły mało znane, np., że nowy generał jezuitów H. Kolvenbach jest uważany za wielkiego znawcę krajów socjalistycznych.

Są specjalne komisje kontroli wykonywania ustaw o kultach i zwalczania wykroczeń. W walce z tymi wykroczeniami stosowanie profilaktycznych i administracyjnych środków w stosunku do „religijnych ekstremistów” dało wyniki pozytywne. Niektórzy „ekstremiści” poświęcają dużo uwagi dzieciom i młodzieży, organizując dla nich specjalne nabożeństwa, chóry, pokazy filmów, choinki z rozdawaniem cukierków, wciągając do udziału w procesjach lub służeniu do mszy. Wielkim wykroczeniem jest uczenie dzieci religii. Wymienione są liczne miejscowości i wypadki pociągnięcia do odpowiedzialności, również za urządzenie procesji na cmentarz w wigilię Zaduszek. Najbardziej zawzięci „ekstremiści”, księża Svarinskas Tamkevicius i Bieliauskienė, zostali skazani za uprawianie antysowieckiej propagandy. Miejscowe władze ostrzegały 118 duchownych i 44 kościelnych aktywistów, oraz przeprowadziły 597 rozmów profilaktycznych. Pełnomocnik rady też przeprowadził setkę ostrzegawczych rozmów. Czasem komisje kontrolujące wykonywanie ustawy o kultach zaniedbują się w swych obowiązkach, np. nie wysyłają sprawozdań z treści wygłoszonych kazań lub nie podają nazwisk kaznodziejów, sprawozdań z przebiegu świąt wielkanocnych i innych. Mowa też jest o księżach nielegalnie wyświęconych w tajnych seminariach drogą korespondencyjną. Wyznaczani są oni przez biskupów, lecz wobec rozdziału Kościoła od państwa nie uprawnia ich to do pracy, i dlatego pod względem prawnym mogą być kwalifikowani jako włóczędzy, uchylający się od pracy i nie mający legalnych środków do życia. Godne uwagi jest, że nazwiska i dokładne adresy nielegalnych księży figurują w raporcie urzędu sowieckiego. Na liście tej jest 9 nazwisk o litewskim brzmieniu i ostatnie Tiskevic Ceslav Adamowicz, urodzony w 1917 roku, zamieszkały w Wilnie. W transkrypcji polskiej: Czesław Tyszkiewicz syn Adama. Z „Kroniki K. K. Litwy” dowiadujemy się, że aby być przyjętym do seminarium kowieńskiego, musi być stwierdzona lojalność względem państwa nie tylko kandydata, ale też jego rodziców. Ważne jest też, jak się ustosunkowywali przed ponad 40 laty do zmian politycznych w czasie wojny. ■ Pełnomocnik do spraw religijnych Anilionis zwołał konferencję dziekanów diecezji koszedarskiej, na

której wyraził niezadowolenie z racji obchodu 500-lecia bł. Michała Giedroycia, urządzonego przez miejscowego proboszcza w Giedroyciach w dniu 5 maja 1985 roku. ■ Na Litwie pojawił się nowy samizdat pt. *Juventus Academica*, wydawany przez Związek Młodzieży Litewskiej, nawiązujący do tradycji przedwojennej *Ateitis* o charakterze religijnym i patriotycznym. Pismo kładzie szczególny nacisk na obronę praw człowieka i na obowiązki moralne Litwinów, które w tej chwili wymagają heroizmu i poświęcenia. Toteż posyła podziękowanie prezydentowi Reaganowi i dysydentom sowieckim za wytrwałość w walce o obronę praw człowieka i prawa do niepodległości narodowej. *Juventus Academica* nawołuje, aby Litwini nie służyli w armii okupującej Afganistan i nie wykonywali rozkazów oficerów sowieckich.

E. ŻAGIELL

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

STEFAN HEYM

„COLLIN”

Str. ca. 260

ca. 25,— DM

Jedna z najsłynniejszych powieści odsłaniających kulisy życia nomenklatury Niemiec Wschodnich. Do dziś na indeksie w krajach bloku wschodniego. Pierwsze wydanie w języku polskim.

Do nabycia w księgarniach polskich na Zachodzie, lub bezpośrednio u wydawcy:

Veto Verlag Berlin, Richard-Wagner-Str. 39,
D-1000 Berlin 10.

Książki

Wieczna zmarłość

Wspomnienia Tadeusza Drewnowskiego „Tyle hałasu — o nic?”* są jak bryła lodu, przywieziona gdzieś zza Workuty. Ani jej stopić, ani się do niej nie da zbliżyć. Pozostają same dla siebie, niezrozumiałe i tajemnicze niczym wieczna zmarłość. Może to i zresztą dobrze. Inaczej utonęlibyśmy w bagnach kryjących się pod zewnętrzną powierzchnią lodu. A tak przynajmniej idziemy suchą nogą pośród zamarznętych pól. Nie chcę zresztą nadużywać metaforyki glacialnej, chociaż dobrze oddaje ona strukturę książki wybitnego krytyka. Zbioru niesamowitego w odślanianej przez siebie przeszłości i budzącego mimowolną grozę. Nie wiem, czy było to zamierzone przez autora, ale jedno mu się całkowicie udało — w sposób niemalże doskonały i przeźroczyście, to znaczy wolny od pisarskiej bezpośredniości opisu — ujawnił grozę czasu przeszłego, w którym brał udział, grozę naszej historii. Jakby bez udziału swojej woli przekazał nieskładany obraz. Świat redukcji i złamanych biografii, świat niewoli i potępieńczego braku miłości; rzeczywistość bez nadziei.

Drewnowski wybrał się do piekła, choć nie wiedział o tym a może i nie wie do dzisiaj. Piekła, gdzie był już niegdyś i z którego są jego początki. Jego, a i nas; jego, a i kultury stworzonej po 1945 roku. Autor „Ucieczki z kamiennego świata”, świetny publicysta i błyskotliwy krytyk, zachował szlachetność i naiwność młodości, wierzącego po dzisiaj swojej pierwszej i ostatniej zarazem miłości. Zrekonstruował na użytek publiczności czytającej obraz siebie rzuconego w przeszłość, młodszego o trzydzieści lat i porównał z sobą dzisiejszym. Pokazał rzadką jednorodność ludzkiego życia i myślenia i... powiało zimnem bieguna, którego sądząc po autorze nic nie zniszczy i żadne słońce nie ogrzeje. Bo też i słońcem jest sam dla siebie i słońcem jest

* Tadeusz Drewnowski, „Tyle hałasu — o nic?” Wspomnienia. Warszawa, Czytelnik 1982, str. 199.

dlań ideologia. Ona starcza za wszystko. Za myślenie i za uczucie, za duszę i za wiarę, za dobro i za innych ludzi. Całkowita samowystarczalność. Godna podziwu, ale i przerażająca w istocie autarkia. Wyłączenie siebie ze świata, choć światu chce się służyć; ze społeczności, choć o jej szczęście należy walczyć; z narodu, chociaż jego praw miałoby się bronić. *Porte-parole* Drewnowskiego przypomina dawno niewidzianą postać z historii, o której już zapomnieliśmy, jaką była i czego chciała. A przecież jak się okazuje ona wciąż żyje, jest obok, pośrodku, w głębi każdego z nas. Wdiera się naszym strach i trwoga, w godzinach udręczenia i męki, nadaje wyraz cierpieniu a czasami też i wygładza je wiedzą domniemaną o wszystkim. Zna odpowiedź na wszystkie pytania, z reguły zresztą nie pyta, bo i nie ma o co. Świat jest pusty. Rzeczywistość została wytłumaczona i opisana. Tajemnica znikła.

„Tyle hałasu — o nic?” są znakomitą, choć — powtarzam po raz wtóry — niechcianą dzieckiem postulatywnych doktryn z lat pięćdziesiątych. Świadectwem tego, czym jesteśmy, jaką kulturą oddychamy i po co tworzymy sztukę. Nie dla prawdy, a w imię zamknięcia siebie na nią — nie dla rozumu, a przeciw jego kategoriom. Po przeczytaniu szkiców wspomnieniowych Drewnowskiego można spytać z przestachem: więc to tak, aż tyle i tylko tyle? Nawet po latach nie można się zdobyć na dystans i odejść od siebie przeszłego i od czasu minionego. Wciąż usta zaciśnięte, a dukający głos przypomina przestraszonego ucznia wydającego lekcję przed tablicą. Profesora nie ma, cała klasa poszła na wagar, ale on stoi i mówi, co i jak powinien. Może nie potrafi inaczej, może nie chce, a może już takim uczniem pozostanie na zawsze. Myśl mu się nazwy ulic i zdarzenia, niemalże wszystko dałoby się opowiedzieć inaczej, bo i innym było. Nie taka Warszawa i nie taka Łódź, nie takie przyjaźnie i nie te zdrady.

A zresztą nie o brak obiektywizmu czy pomyłki w detalach mi chodzi, nie czepiam się filologii, gdyż słowa ukrywają tutaj brak mądrości. To filozofia jest nieprawdziwa, to nie Drewnowski filolog i literat przegrywa, ale historiozof i dialektyk. Opuszczony przez wszystkich, pozostał na brzegu nocy, gdzieś w półcieniu, niczym osieroczone dziecko, któremu zabrano wszystko, co miało. Rodziców i dom, wiarę i tradycję, ojczyznę i złudzenia, miłość i nadzieję. A w to miejsce dano atrapy i już na zawsze pozostał w ich władzy. Niczym protezą podparty o schemat doktryny, bez której nie umiałby żyć ani myśleć ani pisać. On krytyk, filozof, profesor, redaktor, pisarz. Zamienne role i wszystkie pełnione z godnością, rzetelnie wykonywane ku chwale innych, na pożytek kraju. A przecież sprowadzalne do jednej postaci, do zabiedzonego chłopca, który wyszedł z powstania i tuła się po zniszczonej Polsce i nie znajduje sobie miejsca i już na zawsze pozostanie w owej niepełnej i niedojrzałej formie. Nieskażony złem, nie przyjmujący żadnej wiedzy, nieprzemakalny na upadek konstruktów ideowych. Bo też wywodzi się tak naprawdę spoza świata doktryn, choć im służy. Jest tak naprawdę z utraconego

domu, z niedopełnionego życia, z odebranej młodości, z pozoru i fantomu, które owładnęły duszą polską — zaślepiony smarkacz z wągrami na nosie. Przykuty do Chochoła, któremu na imię „utopia” i „zamiast”.

Nic nie jest takie, jakim być winno, ale i nic już takim nie będzie, bo aby było, trzeba chcieć i wiedzieć i dążyć do zmiany. Ale czego może chcieć chłopiec, do czego może dążyć dziecko wojny, kto ma zastąpić rodziców *bezprizornemu*?

Wieczna zmarłość nigdy już nie stopnieje. I jak w bajce Andersena odłamek lodu, który utkwiał w człowieku nie pozwoli widzieć prawdziwie i rozumieć rzeczywistości. A bohater książki Drewnowskiego nie potrafi ocalić ani siebie, ani swojej przeszłości. Zamknięty w obrazie wczesnej młodości, wciąż oddany dawnym mistrzom, choć wielu z nich zupełnie gdzie indziej można spotkać i teraz z przestrachem patrzą na swojego ucznia. Może i dlatego wspomnienia Drewnowskiego są wyrzutem sumienia — nie dla autora, gdyż on niczemu nie winien, ale dla jemu współczesnych, którzy nie mogą się poznać, że tacy byli. Oni się zmienili, wyrosli i zrozumieli, a i historia z niejednego już zakrętu wyszła i tylko narrator „Tyle hałasu — o nic?” pozostał, jakim był i będzie. Czysty, przyjemny i... niezwywy. Bo też i takie jest wrażenie towarzyszące książce — poczucie jakby „coś?”, „kto?” pisał Drewnowskim, jakby stał za nim sufler i podpowiadał mu na głos rolę. W sztuce reżyserowanej nie wiadomo przez kogo, w teatrze, który dawno stał się ruiną, bez widowni, bo ta gdzie indziej chodzi. Nieistniejący świat, a przecież chyba kiedyś istniał naprawdę. Martwy człowiek a przecież mówi i pisze i działa. Cóż do licha, jakąż to upiorną rzeczywistość odsłania książka Tadeusza Drewnowskiego! Wieczna zmarłość. Lód, co pali ogniem, choć zimny jak diabli. Świat, którego nie ma i może nigdy nie było, a przecież nadal budzi grozę, choć nie istnieje.

To nie paradoksy. Wspomnienia „Tyle hałasu — o nic?” są rewelacją martwego świata, który głębiej wciągnął i zwabił tyśiące młodych od tego, co żywe i piękne. Rzeczywistości, co zamknęła czas i sparaliżowała bieg historii. Wyrosła nie wiadomo z czego, a i dokąd zmierza nikt nie wie. Groźna swoją nie-ruchomością, spokojem, wyrosła z pozorności, zawarta w „pomędzy”. Nie-ludzka, ale i bezpośrednio nie przeciw człowiekowi skierowana. Najczęściej obojętna mu, nieczuła na jego głos, nie poddana jego woli. I nie tylko. Gdyż w gruncie rzeczy jest ona tłem, zaledwie możliwością interpretacyjną, polem dialektycznych przeciwieństw. Dlatego może być tak, ale również inaczej. Nie ma niczego poza zmianą, a ta z kolei jest funkcjonalnie sprawozdalna do polityki.

Ta jest dopiero prawdziwym kluczem do wspomnień Drewnowskiego. Bez niej nie można ich zrozumieć, ani ocenić, ani tym bardziej przyjąć. Zapoznając „polityczność” książki zrymamy się na autorskie przeinaczenia, na pomyłki, na złośliwości i pokrętne interpretacje (choćby opis zajścia w Krubkach). Niepotrzebnie, przecież wszystko: prawda i wartości sprowadzalne

są do politycznych intencji, do celu prymarnego, jakim jest kreacja świata rządzonego przez prawo siły. Zwycięza nie to, co słuszne, ale za czym stoi racja silniejszego. Taka jest, skrótowo ją przedstawiając, wykładnia polityki u Drewnowskiego. Jako sztuki przydawania racji i znaczeń tym, którzy wygrali, wyjaśniania historii i poddania jej Prawu tożsamemu z Siłą. Polityka jest usprawiedliwieniem i usensownieniem zwycięzcy w oczach zwyciężonych i bez skrupułów porzuca prześciowych sojuszników, gardząc aliansami wymuszonymi taktyką. Ona to kładzie się złowieszczym cieniem nad wspomnieniami „Tyle hałasu — o nic?” i jej oddał siebie niewinny chłopiec z „dobrej, inteligentnej, przedwojennej” rodziny.

„I w tych moich dorywczych, fragmentarycznych wspomnieniach nie brak przecież epizodów pod tym względem wątpliwych: gwałtu na opinii, działań jakby podstępnych, wyborów pod bagnetami. Odpowiadając na te pytania nie kryję, że istotnie nie działaliśmy wówczas zawsze zgodnie z parlamentarnymi obyczajami, często postępowaliśmy wbrew przeważającej opinii, często mało elegancko, itp. itd., lecz że nie czyniliśmy tak w imię egoistycznych, osobistych czy grupowych interesów. Mówię, że oceniając te działania z perspektywy, trzeba wniknąć w ich społeczne intencje i motywy, i historyczne racje... A kiedy wszystkie te argumenty nie skutkują, powiadam w końcu, że była to rewolucja. I jeśli nie odbywałyby się ona w ten sposób, może nie dokonałaby się w ogóle. Rewolucja to przecież starcie, to próba sił: kto kogo?, która jeśli się powiedzie, ustanawia nowe prawa i nowe porządki. I te są ważne”.

Można się zachnąć na naiwny, dziecięcy ton, skrywający przecież groźne sprawy i ponurą historię. Niepotrzebnie. W świecie politycznym układu nie ma miejsca na obiektywne wartości i na absolutyzm moralny. To, co jest, waży względem czegoś. Wobec partii, celów osiąganym, władców bądź poddanych. Jednym odebrać, innym przekazać, tych poniżyć, tamtych wywyżczyć.

Ale przecież nawet i tutaj Drewnowski zajął odrębne miejsce. Mały trybik wielkich zdarzeń, zachował przecież czystość serca i umysłu płynące z wyjątkowego niezrozumienia świata. Śmiem sądzić, że nieudawanego i nie ubrał się weń tylko na dzisiejszą okazję. Za mało jest to wykalkulowane, za mało inteligentne i przebiegłe, aby posądzać krytyka o cyniczne manipulowanie i fałszywą autoprezentację.

On już inaczej nie umie myśleć, mówić, wierzyć. Kiedyś gdzieś na początku lat Polski Ludowej nastąpiła wielka wymiana. Powstali nowi ludzie. Młodemu chłopcu, porażonemu wojną dziecku, zmieniono duszę. I wypuszczono w świat odmiennego. Jego umysł ograniczono nie tymi, co przedtem kategoriami czasu i przestrzeni. Poddano go presji relatywizacji i ujęcia w nawias wszystkich, co istnieje. Bo też i świat istnieje o tyle, o ile istnieć mu się pozwala. Taka byłaby też przewodnia idea nowego Drewnowskiego. Autora nietuzinkowej książki, która choć zamierzona skromnie dzięki swojej uczciwości i prostocie stała się ważnym przyczynkiem dla zrozumienia tego, co się stało i co się dzieje nadal z nami wszystkimi.

Czasami, w niektórych chorobach, dobrze jest przyłożyć do

rozpalonej głowy bryłę lodu. Pomóc nie pomoże, ale obniży temperaturę. Pozwoli na chłodniejsze myślenie, na spokojną refleksję. Na poznanie, które rozumiane bezwzględnie i niczym imperatywu kategoryczny jest warunkiem niezbędnym wolności i miarą przyszłości. Tej, co wyzwala, ale tylko tych, którzy pragną wolności i prawdy. I nie oddadzą ich za nic i nikomu.

W „Tyle hałasu — o nic?” Tadeusz Drewnowski wszystko, co pragnął, co miał, czym żył, oddał w służbę polityki. Wprzągnął się do jej zwycięskiego rydwanu. Przecież nie zaprowadziła go ku tryumfowi, nie uwzniośliła świata i nie zastąpiła absolutu i moralności. Wszystko zabrała, dając ostatecznie tylko jedno. Niezrozumienie czegokolwiek. Z niego płynie dwuznaczne poczucie szczęścia i samozadowolenia narratora książki i dzięki temu nie rozpadł się Drewnowski w czasie i przestrzeni. Pozostał jako przestroga — dla nas, i jako wieczna zmarłość odporna na zmianę — dla siebie. Jeden z nielicznych, co nie popękał, nie rozchwiał się, co zachował tożsamość. Identyczny poprzez czas i doświadczenia. Daleki od naszego bólu i cierpienia, ale bliski lękom i chroniący przed pokusą wstąpienia w jego ślady.

Swoją książką niczego nie otworzył, wiele za to zamknął. Dalej trzeba iść inną drogą. Żyć i myśleć i płacić inaczej. Odzyskując pamięć, bo tylko ona umożliwi zmianę.

Marek ZIELIŃSKI

Proza i poezja

Dwa dramaty zawarte w tym tomie* są tak różne jak niebo i ziemia, jeden bardzo dobry, drugi bardzo zły. Zdumiewający fakt, że wyszły spod pióra tego samego autora mogą sobie wytłumaczyć tylko tym, że były zawodowy oficer Przyłuski naprawdę nie umiał pisać prozą (jak młody Owidiusz) natomiast był rasowym poetą. Twierdził przecież (bodaj w „Poemacie nielogicznym” ogłoszonym w *Kulturze* jeszcze w 1948 roku), że pewne rzeczy da się powiedzieć tylko językiem poetyckim jako „językiem najprostszym”. Miał rację, w każdym razie w swoim przypadku.

Pierwszy dramat, „Czas pojednany”, sztuka w 5 odsłonach, jest pisany prozą i zupełnie nieudany. Nie zmienia tego fakt, że u podstaw utworu leży bardzo mądra myśl, iż męka Chrystusa rozgrywa się i w naszych czasach — na tym właśnie ma polegać „czas pojednany”. U Wyspiańskiego Kraków też jest Homerową Troją i tam jesteśmy tym pojednanym czasem oczarowani. Przyłuski jednak informuje nas, że jego „rzecz dzieje się współcześ-

* Bronisław Przyłuski, *Dramaty*. KOW Veritas, Londyn 1985, ze słowem wstępnym Leopolda Kielanowskiego, str. 362 i 4 nlb.

nie”, a pojednanie czasu fabrykuje w ten sposób, że jezioro, które ma być wyeksploatowane przez bardzo nie-ekologicznie myślącego fabrykanta nazywa się Genezaret, wydziedziczeni rybacy nazywają się Jakub, Jan i Szymon, rybacka wioska zwie się Emaus, a głównemu bohaterowi, synowi fabrykanta, jest na imię Nikodem. Rzecz dochodzi do szczytu, gdy w momencie ubijania brudnego interesu przez okna gabinetu widać przesuwany się krzyż idącego na śmierć niewygodnego Skazańca. Potem oczywiście przychodzi smartwychwstanie i rzecz kończy się dobrze. Przepraszam Cię, Bronisławie (który już przebywałeś w zaświatach), ale nie mogę tego przyjąć.

Za to z entuzjazmem i wdzięcznością przyjmuję drugi dramat pt. „Leon I”, dźwięczący poetyckim słowem wierszy Przyłuskiego, których kilka umiem na pamięć. Luźny a wartki ośmiozgłoskowiec dialogu dźwięczy mi echem „Wesela”. Jest rok 452, zachodnie imperium rzymskie chwije się w posadach, straszliwy Attyla już podszedł z dalekiej Galii do Mediolanu, a cesarz przenosi się wraz z dworem z Rawenny z powrotem do Rzymu, gdzie bezprezjonalne rządy sprawuje ukochany przez lud, skromny a mocny biskup Leon, przez potomnych nazwany Wielkim. Chrześcijaństwo, heroiczne i zwyczajne, kościelne, wspólnotne z pogańskimi przesądami i pasjami — jak zawsze. Na dworze cesarskim panują intrygi. Siostra cesarska Honoria kocha się w Aecjuszu, który w Galii niby walczy z Hunami, lecz równocześnie najwyraźniej zmierza do zastąpienia na tronie cesarskim beztroskiego Walentyniana. Kielanowski w swej przedmowie nazywa ten „poemat sceniczny w 5 aktach” historycznym freskiem i rzeczywiście jest to fresk, skrzący się srebrem i złotem i wszystkimi kolorami umierającego na nadmiar dobrego życia antyku. Przyłuski zachłystnął się tym przepychem, gdy po czterech latach spędzonych w obozie jenieckim w Murnau znalazł się w 2-gim Korpusie i między innymi w Rawennie. W jego dramacie, zwłaszcza w jego wierszu, ten dawny wspaniały świat na nowo ożył. W pysznym dialogu nawet wykwinicie głupawy Walentynian nabiera pewnych cech autentycznie ludzkich, nie mówiąc już o wzniosłej w swej zajadłej miłości Honorii i całej galerii innych postaci, aż po najtrudniejszą ze wszystkich, Leona. Rzecz charakterystyczna, Przyłuski nie waha się wzorem Szekspira poprzedzić dramatycznej rozmowy Leona z Attylą lekką dworsko-ludową (bo to przecież w obozie Hunów) błazenadą, która jest naprawdę dowcipna.

Rozmowa Leona z Attylą, która doprowadziła do nagłego wycofania się najeźdźczej hordy spod bram Rzymu, zdanego już na łaskę i niełaskę tego ostatniego, jest jedną z największych tajemnic historii i jednym z największych triumfów ludzkiego ducha. Przyłuski operuje tu nadzwyczaj prostymi środkami. Jego Leon tak bez reszty wierzy w moc swego Pana, Chrystusa, że aż się boi, czy nie jest zbyt zarozumiały w tej wierze. Ale jest to tylko moc miłości, także do Attyli i do Hunów. Leon zgodnie z prawem rzymskim broni huńskich zbiegów przed wydaniem ich znowu w ręce Attyli i jest w miłości do nich beczelnie nieustra-

szony. Jeśli mimo to wydany przez Attylę nagły rozkaz do odwrotu uderza nas trochę jako *deus ex machina*, to nie jest to już winą autora. Widocznie jednak duch jest mocniejszy niż fizyczna siła. Czymże innym w ostatecznym rozrachunku ostają się niezdiscyplinowane demokracje i niezależne opozycje przed zorganizowaną przemocą współczesnych Attyłów? Tu mamy naprawdę „czas pojednany”.

Wydanie przez KOW Veritas tego dramatu Bronisława Przyłuskiego jest istotną zdobyczą prawdziwej kultury i sztuki. Myślę, że na tym nie powinno się skończyć. Nie sądzę, by ten bogaty fresk dał się należycie zrealizować w teatrze. Ale choćby ze względu na bogaty element wizualny jest to w gruncie rzeczy znakomity scenariusz filmowy. Może się tym zainteresuje jakiś Wajda albo Zanussi?

Antoni POSPIESZALSKI

"Cross Currents" czyli o środkowoeuropejskiej wspólnocie kulturalnej

Uczone rozprawy historyków literatury, kopiących głęboko w pokładach tradycji, aby przedstawić nową tezę o wkładzie Bierната z Lublina do języka rodzimego może dobrze służyć środowisku zamkniętemu, ale nie czytelnikom bez pretensji naukowych. Ci na ogół nie mają czego szukać w specjalistycznych periodykach. Przyczynkarskie referaty i studia rzadko kiedy mają związek z otaczającą rzeczywistością, bowiem ich autorzy, pochłonięci archeologią literatury, są głusi na głos dnia dzisiejszego.

Lektura pisma *Cross Currents** — rocznika poświęconego kulturze Europy środkowej — jest w porównaniu z lekturą typowego periodyku akademickiego zajęciem orzeźwiającym. Słowo „pismo”, trzeba w tym miejscu dodać, nie daje zbyt precyzyjnego wyobrażenia o ponad 450-stronicowym tomie, zawierającym nado liczne ilustracje. Niedawno ukazał się czwarty numer tego rocznika, powstałego z inicjatywy dwóch profesorów slawistyki na Uniwersytecie stanu Michigan w Ann Arbor: Ladislava Matejki — naturalizowanego Czecha, i Benjamina Stolza. Wydawcą *Cross Currents* jest tamtejszy wydział języków słowiańskich, wspólnie z Ośrodkiem Studiów Rosyjskich i Wschodnioeuropejskich, a pomoc finansową w przygotowaniu ostatniej edycji zapewniła Fundacja Jurzykowskiego.

Cross Currents znam od pierwszego numeru, który ukazał się

* *Cross Currents; A Yearbook of Central European Culture*, nr 4, 1985, pod redakcją Ladislava Matejki i Benjamina Stolza, Ann Arbor, Michigan.

w 1981 roku. Współtwórcy periodyku rozpoczęli swoją działalność w pomyślnych okolicznościach; ich zamiar — pokazanie bogactwa myśli i dorobku tej drugiej, „gorszej” Europy — zbiegł się w czasie z przyznaniem nagród Nobla czterem pisarzom pochodzącym z tej właśnie części kontynentu: Singerowi, Miłoszowi, Canettiemu i Seifertowi, co oczywiście zwróciło baczniejszą uwagę odbiorców także na innych intelektualistów oraz artystów tego obszaru. Wielu autorów, publikujących swoje teksty na łamach *Cross Currents* reprezentuje wspólną z redaktorami pisma koncepcję szeroko pojętego federalizmu, dążenie do nowej wspólnoty krajów Europy środka z jednoczesną ich autonomią polityczną i kulturalną. Jeżeli koncepcja polityczna należy obecnie do sfery pobożnych życzeń, to przynajmniej w planie kulturalnym można już teraz wiele zrobić. I temu właśnie celowi patronuje rocznik — nie tylko przedstawieniu czytelnikom języka angielskiego oblicza mniej znanej Europy, ale i pokonaniu ciasnych nacjonalizmów w obrębie tych wspólnot, wskazaniu tego co łączy, nie co dzieli.

Cross Currents tym różni się od typowych periodyków uniwersyteckich, że interesuje się przede wszystkim współczesną literaturą, filozofią, sztuką, a w każdym razie kulturą XX wieku, co jest zamierzeniem ambitnym. Łatwo popaść w eskapizm, badając odległe zjawiska i prądy, gdy tymczasem współczesność czeka na krytyczne ujęcie. Zaletą pisma jest też odejście od tradycyjnych form spotykanych na łamach periodyków naukowych. *Cross Currents* nie ma profilu pisma akademickiego — jest nowoczesnym pismem literackim, w którym eseistyka sąsiaduje z wywiadem, reportażem, przekładami poezji lub dramatów. W poprzednich numerach wypowiedzieli się na jego łamach m.in. Kundera, Miłosz, Škvorecký, Canetti, obok plejady mniej znanych pisarzy oraz krytyków literackich i tłumaczy z Ameryki i z innych części świata.

Najnowszy numer pisma, z datą 1985, składa się z siedmiu obszernych działów, nie zaopatrzonych w tytuły, ale zgrupowanych wedle klucza geograficznego. Teksty zamieszczone w części pierwszej mają charakter ogólny i otwiera je krótki esej Eugene Ionesco o środkowoeuropejskich dopływach kultury, m.in. o surrealizmie i dadaizmie rodem z Rumunii i o teatrze absurdu z Polski. Jednym z nielicznych w numerze tekstów *stricte* politycznych jest zwięzłe przedstawione studium pt. „Prawo do samostanowienia a Europa środkowa”, autorstwa dwojga specjalistów w dziedzinie prawa międzynarodowego. Następnym tekstem zawiera sylwetkę dysydenta czechosłowackiego walczącego o prawa mniejszości węgierskiej w swoim kraju. Pod zdecydowanie nieadekwatnym tytułem „Auschwitz Revisited” ogłosił swoje notatki z podróży do Polski w 1984 roku kanadyjski dziennikarz i pisarz, towarzyszący swojemu ojcu-ocaleniowci z obozu oświęcimskiego. Spostrzeżenia okazują się, niestety, dość trywialnymi uwagami turysty. Oświęcim ginie w opisie hoteli, posiłków i wynajmu samochodów. Tu instynkt redaktorski zawiódł prof. prof. Matejkę i Stolza.

W dziale drugim, poświęconym literaturze polskiej, wybór i jakość materiałów zasługują na uznanie. Znajduje się tam świetny i żywo napisany esej Jana Błońskiego o podejściu do tradycji literackiej w nowszej poezji polskiej, a następnie obfite gombrowicziana: obszerna analiza „Kosmosu” pióra Williama Veedera, interesujące studium o wątkach autobiograficznych w twórczości Gombrowicza pióra Suzanne Sztajnberg z Tel-Awiwu, wreszcie fragment z III tomu jego „Dzienników”, które wkrótce ukażą się w Ameryce w przekładzie Lillian Vallee. Herbert jest głośnym w Stanach Zjednoczonych poetą, więc jego czytelnicy z pewnością zwrócą uwagę na ogłoszony w ostatnim numerze *Cross Currents* rozdział z monografii Stanisława Barańczaka „Uciekinier z utopii; o poezji Zbigniewa Herberta”, znanej już odbiorcom polskim z edycji Polonia Book Fund. Natomiast Michael E. Moore, autor wywiadu z Czesławem Miłoszem, nie okazał się zbyt dobrym partnerem w rozmowie zatytułowanej „O rewolucji, wzniosłości i o końcu świata”. Zadawał poecie zbyt ogólne, abstrakcyjne pytania i za bardzo chciał się popisać erudycją, skacząc z tematu na temat, choć punktem wyjścia była „Ziemia Ulro”, wydana w Ameryce w przekładzie angielskim w 1984 roku. Lepsze pod względem czysto dziennikarskim okazały się dwa inne wywiady w niniejszym numerze: z węgierskim prozaikiem Györgym Konradem i z reżyserem filmowym Miłoszem Formanem w związku z jego realizacją „Amadeusza”.

Najciekawszym literacko utworem obecnej edycji *Cross Currents* jest ogłoszona w całości sztuka węgierskiego dramaturga Istvana Eörsi (ur. 1931) pt. „Wywiad”, w przekładzie i ze wstępem Emery George'a, oparta na autentycznym zapisie rozmów przeprowadzonych przez autora w 1971 roku ze śmiertelnie już wtedy chorym Györgym Lukácsem. Jej tezę można by streścić w jednym zdaniu: „Co warta jest lojalność, jeśli związana jest z kłamstwem”. W sztuce uczeń przywołuje z zaświatów mistrza-filozofa, by zadać mu pytania, na które w trakcie wywiadów nie otrzymał odpowiedzi. Dramat, nazwany przez autora „absurdalno-dokumentalnym”, jest przejmującym świadectwem moralnym i zarazem nowatorsko skonstruowanym utworem scenicznym.

W czwartym numerze pisma tematykę czechosłowacką reprezentują m.in. dwa krótkie szkice Ludvika Vaculika i Josefa Škvoreckého o Jaroslavie Seifercie, poprzedzające przekład jednego z jego wierszy, poświęconego cmentarzowi żydowskiemu w Pradze. W tym miejscu pozwolę sobie na westchnienie: z jakim dobrotliwym humorem piszą Czesi o laureacie, z jakim ironicznym pobłażaniem kwitują popłoch, jaki zapanował w praskiej biurokracji na wieść o werdykcie Komitetu Noblowskiego! Ich sarkazm nie jest jadowity, nawet gdy jego przedmiotem są źródła i nagrodę Nobla koledzy-literaci.

Cross Currents stawia sobie za zadanie zaznajomienie czytelnika amerykańskiego nie tylko z luminarzami, ale i z mniej znanymi lub wręcz nieznanymi w Ameryce pisarzami i artystami z Europy środkowej. Dla mnie osobiście odkryciem był cykl wierszy sędziwego Jugosłowianina, Dragutina Tadijanovica. Czysty,

kaligraficzny rysunek jego cyklu napisanego w 1954 roku jest dziełem poety intymnego, ciepłego, „poety serca”, jak nestor poezji jugosłowiańskiej sam siebie nazywa.

Jedyny odruch niechęci budzi w najnowszym wydaniu *Cross Currents* obszerny fragment autobiografii Vladimira Dedijera (jak zaznaczono, członka Serbskiej Akademii Nauk i Sztuki), ociekający martyrologią komunistyczną. Autor — intelektualista, były członek KC, dyplomata, przyjaciel Milovana Đzilasa, w czasie wojny walczący w szeregach partyzantki — przeżył niewątpliwie wiele. Z tej opowieści „uczciwego komunisty” nie przeziera jednak dogłębną rewizja poglądów na temat kluczowych wyborów i decyzji. Może reszty czytelnik ma się domyślić, skoro autor-akademik nie może sobie pozwolić na zbyt konfesyjny ton.

W sumie ten nietypowy rocznik uniwersytecki jest żywym, bogatym pismem, adresowanym nie tylko do kół akademickich. Czytelnikom władającym angielskim szczerze go polecam. A jego redaktorom zasugerowałabym jedynie dwie drobne sprawy: zamieszczanie krótkich, choćby jedno-dwuzdaniowych not bio-bibliograficznych o autorach i dołączenie spisu treści najważniejszych choćby tekstów z poprzednich numerów. Podziwiam natomiast ich cierpliwość w dostawianiu milionów znaków diakrytycznych do wszystkich nazw własnych i nazwisk w językach środkowo-europejskich.

Chodzą słuchy, że w Ameryce powstała inicjatywa stworzenia Instytutu Europy Środkowej. Jeżeli zamiar się powiedzie, będzie to niemała zasługa także prof. prof. Matejki i Stolza, którzy swoim *Cross Currents* zrobili pierwszy krok w tym kierunku.

Renata GORCZYŃSKA

Komunizm oczami poety

Zbiór esejów Aleksandra Wata *Świat na haku i pod kluczem** ukazał się ponad 18 lat po śmierci autora i stanowi pierwszy tom jego *Pism wybranych* nakładem londyńskiej Polonii. Tom drugi, będący w przygotowaniu, zawiera m.in. dziennik poety.

Czytelników *Mojego wieku, pamiętnika mówionego* — obszernego zapisu rozmów Wata z Czesławem Miłoszem, przeprowadzonych w Berkeley w połowie lat 60-tych, nie trzeba zachęcać do lektury niniejszych tekstów. Znajdą tam wiele myśli korespondujących z wątkami dialogu Wat-Miłosz. Książka składa się z dziewięciu esejów napisanych w latach 1954-1967, z których tylko trzy ukazały się za życia autora, w tym dwa pierwsze w *Kul-*

* Aleksander Wat, *Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, opracował Krzysztof Rutkowski. Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1985, str. XI, 241.

turze, a trzeci — w charakterze przedmowy do wyboru opowiadań Abrama Terca nakładem Instytutu Literackiego. Odczyt o związkach między literaturą a rzeczywistością sowiecką, wygłoszony przez Wata na sesji w Oxfordzie w 1962 roku, dopiero teraz doczekał się w całości publikacji po polsku, a pozostałe szkice — m.in. wnikliwy esej „Dostojewski i Stalin”, dotychczas spoczywały w archiwum, w formie trudnych do odczytania rękopisów lub kartek maszynopisu z wieloma poprawkami odręcznymi. Ich przygotowaniem do druku zajął się, z pomocą wdowy po poecie, Oli Watowej, młody badacz literatury, Krzysztof Rutkowski, który opatrzył również cały tom licznymi przypisami i objaśnieniami. To czasowo i pracochłonne zadanie zostało uwieńczone powodzeniem. Zrekonstruowane teksty Wata są spójne i logiczne.

Tematem przewodnim omawianego tomu jest, mówiąc najogólniej, komunizm — przeżyty, przecierpiany i przemyślany. Ale ten zbiór esejów nie jest rozprawą o doktrynie w wąskim rozumieniu. Wat, rówieśnik XX wieku, pisze o sobie, że jest XIX-wieczny z ducha, w tym sensie, że zeszlowieczeni myśliciele nie znajdowali się jeszcze w klatkach specjalizacji. Dlatego rozmyślanie nad komunizmem prowadzi go często do spostrzeżeń dotyczących historii myśli intelektualnej, uwag nad językiem, sztuką, literaturą. Usiłując zgłębić naturę komunizmu z twarzą Stalina, sięgał często do odległej historii, by odnotować pewne paralelizmy. Punktem wyjścia dla Wata są doświadczenia własne, obserwacje, lektury uczonych ksiąg i gazet codziennych, Tuki dydes i pisma Stalina, analiza freudowska i semantyka. Poeta medytował nad komunizmem — złowrogą siłą miażdżącą ludzi i uwodzicielską utopią.

Wat stale walczył z niemożliwym. Chciał wyjść poza ramy eseju i napisać wielkie dzieło będące nie tylko prawdą, ale wręcz iluminacją naszej epoki. Jest to zadanie ponad siły jednego człowieka, a cóż dopiero człowieka dręczonego przez wiele lat chorobą i towarzyszącym jej ciągłym bólem fizycznym. Zostawił po sobie szkice tych książek — czy Książki — w formie skondensowanego zarysu myśli; myśli meandrycznej, obfitującej w dygresje i głębokie, niekiedy kapitalne w swej lapidarności spostrzeżenia i uwagi.

Należałoby w tym miejscu zadać pytanie: dlaczego poeta miałby powiedzieć o komunizmie coś nowego, coś, co przeoczyli specjaliści w tej dziedzinie — politolodzy, historycy, filozofowie? Można by odpowiedzieć, że na przeszkodzie staje tu często zbyt wąska perspektywa, zbyt naukowe podejście, z pominięciem świadectwa literatury czy sztuki. Wat sam zresztą na to pytanie odpowiada w najdoskonalszym literacko, moim zdaniem, szkicu omawianego tomu — „Dziewięć uwag do portretu Józefa Stalina”: „Gdy zawodzą wszystkie inne postawy poznawcze wobec centralnego zjawiska naszego stulecia — komunizmu — spróbujmy przystąpić do niego jako poeci: z zadziwieniem i poczuciem ciemnej zagadkowości tej rzeczy. Rzeczą poety jest dziwić się rzeczom”.

Można by zakwestionować założenie Wata, który w tym twier-

dzeniu przyjął, że „wszystkie inne postawy poznawcze” zawodzą. Ostatecznie krytyką komunizmu zajmuje się wiele wybitnych umysłów. A jednak albo przyjęta metoda, albo jej skutek praktyczny okazuje się wątpliwy, skoro w wydanej przed niespełna dwoma laty książce *Jak giną demokracje* Jean-François Revel stwierdził: „Demokracja jest pierwszą w historii cywilizacją, która sama siebie wini za to, że inna potęga działa na jej zniszczenie”. W podobnym tonie pisze konserwatywny komentator amerykański Norman Podhoretz, pisząc w jednym z niedawno ogłoszonych szkiców, że modne teraz hasło „śmierci komunizmu” bynajmniej nie przerzedziło szeregów jego zwolenników w różnych częściach świata, a „komunizm z ludzką twarzą” ciągle znajduje nowych wyznawców, nawet w epoce, kiedy nie można się już zasłonić niewiedzą na temat zbrodni Stalina i jego następców. Innymi słowy, politolodzy zachodni nie potrafili w przejrzysty i przekonujący sposób zinterpretować fenomenu komunizmu. A zatem stanowczo sformułowana przesłanka Wata, datująca się sprzed ponad 20 lat, nie jest tak błędna, jak można by z pozoru sądzić. Świadczy też o przenikliwości poety i o ciągłej aktualności wielu jego uwag zawartych w zbiorze *Świat na haku i pod kluczem* (tytuł nawiązuje do jednej z *Myśli* Pascala).

Wat był zresztą od razu świadom dwóch rodzajów totalizmu w XX wieku — stulecia, którego kierunek rozwoju napawał go rosnącym niepokojem. Ze względów osobistych — najbliżsi krewni poety zginęli w niemieckich obozach zagłady — mógłby uważać nazizm za największe zło. A jednak nie w nim dostrzegał trwałe niebezpieczeństwo. Hitlera uważał za człowieka opętanego i narzucającego swoje szaleństwo rodakom, natomiast Stalina nigdy nie traktował jako przypadku psychiatrycznego. To byłoby zbyt łatwe wyjaśnienie. Widział w nim spełnienie dążeń państwa, ucieleśnienie ciągłości historycznej Imperium. Zastanawiało go m.in. czy komunizm jest zjawiskiem bez precedensu, czy też odwrotnie — następstwem długiego łańcucha przyczyn i skutków. Odpowiedzi na to szukał nie tylko w historii, ale w literaturze, filozofii i teologii.

Wat, jak wynika z jego pism, był naturą żarliwą. Należał do ludzi, dla których religia była niezbędna, nie w sensie zbioru przepisów i wskazań, ale jako fundamentalny składnik ontologii. Chciał zostać egzegetą świata rozumianego nie tylko jako materia, ale i duch. Do tych pasjonujących go zagadnień nie podchodził z dystansem badacza. Swoje operacje myślowe przeprowadzał na żywym ciełe. Spalał się. W rozważaniach nad komunizmem doszedł w końcu do podobnego wniosku, jaki Gustaw Herling-Grudziński odnotował niedawno w swoim *Dzienniku pisanym nocą*, że komunizm jest jednak czymś w rodzaju zastępczej religii. Wat ujął to następująco: „Za mało pamięta się o tym, że ateizm przyciąga najbardziej natury żarliwe, wyznawców, którzy zawiedli się na Bogu religii panujących”. Rozwija tę uwagę w innym miejscu: „Do komunizmów i faszystów lgną dusze religijne i proste, którym cywilizacja zachodnia odebrała wiarę

— tak religijność mści się za utratę wiary ateizmem fanatycznym i wojującym”.

W tomie esejów Wata można dostrzec pewne powtarzające się motywy. Autor, powołując się na obszerną listę lektur, ma też swój ulubiony zbiór cytatów, jak np. uwaga Napoleona do Goethego: „Polityka jest przeznaczeniem”, refleksja Szigalewa w *Biesach*: „Wyszedłem z założeń najskrajniejszej wolności i doszedłem do najskrajniejszego zniewolenia” lub mroczna wypowiedź Heinego o nadciągającej epoce totalizmu: „Jedna trzoda i jeden pasterz... z żelazną laską”. Te cytaty służą Watowi do rozwinięcia myśli własnych nad naturą totalizmu. Niektóre z jego spostrzeżeń mogą z kolei posłużyć innym myślicielom za punkt wyjścia do rozważań, jak choćby ta uwaga: „Jego wolność, Stalina, mierzyła się sumą wolności, którą odebrał innym. Wszystkim”.

A zatem i teza wspomnianego wyżej twierdzenia Wata — „przystąpić (do zjawiska komunizmu) jako poeci” — ma również swój sens. Parabola, skrót poetycki, metafora, mogą niekiedy ujawnić więcej o naturze danego zjawiska, niż długie rozprawy, pod warunkiem, że dyktuje je wiedza, doświadczenie i intuicja.

Aleksander Wat ubolewał pod koniec życia, że nie napisał swojego *magnum opus*. Zapewne, gdyby mu zdrowie pozwoliło, eseje rozrosłyby się w książki. Autor obłąkłyby swoją myśl w wyczelowaną formę. Najważniejsze jednak jest to, że jego myśl, w formie skondensowanej, została utrwalona i udostępniona w druku. Książka Aleksandra Wata nie jest brulionem lub luźnym zbiorem notatek. Jest dziełem autonomicznym i tak je należy oceniać.

Renata GORCZYŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

KERSTEN (Krystyna). *Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948*. Str. 393 i 3 nlb. (Wyd. Li-bella, Paryż 1986).

MIREWICZ (Jerzy, ks.). *Klio muza płacząca*. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd.

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Londyn 1986, cena £ 5).

Widnokrąg nr 1, zima 1986. Str. 108. (Wyd. Bohdan Cywiński, Szwajcaria).

Znaki czasu. Kwartalnik religijno-społeczny. Nr 1/1986. Str. 179 i 1 nlb. (Wyd. Centre du Dialogue, Montmorency, cena F. 55).

KISIELEWSKI (Stefan). *Wszystko inaczej*. Powieść. Str. 244 i 4 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1986).

KEMPA (Tadeusz). *Zapiski emigranta*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. nakładem autora, Australia 1986).

HORN (Maria Halina). *Pamiętnik Żydówki*. Str. 137 i 7 nlb. (Wyd. Century Publishing Co. Ltd., Toronto 1985).

Teki B. J. Kukielki. Materiały do dziejów 1. Pułku Ułanów Krechowickich. Teki 1-2. Teki 1 — str. 100, teka 2 — str. 100. (Wyd. B. J. Kukielka, Londyn 1986).

MISZLAŃSKI (Marian). *Wysokie progi*. Str. 113 i 3 nlb. (Wyd. Veto Verlag, Berlin Zach. 1986).

SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Kapitan*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Li-bella, Paryż 1986).

HEYDUK (Jerzy Ryszard). *Śmiech ust kątów* 1985. Str. 88. (Wyd. Century Publishing Co. Ltd., Toronto 1985).

KAPLAR (Anna). *Kto nas pozbiiera*. Str. 226 i 8 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1985, cena F. 60).

PIERRE-SKRZYŃSKA (Janina). *Pamiętnik Inki 1939-1945*. Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1986).

RAINA (Peter). *Kardynał Wyszyński, prymas Polski*. Tom II. Str. 482 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).

EJBICH (Bogdan). *Kawalerowie przestworzy*. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Toronto 1985).

BŁOŃSKI (Jan). *Kilka myśli co nie nowe*. Str. 201 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 200).

VINCENZ (Stanisław). *Powojenne perypetie Sokratesa*. Str. 359 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 320).

BEAUVOIS (Daniel). *Le noble, le serf et le revizor. La noblesse polonaise entre le tsarisme et les masses ukrainiennes (1831-1863)*. Str. 365 i 1 nlb. (Wyd. Editions des archives contemporaines, Paryż-Montreux (Szwajcaria), 1985).

KAPLAN (Karel). *La solution de la crise du régime après la mort de Staline en Tchécoslovaquie, Pologne et Hongrie*. (Studium nr 11 cyklu „Les crises des systèmes de type soviétique”, wyd. Index, Kolonia 1986).

Un document exceptionnel: ils ont exécuté un prêtre. La mort du père Popieluszko. (W: „Selection du Reader's Digest” nr 1, janvier 1986, str. 133-163).

FEHER (Ferenc), HELLER (Agnes). *Gauche de l'Est — gauche de l'Ouest (contribution à la morphologie d'une relation problématique)*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Index, Kolonia 1986).

MAREK (Edmond). *Mickiewicz le catholique et son mirage voltairien*. Str. 18. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1985).

The National Interest nr 2, zima 1985/1986, str. 128. Cena \$ 4,50.

SUBTELNY (Oreszt) *Domination of Eastern Europe. Native Nobilities and Foreign Absolutism 1500-1715*. Str. 270 i 6 nlb. (Wyd. McGill-Queen's University Press, Kingston and Montreal — Allan Sutton, Gloucester, cena \$ 30).

MIRCHUK (Petro). *In the German Mills of Death 1941-1945*. Str. 225 i 1 nlb. (Wyd. The Survivors of the Holocaust, Waszyngton-New York-Londyn-Monachium).

Van OUDENAREN (John). *Interviews by Soviet Officials in the Western Media. Two Case Studies*. Str. 63 i 3 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica 1985).

LUBACHIVSKY (Myroslav Ivan, kard.). *Was it really Russia that was christianised in 988?* Str. 36. (Wyd. Ukrainian Publishers, Londyn-Rzym 1985).

FOX (John). *„Do You Hear the Bells, Father Jerzy?”. Murder of a Polish Priest*. (w: „Reader's Digest Reprint”, str. 26).

SUSSEX (Roland), ZUBRZYCKI (Jerzy). *Polish People and Culture in Australia*. Str. 223 i 3 nlb. (Wyd. Dept of Demography, Institute of Advanced Studies, The Australian National University, Canberra 1985).

HEYDENKORN (Benedykt). *A Community in Transition. The Polish Group in Canada*. Str. 288 i 2 nlb. (Wyd. Canadian Polish Research Institute, Toronto 1985).

LEC (Stanisław Jerzy). *Pensamientos desmelenados*. (W: „Material de lectura”, serie 4, wyd. Dirección general de difusión cultural, Mexico 1985).

HAVEL (Vaclav). *Ztizenne možnosti. (Tri hry z sedesatych let)*. Str. 223 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986).

BENES (Jan). *... Zadne kviti*. Str. 296. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986).

SEIN-WITTGENSTEIN (E. N.).
Dniownik 1914-1918. Str. 300 i
2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż
1986).

SZTEIN (Emmanuil i Olga, opr.).
Sztoby Polska była Polszej. Str. 73
i 7 nlb. (Wyd. Izdatielstwo „Anti-
kwadrat”, USA 1985).

GUMILEW (Nikołaj). *Stichotworie-
nia*. Str. 152 i 8 nlb. (Wyd.
YMCA-Press, Paryż 1986).

SIEDAKOWA (Olga). *Wrata, okna,
arki. Izbrannyje stichotworienia*.
Str. 128 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-
Press, Paryż 1986).

POBIHUSZCZYJ - REN (Ewen).
Mozaika moich spomyniu. Tom
II. Str. 304 i 2 nlb. (Wyd. Ass.

of Ukrainian Former Combatants
in Great Britain, Monachium-
Londyn 1985).

POSTUN (Swiatomyr M.). *Nas roz-
sudyt' Boh. Istoryczna powist' z
czasu hetmana Pawła Połubotka*.
Str. 320. (Wyd. Wydawnictwo
Centralnoji Uprawy Spiłky Ukra-
jinskoji Mołodi, 1985).

*Terem. Problemy ukrajinskoji kul-
tury*. Nr 4. Str. 111 i 1 nlb.
(Wyd. The Institute of Ukrainian
Culture, Detroit, Mich. USA).

*Pamiatka archierejskich widwidyn.
Błahostowen, chto jde w imia Hos-
podne*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd.
nie podane, Rzym 1986).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

3-2-86

Na liście Międzynarodowego PEN-Clubu figuruje 9 pisarzy litewskich uwięzionych w Sowietach — są to pp. G. Iesmantas, V. Lapienis, V. Petkus, V. Skuodis, B. Gajauskas, A. Terleckas, P. Peceliunas, A. Statkevicius i L. Dambrauskas.

16-2-86

Tygodnik Powszechny podaje, że w 1985 roku ukazały się w Polsce 164 książki tłumaczone z języków narodów ZSSR o łącznym nakładzie 6 mln egzemplarzy, tj. dwukrotnie wyższym niż w roku poprzednim. ■ *Przegląd tygodniowy* podaje, że w ub. roku w dwunastu głównych wydawnictwach ukazało się 78 książek wydanych w krótszym czasie, niż zwykle. Czas druku utworów Andrzeja Wasilewskiego, Mieczysława Rakowskiego, Jerzego Urbana oraz Jerzego Jaskierni wyniósł cztery miesiące. Normalnie proces wydawniczy trwa od 5 do 31 miesięcy.

19-2-86

Znany pisarz Janusz Przymanowski napisał książkę pt. „Pamięć”, poświęconą żołnierzom sowieckim poległym na terenach Polski. Pierwsze egzemplarze będą w sprzedaży w marcu bież. roku. Krajowa Agencja Wydawnicza zamierza wydać 7-tomowe wydanie dzieł p. Przymanowskiego. Jego książka „Czterej pacerni i pies” została przetłumaczona na język rosyjski i wydana przez K.A.W. w nakładzie 225 tys. egzemplarzy. Wysyłka książki do Moskwy została już zakończona.

20-2-86

Wydawnictwo Książka i Wiedza opracowuje edycję „Dzieł wszystkich” Lenina — całość ma liczyć 55 tomów. XXVII tom został przekazany do drukarni w Moskwie, gdzie te dzieła są drukowane. Nakład początkowo miał wynosić 15 tys. egzemplarzy, ale to okazało się niewystarczające i trzeba było do-drukować po 10 tys. pierwszych czterech tomów. Począwszy od tomu V nakład będzie wynosił 25 tys. egzemplarzy.

2-3-86

Z klasyfikacji sanitarnej województw PRL wynika, że tylko w dziewięciu województwach stan sanitarny jest zadowalający, w dwudziestu dwóch dostateczny, a w osiemnastu — niedostateczny. ■ Instytut Kształtowania Środowiska stwierdza, że w Polsce 30 % wody wycieka bezużytecznie przez nie-szczelne instalacje.

3-3-86

W Warszawie zatwierdzono fundację o nazwie „Stypendia i nagrody im. Tadeusza Kulisiwicza”. Celem fundacji jest otoczenie opieką utalentowanych studentów i młodych twórców z dziedziny rysunku i grafiki. Stypendia i nagrody będą przyznawane osobom, które nie ukończyły 35 lat. ■ Jerzy Urban na konferencji prasowej oświadczył, że ostatnio grupa studentów afgańskich prawie przez 24 godziny okupowała ambasadę Afganistanu. Z tej grupy trzy osoby zostały odesłane do Afganistanu. P. Urban zapewnił, że rząd polski otrzymał gwarancję, iż studenci ci nie zostaną ukarani, a tylko najwyżej skazani na karę grzywny. Według powszechnego przekonania korespondentów prasowych w Afganistanie czeka ich kara śmierci.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris

Tel.: 43 26 04 42

Rok założenia 1833

NOWOŚĆ!

Kuchnia polska w języku francuskim:

„LA CUISINE POLONAISE”

T. i R. Zienkiewicz

(80 kolorowych zdjęć)

Cena: F. 150,00

Ponadto polecamy:

KSIAŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe, polonica francuskie
oraz książki w językach czeskim, rumuńskim,
węgierskim i kroackim wydane na Zachodzie.

Plakaty polskie, płyty i kasety.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-2-86

Dr Ludwik Liszka został mianowany profesorem w Instytucie Geofizyki w Kirunie (Szwecja). ■ Prof. Aleksander Peczenik, wykładowca prawa na uniwersytecie w Lund, otrzymał doktorat *honoris causa* tegoż uniwersytetu.

8-2-86

W sali Lutheran Council w Londynie odbył się walny zjazd Zrzeszenia Ewangelików Polaków, na który przybyło 68 delegatów m.in. ze Szwecji i Niemiec. Referat historyczny wygłosiła przewodnicząca Zrzeszenia p. Halina Martinowa.

14-2-86

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat mjr Jan Jawicz, długoletni adiutant generała Sosnkowskiego.

8-3-86

W Drian Galleries w Londynie została otwarta wystawa obrazów Haliny Sukiennickiej.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

26 lutego Ronald Reagan wygłosił przemówienie telewizyjne przedstawiając swoje trudności w uzyskaniu kredytów przeznaczonych do dozbudowania Stanów. Przemówienie ilustrował wykresem pokazującym jak dalece Stany Zjednoczone w zbrojeniach nuklearnych i konwencjonalnych są w tyle za Sowietami. Nie było to niczym nowym, bo choć stan ten uległ pewnej poprawie, niekorzystna dla Ameryki i całego Zachodu sytuacja trwa od lat. I nie to zawierało w sobie element sensacji. Przemówienie Prezydenta trwało o kilka minut krócej niż je pierwotnie zaplanował. Potem nastąpiła replika Demokratów, a po nich stacja telewizyjna ABC miała jeszcze 8 minut wolnego czasu antenowego. Akurat jej zespół znajdował się w Moskwie z okazji zjazdu KPZS. Te 8 minut wykorzystał David Brinkley by udzielić głosu Władimirowi Posnerowi, który od szeregu lat jest specjalistą sowieckim od spraw amerykańskich. Władimir Posner dzięki uprzejmości ABC zaatakował niezmiernie ostro Reagana zarzucając mu kłamstwo, dezinformację i czyniczne wprowadzanie w błąd opinii jeśli chodzi o stan zbrojeń obydwu supermocarstw. Nie to było innowacją w praktykach amerykańskich *mass media*, które niejednokrotnie dopuszczają na antenie komentatorów sowieckich. Sprawa polegała na tym, że Władimir Posner zmopolizował te 8 minut dla siebie, ponieważ ABC nie udzieliło głosu stronie przeciwnej. Przez cały czas telewizyjni amerykańscy słuchali Posnera, który w nienagannej angielszczyźnie rozwijał swoją nienagannie kłamliwą retykę. Praktyka taka musiała przypuszczaćalnie wywołać zdziwienie nawet wśród tej części amerykańskiej publiczności, która jest przyzwyczajona do metod amerykańskiej TV i jej stronniczego „obiektywizmu” tam gdzie chodzi o konfrontację w eterze między sowieckimi a amerykańskimi komentatorami. Dodatkowe zdziwienie musiała wywołać okoliczność, że kierownikiem zespołu ABC w Moskwie był David Brinkley — dziennikarz, który swoją rzetelnością wyróżnia się korzystnie z grona swych kolegów. Nastę-

nego dnia jeden z doradców Prezydenta, Patrick Buchanan, skierował do ABC list wyrażając zdziwienie, że stacja telewizyjna w sposób tak bezceremonialny stała się tubą sowieckiej propagandy. Richard Wald, wiceprezydent ABC, uznał, że rzeczywiście Władimir Posner dostał zbyt wiele czasu na antenie i że ABC powinna była udzielić głosu także stronie przeciwnej. Jak na amerykańskie srodki przekazu przyznanie się do błędu — to i tak dużo. Następnego dnia po tym wydarzeniu Robert Dornan, republikanin z Kalifornii niezbyt fortunnie nazwał Posnera „małym kłamliwym Żykiem”, z czego nazajutrz gesto się tłumaczył podczas dyskusji w TV pomiędzy redaktorem *National Revue* Wiliamem Ruscherem, Tomem Brade — moderatorem i Robertem Dornanem. Nawiązując do listu Patricka Buchanana, Ruscher zwrócił uwagę, że jak w przeszłości radio amerykańskie transmitowało co prawda przemówienia Adolfa Hitlera ale nie udzielało głosu na antenie funkcjonariuszom typu Goebbelsa tak i obecnie telewizja może dopuścić do głosu Gorbaczowa, który przedstawia stanowisko rządu sowieckiego, ale nie powinna bezkrytycznie dopuszczać na antenę sowieckich dziennikarzy, którzy nie są niczym innym jak urzędnikami propagandy sowieckiej. ■ W początkowej fazie kryzysu filipińskiego, gdy nadchodziły zaczęły pierwsze wyniki z urn wyborczych, stanowisko USA wobec Ferdynanda Marcosa było fałszywie rozszyfrowane przez Sowiety. W pewnym stopniu przyczyniła się do tego wizyta na Filipinach pierwszego wysłannika Białego Domu — senatora republikańskiego Lugara. Jego oświadczenia na temat wyników wyborów były bardzo mętne. Mogło z nich wynikać, że Stany poprą wybór Marcosa nawet jeśli wybory będą sfałszowane, ponieważ fałszerstwa wyborcze należą do obyczajów III Świata. Prawdopodobnie w związku z tym błędnym rozeznanie sytuacji przez Sowiety, na ulice Manili i kilku innych miast filipińskich wyległy dość liczne ugrupowania komunistycznej koalicji Bayana z hasłami piętnującymi „faszystowską dyktaturę Marcosa, wspomaganą przez USA”. Gdy w kilka dni później okazało się, że po zwyciężu drugiego wysłannika Prezydenta — Filipa Habiba — Stany Zjednoczone udzieliły zdecydowanego poparcia pani Corazon Aquino, Sowiety z miejsca oskarżyły Amerykę o mieszanie się w wewnętrzne sprawy Filipin, a nawet o interwencję zbrojną na rzecz zbuntowanych przeciw Marcosowi oddziałów wojskowych. To ostatnie było prawdą, ponieważ helikoptery wysłane z baz amerykańskich wspomagały rebeliantów, żeby zapobiec militarnej konfrontacji pomiędzy nielicznymi jednostkami wiernymi Marcosowi, a wojskiem które opowiedziało się po stronie Corazon Aquino. Jednocześnie Sowiety uznały wybór Marcosa. A co się stało z potępieniem „faszystowskiego rządu” dawnego prezydenta? Nic. Z dnia na dzień czy nawet z godziny na godzinę dawne stanowisko Kremla przestało obowiązywać. Zupełnie jak u Orwella. W ten sposób Polithiuro sowieckie odśloniło jeszcze raz swoje karty. Sowiety poprą każdą najbardziej brutalną i skorumpowaną dyktaturę feudalno-kapitalistyczną, ponieważ jest ona dla nich najkorzystniejszym układem, który mogą obalić i zastąpić go systemem komunistycznym. Dotychczas jednak czyniły to zawsze w sposób zakamufLOWANY. Potępiły oficjalnie dyktatury kapitalistyczne życząc im po cichu tak długiego żywota, póki nie dojrzeje w zmaltretowanym społeczeństwie fałszywe przekonanie, że jedyną alternatywą na istniejące zło jest komunizm. W wypadku Marcosa, na skutek własnej niezręczności Sowiety odkryły swe karty przedwcześnie. Była to jedna z najgorzej rozegranych operacji politycznych Kremla. Nie przysporzyła ona laurów Gorbaczowowi — pupilkowi wielu liberalno-lewicowych ugrupowań na świecie.

Zbigniew BYRSKI

Polsce. Rośnie góra kwiatów, płoną świece i znicze na miejscu zabójstwa. Codziennie w całym kraju odbywają się pochody z udziałem kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Fala żałobnego uniesienia może przywrócić socjaldemokracji wiele z utraconego ostatnio poparcia. Ingvar Carlsson, dotychczasowy wicepremier (51 lat, pochodzi z rodziny robotniczej), mianowany następcą Palmego, był już wcześniej przez niego przygotowywany do tej funkcji. Ostatnio zauważano, że Palmego zaczęła męczyć polityka wewnętrzna, a coraz bardziej pociągała go wielka polityka międzynarodowa. Miałby duże szanse zostania sekretarzem generalnym ONZ. Ingvar Carlsson, uchodzący za człowieka umiającego rozwiązywać trudne i kontrowersyjne problemy, wygłosił już przemówienie pojednawcze. Opozycja przyjęła go z pozytywnym wyckiwaniem. Są także pewne oznaki wskazujące na chęć zbliżenia się do Stronnictwa Centrum (dawne Stronnictwo Chłopskie). Gdyby ten manewr się udał, socjaliści mogliby rządzić bez komunistycznego poparcia a zarazem wbić klin w blok burżuazyjny. Cały w tym ambaras aby dwoje chciało naraz. Ingvar Carlsson nie posiada niestety tej znajomości polityki zagranicznej, jaka cechowała Palmego. W tej sytuacji wybija się jeszcze bardziej Pierre Schori, szef gabinetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, niezwykle zdolny i inteligentny, ale jednocześnie kontrowersyjny. W sprawach polskich wyrażał nieraz poparcie dla opozycji demokratycznej i „Solidarności”. ■ Na przełomie stycznia i lutego przebywał w Szwecji — na zaproszenie Jana Salina, szefa wydawnictwa ASAK — ks. prof. J. Tischner z Krakowa. W wydawnictwie ASAK ukazała się jedna z jego książek. Ks. Tischner wygłosił 28 stycznia br. w kościele katolickim w Uppsali, 2 lutego w kościele polskim Św. Jana oraz w Katedrze Katolickiej Św. Eryka w Sztokholmie homilie, które wywarły głębokie wrażenie. Teżoż samego dnia, po mszy świętej u Św. Jana odbyło się spotkanie w sali ABF z miejscową kolonią polską. ■ 4 lutego rozpoczęto w ogólnokrajowym programie Radia Szwedzkiego audycje w języku polskim. Odbywają się one obecnie dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki o godz. 16.00 w programie II na fali 96,2 UKF. Trwają 15 minut. Słyszane są one także na wybrzeżu polskim. Audycje prowadzi Magdalena Pramfelt i Marek Michalski przy współpracy Jerzego Legro z Göteborgu i Janusza Potoka z Malmö. Program zawiera aktualne wiadomości z Polski, ze Szwecji oraz komentarze. W Szwecji oprócz tego działają radiostacje w języku polskim, ale jedynie o zasięgu lokalnym: Radio Moderata, powiązane z sekcją polską szwedzkiego stronnictwa umiarkowanie pravicowego (Moderaterna), radio biura informacji „Solidarności” oraz radio „Lech” w Malmö-Lund, które prowadzi Andrzej Koraszewski. Od października 1984 roku nadawane są również w Göteborgu 15 minutowe audycje polskie w ramach lokalnego bloku programowego Radia Moderata — w każdy wtorek o godz. 18-tej na fali 95 MHz FM. ■ Od 1 marca zaczęto nadawać w soboty w TV — w programie II o godz. 14-tej — polskie programy kulturalne. Pierwszych pięć programów zakupiono w Polsce. 10 lutego przemawiał w Uppsali dr J. Holzer, zaproszony przez Seminarium Historyczne Uniwersytetu. Drugi wykład J. Holzera, powszechnie znanego m.in. dzięki swojej pracy o „Solidarności”, wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu, odbył się w Instytucie Europy Wschodniej, także w Uppsali. ■ Centrala szwedzkich Związków Zawodowych LO poprosiła znanego adwokata, Hansa Göran Francka, o reprezentowanie LO na procesie Wałęsy w charakterze obserwatora. Władze polskie zmuszone były do wpuszczenia Francka do Polski, gdyż jako poseł był w posiadaniu paszportu służbowego. Innym zagranicznym obserwatorom odmówiono wizy. Natomiast Franck nie został dopuszczony na salę sądową — mimo, że obrońca Wałęsy tego zażądał. Jako powód Sąd podał, że ustawodawstwo polskie nie przewiduje statusu obserwatora. Franck spotkał się natomiast dwukrotnie z Lechem Wałęsą, który przekazał na jego ręce podziękowanie dla szwedzkiej socjaldemokracji i związków zawodowych za poparcie i pomoc. ■ Szwedzkie związki zawo-

dowe LO zaadoptowały na czas pobytu w więzieniu Władysława Frasyniuka; w procesie rewizyjnym utrzymano w mocy wyrok Sądu Najwyższego w Warszawie w jego sprawie. ■ W pierwszych dniach marca br. ukazał się trzeci z kolei numer pisma *Hotel „Örnsköld”* (Hotel „Pod Orłem”) wydawanego przez polsko-szwedzkie Centrum Kultury Niezależnej. Numer zawiera m.in. wywiad z Bronisławem Geremkiem, wiersze Zagajewskiego oraz artykuły Michnika, Bujaka i innych. ■ Bogdan Rudnik b. działacz nielegalnej „Solidarności”, który miał być wydany na skutek decyzji rządu szwedzkiego, ze względów humanitarnych otrzymał zezwolenie na pozostanie w Szwecji. Za Rudnikiem ujęło się wiele osób, m.in. komisarz ONZ do spraw uchodźców, szwedzki Czerwony Krzyż oraz miejscowy wojewoda. Tak samo uchylono decyzję wydalenia ze Szwecji Bożeny Górnej i jej trojga dzieci. Ma ona w Szwecji matkę, która wyszła za mąż za Szweda. Decyzja wydalenia wywołała wielkie poruszenie w południowej Szwecji. Obecnie toczy się sprawa dotycząca odebrania rodzicom 31 października ub. roku trzyletniej Kasi Nowackiej i umieszczenia jej w domu dziecka z powodu rzekomego maltretowania jej. Sprawa ta wzbudziła szerokie zainteresowanie prasy południowo-szwedzkiej i tamtejszego społeczeństwa. Z inicjatywy miejscowej społeczności polskiej wynajęto prywatnego adwokata w celu obrony dziecka przed Sądem Wojewódzkim. Rozpoczęto zbiórkę pieniężną na prowadzenie sprawy, której kosztą wyniosła około 15.000 koron. ■ 8 marca br. odbyło się Walne Zebranie Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji. Wybrano nowy Zarząd na dwuletnią kadencję. Prezesem został dr med. Zygmunt Stankiewicz, wiceprezesami: Zofia Stadfors, przewodnicząca SPK Szwecja i Zygmunt Kraczkowski, były prezes RUP, sekretarzem Wiesław Smoleński, a skarbnikiem Helena Janiec; członkowie Zarządu: Tadeusz Nowakowski i Michał Bieniasz. Rada Uchodźstwa Polskiego powstała w roku 1947 jednocząc wtedy wszystkie polskie organizacje, powstałe w czasie wojny i pierwszych dwóch latach powojennych. Niestety w latach 1960 i 1980 zarysowały się w Szwecji, podobnie jak i gdzie indziej, tendencje rozłamowe.

Norbert ŻABA

11 marca 1986

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-PÎle — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

London, 19 marca 1986.

Jako członek Komitetu Organizacyjnego Kongresu Kultury, odpowiedziałem za Sekcję Historii Literatury, pragnę wyjaśnić sprawę udziału prof. Stanisława Barańczaka w tym Kongresie, który odbył się w dniach 14-20 września ub. roku. Profesor Barańczak życzliwie przyjął moje zaproszenie do czynnego udziału w pracach Kongresu i zgłosił referat pt. „Dziedzictwo polskiej awangardy poetyckiej 1918-1939”, który został zakwalifikowany do wygłoszenia na sesji plenarnej w dniu 16 września. Wobec otrzymanej od prof. Barańczaka wiadomości, że nie może przybyć na Kongres z powodów tych samych, które podał w liście do Pana Redaktora z dnia 1 lutego 1986 (a nie „że nie otrzymał wjazdowej wizy brytyjskiej, co jest zjawiskiem wysoce zastanawiającym...” jak podał złośliwie i nieprawdziwie „Obserwator z Kraju”, w swoim sprawozdaniu z Kongresu zamieszczonym w *Kulturze*) referat jego został przeniesiony na sesję zwyczajną w dniu 17 września i wygłoszony przez młodego aktora Teatru Polskiego w Londynie, p. Grzegorza Stachurskiego — przyjęliśmy bowiem zasadę, że na sesjach plenarnych nie będą czytane referaty *in absentia*. Referat prof. Barańczaka został zakwalifikowany do publikacji w odpowiednim tomie materiałów kongresowych, jako jeden z najbardziej interesujących i cennych wkładów do badań naukowych w zakresie najnowszej literatury polskiej.

Z wyrazami głębokiego poważania

Józef BUJNOWSKI

Fribourg, 16 marca 1986.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając mój dziennik polowy z 1944 roku, znajduję w nim pod datą „Boiano, 10 kwietnia 1944” notatkę, która zasługuje, być może, na ogłoszenie, zwłaszcza ze względu na pamięć metropolity Szeptyckiego — a może i dlatego, że niektórzy zapominają nieraz o tym, czym ów wspaniały „Związek Radziecki” był i jest. Oto notatka:

„Opowiadanie ks. Cieńskiego. Pewnego razu chcieli, abym podpisał papier oskarżający metropolitę Szeptyckiego. Sami mówili, że to nieprawda. Odmówiłem. Wtedy przyprowadzili 19-letnią dziewczynę, Polkę ze Lwowa. Pytają mnie znowu: znasz ją? Nie znam. Nu, podpiszesz? Nie podpiszę.

Lu dziewczynę w twarz. Katowali ją przez godzinę, tańcząc podkutymi butami po jej piersiach i brzuchu. Na pewno umarła. Nie mogła tego przeżyć. Nie podpisałem”.

Ks. prałat Włodzimierz Cieński, aresztowany po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie, został zesłany. Był po uwolnieniu szefem duszpasterstwa 2-go Korpusu. Po wojnie wstąpił do zakonu oo. trapistów.

Łączę ukłony i wyrazy szacunku

J. M. BOCHENSKI

Köln, 15 marca 1986.

Drogi Panie Redaktorze!

Chochlik drukarski znowu buszuje w *Kronice niemieckiej* (*Kultura* nr 3/1986, str. 96): Z masy likwidacyjnej koncernu *IG Farben* wypłacono Polsce w 1957, a nie w 1975 roku, jak to zostało wydrukowane, odszkodowanie sumy kilkunastu milionów marek. Do rokowań w tej sprawie doszło prawdopodobnie w wyniku poufnych rozmów, prowadzonych przez Bertholda Beitz'a z zaprzyjaźnionym z nim ówczesnym prezesem *Rady Ministrów*, Józefem Cyrankiewiczem. Beitz pełnił wprawdzie funkcje pełnomocnika koncernu Kruppa, ale podejmował się wielokrotnie różnych innych delikatnych misji w Polsce. Wiadomo jedynie, iż w rezultacie dość wysokie odszkodowania zostały wypłacone przez komisję rządu PRL (w złotychkach!) wąskiej grupie osób (głównie aktywnym ZBoWiD-owcom na wysokich stanowiskach), które podczas wojny zostały wywiezione do Rzeszy i pracowały w zakładach należących do koncernu *IG Farben*.

Odszkodowanie to było pewnego rodzaju formą rekompensaty za dojsię wcześniej do skutku porozumienia (5 grudnia 1955), zawartego przez *Czerwony Krzyż* Polski i RFN, dzięki któremu ok. 200 tys. Niemców mogło wyjechać na stałe z Polski.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej J. CHILECKI

Monachium, marzec 1986.

Do Redakcji *Kultury*.

W numerze 3/462 marcowym *Kultury* w rozdziale „Dokumenty” w artykule pt. Informacje Biura Rektora Politechniki Warszawskiej pojawiły się błędy, a właściwie błąd niekonsekwentnie powielany:

Chodzi o nazwę wydziału Politechniki Warszawskiej. Nie jest to wydz. Mechaniczno-Technologiczny, nie jest to wydz. Mechaniczny i Technologiczny (jeszcze śmieszniej), jest to po prostu wydz. Mechaniczny Technologiczny.

Jest to jeden z pierwotnych mechanicznych wydziałów P.W., który powstał na bazie Szkoły Technicznej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie w 1951 roku. Był swojego czasu równoległy wydz. Mechaniczny Konstrukcyjny, i też nikogo nie dziwiło, że w nazwie wydziału stają obok siebie dwa przymiotniki. Niestety zdarza się, a nawet red. Aleksander Swieykowski z Radia Wolna Europa też nie mógł dać sobie rady z tą „dziwną nazwą”.

Jako absolwent i były pracownik tego wydziału chcę w ten sposób zapobiec wszelkim zmianom tej poprawnej, oficjalnej, tradycyjnej nazwy wydziału.

Z głębokim poważaniem

Adam CHODAKOWSKI

Kolonja, 14 marca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wiem dobrze, że sprostowania wprowadzie się czyta, ale na ogół nie wraca się do tekstów, których dotyczą. Ponieważ jednak przedstawienie stron w moim omówieniu książki Gerharda von Jordana „Polnische Jahre” (*Kultura* nr 3/462) spowodowało osobliwy *galimatias*, więc dla porządku prostuję: Tekst ze strony 127 powinien być ukazany się w całości na stronie 128 — i odwrotnie.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla Pana i Redakcji

Kamila CHYLIŃSKA

Londyn, 14 marca 1986.

Drogi Panie Redaktorze,

W marcowym numerze *Kultury* ukazał się anonimowy list podpisany fikcyjnym imieniem i nazwiskiem, Stanisława Kozyr. Dotyczy on mego „Listu z Londynu”, w którym wspominałem o sympozjum w Oxfordzie, związanym z filmem „Shoah”.

Najpierw jedna sprawa. Kto podejmuje polemikę tak agresywną, że kilkakrotnie zarzuca mi kłamstwo, musi mieć odwagę ujawnienia, kim jest. Argument, że mogłoby to spowodować wizytę Bezpieki, nie jest przekonujący. W *Kulturze* wielokrotnie ukazywały się artykuły i listy w trudnych sprawach osób mieszkających w kraju, które miały cywilną odwagę pod nimi się podpisać. Odwaga ta, w tych sprawach, potrzebna jest także i tutaj. Przekonałem się o tym (nie po raz pierwszy), gdy na sympozjum w Oxfordzie stanęłem w obronie pamięci pomordowanych więźniów Oświęcimia. Claude Lanzmann obrzucił mnie stekiem wyzwisk, a przewodniczący nie miał odwagi, by go pohamować. Ten sam przewodniczący, w prywatnym liście, napisał: „Byłem bardzo wstrząśnięty i oburzony atakiem Lanzmanna na dr. Garlińskiego, który uważam za zupełnie bezpodstawny i w najgorszym stylu... Byłem specjalnie oburzony, bo wysoko cenię dr. Garlińskiego”. Te słowa nie znalazły jednak żadnego zewnętrznego wyrazu, a ja jestem narazony na ataki w rodzaju p. Kozyr i na dalsze konsekwencje. Nie zmieni to mojej postawy.

A teraz druga sprawa. Wiemy z prasy i z prywatnej korespondencji, że w kraju pokazano tylko fragmenty filmu „Shoah”. Czy p. Kozyr widziała cały film? Czy wie, co Lanzmann mówił na sympozjum w Oxfordzie?

Wreszcie ostatnia sprawa. Każda śmierć jest dramatem godnym szacunku, zwłaszcza masowa. Jestem historykiem Drugiej Wojny Światowej i w mych książkach wielokrotnie opisywałem tragedię Żydów, a moje książki, w języku angielskim i francuskim, rozeszły się szeroko po świecie. Obelgi p. Kozyr pomijam, pochylał natomiast głowę także nad mogiłami trzech milionów Polaków, którzy padli w walce z nazistowską i sowiecką przemocą. Ginęli także w obronie Żydów z całej Europy. Film Lanzmanna propaguje nie-nawiść i jednym z jego skutków jest anonim podpisany przez p. Kozyr.

Z wyrazami szacunku i pamięci

Józef GARLIŃSKI

9 marca 1986.

Szanowny Panie,

Zamieszczony w 1-2 (460-461) nr. Pańskiego pisma list Jana Zakrzewskiego wymaga kilku słów sprostowania, wprowadza bowiem w błąd czytelników *Kultury*, nie obeznanych z publicystyką krajową.

Emitowana w III programie Polskiego Radia audycja „Peryskop” prezentowała wyłącznie tendencyjne i zgodne z obowiązującą w PRL wykładnią polityczną opinie. Prowadzona była w formie nieformalnej rozmowy kilku Panów. Najczęściej uczestniczyli w niej: Jacek Kalabiński, Sławomir Kryska, Karol Szyndziolorz i Andrzej Krzysztof Wróblewski, czyli elita propagandystów z ekipy Macieja Szczepańskiego. Czasami w „Peryskopie” brali także udział Daniel Passent i Wiesław Górnicki. W okresie „Solidarności” na skutek protestów słuchaczy wstrzymano nadawanie „Peryskopu” (wznowiono go jednak po kilku miesiącach). Nazywanie tej audycji „wzorem fachowej, obiektywnej publicystyki” jest chyba zbyt daleko posuniętym subiektywizmem.

Nie przynoszą też p. Zakrzewskiemu zaszczytu jego książki o Ameryce, ani wieloletnia działalność w charakterze korespondenta warszawskich mediów w USA i Francji. Już po powrocie do PRL p. Zakrzewski opowiadał w programie telewizyjnym, jak agenci CIA, udający dyplomatów, śledzili go w gmachu ONZ-u. Nawyk dezinformowania pozostał mu widocznie do dziś.

Łączymy wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia

Tomasz MIANOWICZ
MonachiumEmil MORGIEWICZ
Koblencja

21 lutego 1986.

Szanowna Redakcjo,

Z niesmakiem przeczytałem artykuł Danka Turczyńskiego pt. „List z RFN” w *Kulturze* nr 1/460-2/461, gdzie opisuje losy *Spätaussiedler*’ów. Ten sam odruch odczułem, gdy przeczytałem wywiad generała Jaruzelskiego udzielony niemieckiej prasie zachodniej, gdzie nazwał ich po prostu *Volks-wagendeutsche*.

Nikt dotychczas nie nazwał tego ruchu prawidłowo jako swego rodzaju „emigracji zarobkowej” lub lepiej normalnego ruchu łączenia rodzin w tej niewielkiej Europie. Tę interpretację swego czasu określał poseł Osmańczyk. To, że im się z reguły lepiej powodzi aniżeli w warunkach życia w Polsce, wyzwala opisywanie różnych porównań, bijących „poniżej pasa”, godzących w godność ludzką.

Wszędzie przecież można żyć będąc sobą i człowiekiem, nie przechodząc tym samym specjalnych trudności integracji w nowym środowisku ustrojowym czy też kulturalnym.

I. WYLON

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Dr Stefan Niewiarowski, Filadelfia (USA). — List Pana przekazaliśmy Zbigniewowi Byrskiemu.

Skryptor. — Artykułu „Chadecy i oenerowcy” nie zamieścimy. *B.Sz.*, Nowy Jork. — Artykułu pt. „Doradcy” nie zamieścimy. Temat został potraktowany zbyt fragmentarycznie.

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.K., RFN; E.R., Szwajcaria; W.K., Holandia; B.D., Austria; K.K., RFN; P.B., Francja; M.B., Algier; J.M. w Kraju; K.W., Szwecja; E.D., Dania; R.K., Francja; M.T., USA; A.G., Francja; R.A., Szwecja: — Z wierszy nie skorzystamy.

P.B., Francja. — Żart w formie krótkiej noweli wydaje nam się mało zabawny.

T.J., RFN. — Niestety, Przypadki Anastazego odbiegają od charakteru naszego pisma.

U.N. w Kraju. — Trzy krótkie „listy” są miłe, ale bez wartości literackiej. To samo dotyczy wierszy.

K.R., RFN. — Artykuł zawiera kilka niezbyt odkrywczych spostrzeżeń, natomiast jego konkluzja jest bardzo uproszczona; można wymienić więcej przyczyn, które popychały Polaków do szeregów PZPR.

H.M., Australia. — Tekst Zdarzenia i ludzie jest całkowicie niezrozumiały. Postacie historyczne występują w nim w sposób, który nie ma nic wspólnego z zapisem „świadka historii”. Z drugiej strony trudno ten tekst uważać za utwór literacki.

T.G., Holandia. — Pieśń wroga nie nadaje się do druku.

B.S., Australia. — Niewiele można powiedzieć o „potępienych swarach” na emigracji w półstronicowej notatce o podróży do Europy.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.

TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsywie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.

Turyści polscy w Montrealu i Toronto, na wakacjach przesyłają za pośrednictwem „Grupy działania na rzecz NSZZ Solidarność w Montrealu” wygraną w bridge'a w Naples, Fl. — \$ 40,10 i w Madeira Beach, Fl. — \$ 11,70 — kontynuując w tym duchu, może i inni brydżyści zrobić to samo? — razem: \$ 51,80	F. 358,00
Winylowy z Toronto na „Solidarność” w Polsce — \$ c. 53,00 i \$ c. 65,00 — razem: \$ c. 118,00	F. 578,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKA”

E.M., Paryż — na rzecz przesładowanych w PRL	F. 200,00
Anna Kaplar, Andresy (Francja) — na wydawnictwa niezależne w Kraju	F. 200,00
„Solidarność” N.N. Finland — na walczących w Kraju — Krn 180,00	F. 145,00
Związek b. Więźniów Politycznych, Szwecja — sumę zebraną ze sprzedaży ufundowanych kartek świątecznych — na pomoc dla uwięzionych i ich rodzin w Kraju — Krs 880,00	F. 880,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Fundacja Centrum Informacyjne — Polska 13 Grudnia (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December), Amsterdam, po raz 3-ci — Flh 1.000,00	F. 2.720,35
Wojciech Szczygielski, Zurych	F. 131,00

F.H. z USA:	
— dla rodzin więźniów politycznych — \$ 10,00	F. 69,00
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 10,00	F. 69,00
— na Fundusz „Kultury”, po raz 20-ty — \$ 10,00	F. 69,00

Bogdan P. z USA — na fundusz drukarski „Solidarności” ..	F. 70,00
— na Pomoc dla Walczących w Kraju — Żeby Polska była Polska	F. 71,51

Edmund Stamborg, San Jose, CA (USA) — \$ 100,00 z czego na:	
— Wydawnictwo CDN — \$ 20,00	F. 138,00
— Wydawnictwo NOWA — \$ 20,00	F. 138,00
— Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja — \$ 20,00	F. 138,00
— potrzeby wydawnicze „Solidarności Walczącej z Wrocławia — \$ 20,00	F. 138,00
— dla najbardziej potrzebujących w Kraju b. więźniów politycznych — \$ 20,00	F. 138,00

NOTA BIOGRAFICZNA

JANUSZ GŁOWACKI ukończył Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zadebiutował w 1968 roku zbiorem opowiadań „Wirówka Nonsensu”. Wydał potem 8 zbiorów opowiadań i dwa tomy felietonów. Jest autorem 6 sztuk teatralnych i kilkunastu słuchowisk radiowych. Według jego scenariuszów zrealizowano 4 filmy fabularne. Powieść o strajku w stoczni Gdańskiej pod tytułem „Moc truchleje” wydana przez „Puls”, ukazała się później w Anglii, Francji, Niemczech Zachodnich, Szwajcarii, USA, Grecji i Turcji. Sztuka „Kopciuch” została wystawiona w kilku teatrach w Polsce a następnie w Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles, Miami, Frankfurcie nad Menem, Belgradzie i Buenos Aires. Najnowsza sztuka Głowackiego: „Polowanie na karaluchy” otrzymała nominację do nagrody American Theater Critics za najlepszą sztukę napisaną w 1985 roku w USA.

Na kilka dni przed stanem wojennym Głowacki wyjechał na premierę swojej sztuki do Londynu. Od roku 1982 mieszka w Nowym Jorku.

SPROSTOWANIE

W *Kronice kanadyjskiej*, zamieszczonej w marcowej *Kulturze* (str. 154, wiersz 6) wydrukowano omyłkowo, że w Brytyjskiej Kolumbii żyje 70 % Kanadyjczyków pochodzenia włoskiego — winno być 7%. (*Redakcja*).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Naponi, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7700.

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-rocznia	roczna

Ceny na rok 1986

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Tür 14. Tel.: 52-60-175	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 413 — PIOTR WANDYCZ

POLSKA A ZAGRANICA

Opracowania, dokumenty, polemiki, eseje pisane na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat, dotyczące najnowszej historii Polski.
Str. 296. Cena F. 100,00.



TOM 414 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: K. Pomian: *Przestrzeń i czas historii*; A. Sulima Kamiński: *Ludzie „zniewolonego umysłu” a emigracja*; M. Budny: *Jak to było z Zaolziem*; M. Heller: *Wczoraj i dziś w „Czerwonym kole” Sołżenicyna*; Zb. Brzeziński: *Cztery lata w Białym Domu*; B. Krzyżanowski „Bałtruk”: *Wileński Matecznik*, cz. II; A. M. Cienciąła: *Polska w polityce brytyjskiej i francuskiej w 1939 roku: wola walki czy próba uniknięcia wojny?* oraz obszernie działy: DOKUMENTY, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, KRONIKA.
Str. 240. Cena F. 70,00.



TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.
Str. 432. Cena F. 180,00.

